PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

TOM VII

(1936 — 1937)

KIELCE — WARSZAWA 1937
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

PAMIĘTNIK
KOŁA KIELCZAN

TOM VII

(1936 — 1937)

KIELCE — WARSZAWA 1937
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12,
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

SZEŚĆ tomów Pamiętnika Koła Kielczan, które się ukazały w ciągu lat 1927—35, są wynikiem niewątpliwego i poważnego wysiłku tego Koła. Pięknie o wydawnictwach regionalnych tego rodzaju, jak w ogóle o idei regionalizmu, pisał Zygmunt Wasilewski w Pamiętniku z r. 1928.

Istotnie, wydawnictwo nasze powstało z miłości i przywiązania do starego grodu kieleckiego, miejsca naszych smutków i radości lat dziecinnych i młodzieńczych, które są tak silne w człowieku, że umrzeć w nim mogą tylko razem ze śmiercią całej jego osobowości. Toteż na kartach Pamiętnika po wielekroć spotykamy się ze wspomnieniami, które nie są niczym innym, jak wizją poprzez ich pryzmat naszego miasta i całego górzystego kraju — od Piekoszowa, Karczówki do granatowego grzbietu dymińskiego i majaczącego w dali błękitnego pasma Łysicy, tego wszystkiego, z czym się zrosła nierozerwalnie nasza istota i co żyje w nas we wdzięcznej pamięci zdarzeń i miejsc. Przemożny instynkt rasowy zawraca nas wstecz, ku ziemi, której czystym powietrzem oddychały młodzieńcze płuca.

Po wielekroć wracamy myślą i uczuciem po anteuszowe dotknięcie swojej ziemi, ściślejszej swej ojczyzny.

Wiąże nas z ziemią kielecką coś jeszcze ponadto: poczucie wspólnoty z jej przeszłością.

Świadectwem tego — liczne w Pamiętniku obrazki z dziejów kultury Kielecczyzny, która się w naszych dziejach legitymuje poważnym dorobkiem kulturalno-politycznym, która nadto nieraz przodowała narodowi w dziejowym jego pochodzie naprzód.

Taki jest regionalizm, który reprezentuje nasz Pamiętnik. Tak go rozumiał i odczuwał Żeromski. Podwójny aspekt regionalny widoczny jest aż nadto wyraźnie w Puszczy jodłowej, która jest hymnem uwielbienia dla skończenie pięknego w oczach artysty fizycznego kształtu krajobrazu świętokrzyskiego, a jednocześnie plastycznym obrazem przeszłości kulturalnej Kielecczyzny, co powstała z pracy wieków.

Nic też dziwnego, że nasze wydawnictwo stanowi już poważny wkład w ogólnej kulturze narodowej i że dzięki temu zdobyło sobie stanowisko czołowe wśród wydawnictw pokrewnych. Mówią o tym wyraźnie oceny fachowe i pozycje bibliograficzne w wydawnictwach naukowych.

Jeżeli tak jest, duża w tym zasługa Zyg. Wasilewskiego, pod którego redakcją ukazały się wszystkie sześć tomów. Wrażliwe i czujne, zrównoważone i wytrawne kierownictwo świetnego krytyka literackiego i myśliciela społecznego Polski dzisiejszej musiało wybić na Pamiętniku swoje piętno. Toteż kiedy nawał zajęć i sterany ciężką pracą pisarską wzrok zmusiły go do odejścia od naszego warsztatu wydawniczego, należy na tym miejscu stwierdzić raz jeszcze wielkie zasługi red. Zyg. Wasilewskiego dla Pamiętnika Koła Kielczan. Zarząd Koła Kielczan uznał umiejętny i ofiarny trud swego redaktora, nadając mu godność członka honorowego Koła Kielczan.

Tom niniejszy wychodzi już pod redakcją inną. Wydajemy go w tej nadziei, że będzie pełnił nadal rolę najskuteczniejszego, niczym niezastąpionego łącznika wszystkich pokoleń, które wyszły z murów uczelni kieleckich; wypuszczamy go w świat w tym szczerym przekonaniu, że — jak wszystkie roczniki poprzednie — jest on nie tylko wyrazem naszych uczuć dla ziemi kieleckiej, ale również obiektywnym sprawdzianem jej bogatej przeszłości kulturalnej.

Na gruncie przywiązania do swej ściślejszej ojczyzny w jej teraźniejszości i jakże bogatej przeszłości mogą się zbliżyć i porozumieć wszyscy absolutnie członkowie tej wielkiej już dzisiaj rodziny koleżeńskiej, która nosi nazwę Koła Kielczan — mogą się porozumieć w całej pełni, choćby ich dzieliły od siebie największe nawet różnice opinii i światopoglądów.

Polepszająca się sytuacja finansowa Koła — w związku z licznym dopływem do niego ostatnio roczników młodszych — pozwala na powiększenie objętości tomu siódmego, który obejmuje lata 1936 i 1937. Może szczęśliwe lata pozwolą w przyszłości na coroczne wydawanie Pamiętnika.

MIASTO ŻEROMSKIEGO

TAKIE miano można nadać Kielcom, ponieważ skojarzyły się one z osobą i z nazwiskiem Żeromskiego dwojako:

1-o. W jego życiorysie Kielce zajmują szczególne miejsce, gdyż kształcąc się w tutejszym gimnazjum, w Kielcach przeżywał Żeromski okres tej młodości, która — według znanego powiedzenia — jest rzeźbiarką człowieka.

2-o. Kielcom, acz pod dwukrotnie zmienioną ich nazwą, poświęcił on dwa utwory powieściowe: „Syzyfowe prace" i „Promień", a w dwóch („Ludzie bezdomni" i „Dzieje grzechu") znajdują się charakterystyczne wzmianki o Kielcach.

Jakże więc Kielce zobrazował Żeromski? Jakimiż uczuciami owiał to miasto i zabarwił stworzone przez siebie obrazy ten nawskroś liryczny epik, w którym tak silnie działały miłość i nienawiść, przywiązanie i niechęć, zachwyt i wstręt, podziw i obrzydzenie, optymizm i pesymizm?

Zacznijmy od otoczenia Kielc, od tych widoków, którymi mniej więcej zachwycić się musi każdy, kto do tego miasta przyjeżdża, a do których przywiązać się musi każdy, kto w tym mieście wzrasta. Utrwalą mu się w wyobraźni te okoliczne wzgórza pokryte pięknie lasami, wbije mu się w pamięć szczególnie i zahaczy mocno o serce ta, z wielu stron widziana i jakby witająca przybysza Karczówka z wystającym ponad drzewa lasu kościołem klasztornym. Przeto ją właśnie wymienia kilka razy w swoich „Zwierzeniach" kielczanka, Joasia Podborska, przy czym wyraża uczucia serdeczne. Przenosząc się myślami w minione już dla niej czasy młodociane, pisze: „Kochałam Kielce, różne tam osoby, Karczówkę, Kadzielnię — i tak w ogóle wszystkich. W tych latach tak łatwo człowiek właśnie wszystko miłuje, cóż dopiero Kielce!" A gdy po dłuższym niewidzeniu tych stron rodzinnych ujrzała je znowu, doznała wzruszającego uczucia osobliwie miłej swojskości: „Moja aleja przy Karczówce, mój wyśniony latami w Warszawie daleki widok górski!" — woła, po-

cieszając się w swym osamotnieniu, skoro się pokazało, że „tak to — już w mieście Kielcach panna Joasia nie ma nikogo...” A gdy przywodzi sobie na pamięć swoich kieleckich znajomych, znowu wzmiankuje o Karczówce: „Przebiegam w myśli osoby tutejsze, które pewno siedzą jeszcze między Karczówką a Pocieszką...” Opisał ją Żeromski w Promieniu („Ludzie bezdomni”. Wyd. VI. Warszawa, 1925. Nakładem Mortkowicza. T. I. str. 179,232). — O Karczówce wyraża się z serdecznym uczuciem także Marta Bodzantówna, gdy powiada do Ewy: „Jak tylko zobaczę starą dzwonnicę, daleką Karczówkę — zaraz mi się robi cieplutko na sercu”.

Pod Karczówką „defiluje” Ewa, osiadłszy w Kielcach, gdzie roje zalotników wloką się za nią przez aleję („Dzieje grzechu”).*

O dzwonnicy przy katedrze wspomina ciepło także i Joasia Podborska: „Bije godzina szósta na dzwonnicy katedralnej” — czytamy w jej zwierzeniach (str. 232). — „Miły, spiżowy dźwięku zegara, bądź pozdrowiony! Jakże cię się obawiałam niegdyś, z jak głęboką trwogą słuchałam cię pierwszy raz po przyjeździe z Głogów do

---

*) „Nad drogą błotną i wyboistą stare topole trzymają straż, rzucając w słońcu skośne drgające cienie. Odcinając bokami od otoczenia człowieczy wzrok, wiodę go prosto ku wzgórzu, które zamyka perspektywę uszeregowanych drzew. I choć pryśnie nagle przydrożny ich różaniec, choć słońce zaleje drogę, czyniąc ją jasnozłotą, nie odbiegnie w dalekości, ani się z niej cofnie zadumana myśl. Owszem, wokoło szczątków kalwaryjskich stacyj się owinie i użali nad smutkiem rzeczy umarłych, sypiących się w gruz. Potem powita ludzkie chaty, co zbiegły się pod zielone wzgórze, roześmiane bielą ścian i krasą kwiatów w małych okienkach. Zasypany odłamami skalnymi i stromy zrazu jest górski skłon, w odkrywkach pozostałych po pradawnych górniczych robotach pieni się bujnie wszelkie polne ziele. A pośród rdzawych sosnowych pni na szarym kamiennym słupku zaszedł od wieku wieków Pan Jezus „frasobliwy”, głowę cierniami skłótą na boskiej dłoni wsparł... I jest na owym wzgórzu wyłączność samotni i leśnej głuszy. Nieledwie słychać, jak ze zwietrzałego muru sypie się miałki pył, jak po kamiennych schodach stąpa Cisza i żelazną kratę kościelnego obejścia gościnnie uchyla. Prześlicznie pomyślany taras wiedzie do drzwi kościoła. We wdzięcznych załomach schodów, dążąc ku górze, wygląda raczej na wejście do starego włoskiego pałacu, a kształtne jałowce dopełniają złudzenia, rysując się klasyczną linią cyprysów”.

szkoły!” — A może te wspomnienia Joasi to echo tych wrażeń, jakich doznawał ongiś sam Żeromski, gdy przyjechał ze Strawczyna do Kielc, aby kształcić się w gimnazjum.

Tych kilka powyższych wzmianek, dotyczących krajobrazu Kielc, oto wszystko, co w wymienionych utworach Żeromskiego znajdujemy pod tym względem. O Telegrafie, o Dyminach i o Kaweczyźnie, zwłaszcza o tych uroczych „Porębach Kaweczyźnianych“, które dopiero w ostatnich czasach zostały zniszczone przez założenie na ich obszarze stadionu, — o Biesaku i Malinowej Górze, a przede wszystkim o Słowiku i o Zgórsku nie wspomina Żeromski ani bezpośrednio w opisach, podanych przez samego autora, ani pośrednio przez usta osób wprowadzonych do powieści. Prawdopodobnie sam nie znał tych miejsc, które tworzą część rozległej „Kieleckiej Szwajcarii”, położoną najbliżej miasta, bo w owych czasach uczniom gimnazjum nie wolno było wychodzić samym za miasto, a szkoła nie urządzała żadnych wycieczek na łono przyrody, o której zresztą wcale nie uczono; nie istniało wtedy harcerstwo, nie działało jeszcze, przynajmniej nie na gruncie kieleckim, Towarzystwo Krajoznawcze, które dopiero o wiele później, w okresie wolnościowym zaczęło urządzać zbiorowe turystyczne wędrówki pieszo i końmi, a w owych czasach coraz dokuczliwszego krępowania jarzmem niewoli rzadkością były towarzyskie podwieczorkowe majówki, jakie do pobliskich lasów lub na Kadzielnię, która wtedy była jeszcze górą, porośniętą krzakami, przedsiębrały tylko zamożniejsze rodziny ze sfer inteligencji, bo wynajęcie dorożek było sprawą dość kosztowną. Ale i ta forma wycieczkowania wnet ustała pod naciskiem żandarmskiego dozoru. Tak więc uczeń, jeśli mieszkał na stancji i nie miał w Kielcach krewnych w owych zamożniejszych towarzyskich sferach, nie miał też wcale sposobności poznawania cudów okolicy kieleckiej, której i dzisiaj jeszcze nawet rodowici kielczanie na ogół nie znają.

* * *

Jeżeli o pejzażowych właściwościach i powabach Kielc Żeromski mógł tylko to i owo napomknąć, przy czym w tych napomknieniach musiała zabrzmieć nuta serdeczna, to przeciwnie o nędzarsko - ruinowo - zaniedbanym wyglądzie samego miasta mógł się dość szczegółowo rozpisać, bo pod tym względem łatwo mu było poznać Kielce dokładnie. Tę zewnętrzną architektoniczną ich stronę pokazał on

w „Promieniu” i w „Syzyfowych Pracach”, gdzie wprawdzie mowa jest o jakimś tam „Łżawcu” i jakimś tam „Klerykowie”, aleć wiadomo, że pod tymi pseudonimami zostały opisane przez Żeromskiego Kielce, o czym świadczą rozmaite szczegóły, dotyczące osób, rzeczy i zdarzeń. A te powieściowe opisy Łżawca i Klerykowa są prawdziwym zobrazowaniem Kielc nie tylko takich, jakimi były dawniej w czasach niewoli, ale, niestety, także i takich, jakimi są jeszcze i dzisiaj, mimo posiadania wolności samorządowej i państwowej. Oto jak przedstawiają się w powieściach Żeromskiego te biedne i nieszczęsne Kielce, które nijak podźwignąć się nie mogą, by nabrać prawdziwie kulturalnego, estetycznego wyglądu: „Obok prawej połaci domów” — czytamy w opisie Łżawca — „tulił się przy murach wąziutki chodniczek z kamieni drobnych i rozkruszonych *). W pewnych miejscach, nad pewnymi rynsztokami u stóp wiadomych parkanów wśród najtragiczniejszego bajorka trotuarek ginął jakby ulegając grozie przemagającej siły złego na jednego. W tych miejscach były przecież niejakie szlaki zwykle gzygzakowate, ale tworzące zawiłe kombinacje skoków, których znajomość ogromnie ułatwiała podróż i chroniła nogi od przemoczenia.

Pierwsza ulica wjazdowa posiadała te same jamy w bruku, te same do cna zdeptane chodniki, wygięte i spróchniałe parkany. Tam rynna pęknięta darzyła obfitą wilgocią ścianę przylegającą i brzydka plama z odcieniem zielonkawym niby głębokie zranienie gnoiła się na froncie starego domu. Gdzie indziej spod urwanego tynku wyzierał znaczny plac rdzawych ciegieł, jak żebra i wnętrzności awanturników uszkodzone w nocnej bijatyce”. Tak przedstawił się Raduskiemu Łżawiec („Promień“ Wyd. V. Warszawa 1914. Gebethner i Wolff, str. 28, 33 i 37).

A w Klerykowie czytelnik „Syzyfowych Prac” znajduje się wraz z Marcinkiem w takim otoczeniu: „Niski mur, tu i ówdzie rozwalony, zarośnięty trawą i mchem stanowił granicę podwórza. Za murem płynął kanał w obmurowanym niegdyś łożysku. Z czasem wiele kamieni wysunęło się, wpadło do wody i ugrzęzło w cuchnącym ile dna tej strugi, a bujne krzaki i błotne zielska obsiadły jej brzegi**). Dalej, za rowem ciągnął się czyjś park, rosnący na błotni-

---

*) Jak dotychczas na wielu ulicach, szczególnie na ulicy Kapitulnej przy jej końcu przed ul. Kilińskiego.

**) Jak dotychczas Silnica.

stym gruncie, zaniedbany tak dalece, że mógł przedstawiać małą puszczę, której nigdy stopa ludzka nie przebyła i gdzie tylko ptaki mieszkają”.

„Z tej strony muru stała szopa i drwalnie wybudowane w sposób nadzwyczaj lekkomyślny. Tuż przy szopie, pod samym murem leżało kilka starych, opalonych i napół zgniłych belek, o których istnieniu ani właściciel, ani żaden złodziej zapewne nie pamiętał! Pokrzywy i osty usiłowały do cna je zakryć”.

Na przedmieściu Wygwizdowie (czy to nie Głęboczka, względnie część Kielc położona za szpitalem im. św. Aleksandra?), gdzie pani Borowiczowa znajduje dla Marcinka tanią stancję, „domy są bardzo stare i okropnie wilgotne, podwórza cuchnące, mieszkania ciemne i brudne” („Syzyfowe prace” wyd. ósme. Warszawa 1929. Wydawnictwo J. Mortkowicza, str. 95 i 82). A kiedy w Klerykowie zaczęła się wzmożona imigracja rosyjska i ruszczenie miasta przez nadawanie nazw ulicom, przeinaczanie w stylu rosyjskim wyglądu niektórych budynków i zaprowadzanie nowych instytucyj i urządzeń, to jednak — jak powiada autor (str. 175) — „Bruki, nieład, zaduchy, brudy i rudery zostały zresztą te same” — bo Moskale o te rzeczy nie dbali. Obecnie w Kielcach przecież o tyle jest lepiej, że dzięki zaprowadzeniu kanalizacji i utrzymywaniu miasta w dość czystym stanie zniknęły dawniejsze „okropne smrody kieleckie“, jakie ze sklepików i z kramów żydowskich, z bram, z rynsztoków i z Silnicy raziły powonienie przechodniów, uderzając w nie, jakby pięścią w nos.

Wyrazem tej nędzoty i tego zaniedbania, jakie wyciskały i wciąż jeszcze wyciskają na Kielcach swoje szpetne piętno, były i są przeważnie kieleckie dorożki, zwane pospolicie „dryndami”. Charakterystyczny opis takiej dryndy i jazdy nią po kieleckiej drodze podał Żeromski w „Ludziach bezdomnych” (T. I. str. 234 — 235), gdzie Joasia Podborska tak pisze w swoich „Zwierzeniach”: „Najęłam dorożkę za cztery ruble (słuchajcie! słuchajcie!) — i jazda!! Woźnica mój podwiązał chudym szkapom ogony, otulił dobrze nogi (swoje) derką i z niebywałym trajkotem wyruszył z miasta. Gdy wpadliśmy na szosę, naszą starą, szczerbatą od wybojów, kochaną szosę, gdy zaczęło spod kół pierzchać rzadkie błoto... Nie mogły go wstrzymać wachlarze dryndy, dzwoniące zupełnie na wzór janczarów, tylko obdarty fartuch ,jak mógł mię poczciwiec, zasłaniał. Na tym poczciwcu utworzyło się wkrótce jezioro wody,

przebiegające z miejsca na miejsce, jak żywe srebro. Byłam znużona, senna i jeszcze bardziej szczęśliwa, niż teraz. Uwagę moją, a raczej mój uśmiech, błąkający się w przestworze, skupiały co chwila na sobie dwie latarnie, służące, jak sądzę, ku ozdobie pojazdu. W gruncie rzeczy wybite szyby i odwalone wierzchy nic im innego nie zostawiły prócz tego honoru. Jeden z tych szczątkowych organów powozu przywiązany był do macierzystej sztabki żelaza rozmokłym szpagatem. Kadłub foszmana w opończy koloru błękitnego z odcieniem słoty zasłaniał mi świat, a jedyny samotny żółty guzik w pasie z wyobrażeniem jakiegoś herbu — przyciągał oczy. Przestrzeń widzialną obsiewał drobny deszczyk. Daleko, w mgławym, burym powietrzu snuły się zarysy wzgórz...".

„Dorożka skacze z dziury w dziurę, chwieje się co moment, niby osoba chora na tabes, która wszakże ukrywa swój defekt, żeby nie stracić posady, — ślizga się na zakrętach, jakby w złych momentach rozpaczy pragnęła raz wreszcie rzucić się samobójczo do rowu".

* * *

Oprócz tych szczegółów, które dotyczą zewnętrznego ruinowatego wyglądu Kielc, znajdujemy w „Ludziach bezdomnych" i w „Syzyfowych pracach" jeszcze wzmianki, ukazujące nam pod tym względem Kielce od strony wewnętrznej, przy czym wraz z zaniedbaniem występuje tu, jako ich cecha charakterystyczna, pewna zastojowość, która w półsennym i półmartwym grodzie nad Silnicą wciąż jeszcze daje się odczuwać.

Oto w „Zwierzeniach" Joasi (str. 231) czytamy:

„Piszę te słowa zardzewiałą stalówką w Kielcach, w hotelu. (U „naju" w Kielcach, jak pamięć ludzka wstecz sięgnąć zdoła, wieczyście w hotelach ku wygodzie podróżnych leżały zardzewiałe stalówki)". A sala teatralna w Klerykowie była według słów autora „Syzyfowych prac" (str. 179 — 180) „stara jak miasto Kleryków i tak odrapana, jak gdyby nie była dziełem rąk ludzkich, ale raczej utworem nawałnic, wichrów i kataklizmów", a „w brudnych lożach siedziały wystrojone damy...". Tak, zapewne, wyglądała dawniej, bodaj że nigdy nieodnawiana sala teatralna w tzw. „teatrze Ludwika" w Kielcach, w którym garderobę dzierżawił żyd Drygant. W tej sali rzadko kiedy odbywały się jakieś występy bądź którejś z polskich trup aktorskich, wędrujących po prowincji, bądź jakiegoś rosyjskiego zespołu aktorskiego, bądź towarzystwa amatorskiego,

które urządzało przedstawienia zawsze na dochód Dobroczynności i wtedy uczniom gimnazjum wolno było iść do teatru; czasem przyjechał też któryś z warszawskich wirtuozów, skrzypków lub pianistów (Barcewicz, Śliwiński, Michałowski) albo wystąpiła z koncertem wokalno-muzycznym „Lutnia" z Warszawy. Na ogół tak mało było w Kielcach takiego artystycznego pokarmu, że nie mogło być mowy o istnieniu w nich jakiejś kultury artystycznej, a szkoła nic pod tym względem nie czyniła. Wychodziło się więc z Kielc mniej więcej prostakiem duchowym w tej dziedzinie, o czym świadczy też pewna charakterystyczna wzmianka w „Zwierzeniach" kielczanki Joasi Podborskiej.

Jednym z dowodów nędzoty i niskiego poziomu jakiegoś środowiska jest także lichota podawanych w nim napojów. Otóż w Łżawcu, w parku miejskim na werandzie cukierni ogrodowej Raduski wypił „ohydną kawę" („Promień", str. 105), tj. prawdopodobnie jakąś cykoriowo-żołędziową czy inszą „okropną lurę", jaką w Kielcach dają w różnych lokalach, gdy natomiast prawdziwej dobrej kawy ze śmietanką w dzbanuszku nawet w pierwszorzędnej cukierni dostać nie można.

* * *

Do takiego ruinowatego wyglądu Kielc, jaki Żeromski w swoich opisach trafnie przedstawił, przyczynia się niekorzystny ich klimat, obfity w opady, zwłaszcza w ulewy-nawałnice, bo wskutek nierównego poziomu ulic woda, ściekająca z wielkim pędem, „szoruje" przez jezdnie i chodniki, tworząc na nich rzeki i wysokie na metr wiry przy słupach. Tę klimatyczną właściwość Kielc znajdujemy jakby zaznaczoną przez Żeromskiego w „Ludziach bezdomnych" i w „Promieniu". Joasię Podborską prześladuje w Kielcach deszcz, albowiem po przyjeździe do nich w czerwcu tak zapisuje w swoich „Zwierzeniach" (str. 233): „Cicho, tylko deszcz gada w rynnach i od czasu do czasu przemknie się z łoskotem wehikuł kielecki. — Niedobre, przebrzydłe Kielce. Co wyjrzę oknem, to zamiast upragnionego błękitu, nowa gromada chmur i strugi ulewy". — A później notuje podobnież: „...wyjechałam dziś z Kielc przed południem. Deszcz był troszkę nacichł, choć nie ustał. Siał swoje mokre plewy, czasami tylko puszczając grubsze ziarno".

Raduski, znajdując się w łżawieckim parku miejskim *), zostaje zaskoczony przez wichurowatą ulewę, jedną z tych, jakie właśnie w Kielcach zdarzają się tak często. Z tej więc racji godzi się tutaj przytoczyć w całości mistrzowski opis tej burzy:

„Na wschodniej stronie gromadziły się chmury czarne, jak żelazo, i szły wolno, niby kolosalna pokrywa, gotowa lada chwila runąć i przytłuc ziemię. Kiedy niekiedy pędził stamtąd zimny wiatr, herold rzeczy straszliwych. Gdy gnał przez pola, młodziutkie pola zbóż gięły się migocąc i warowały przy samej ziemi, dopóki nie odleciał ku swoim tajemniczym mocarstwom. Wiatr się zrywał coraz ostrzejszy, kiedy niekiedy słychać było ponury, urwany grom, jakby jęk struchlałej gleby, krótkie błyskawice migały się między pniami drzew — wiatr, wiatr baszybuzuk z rykiem przelatywał aleje i ścieżki, giął do ziemi całe zarośla bzów, zgarniał na dróżkach wszystek piasek i rozdmuchiwał go słupami. Jakieś pióro kurze latało samo jedno w powietrzu. Ilekroć się zniżało, nowy podmuch ciskał je w górę. Kołysało się tak, ciążąc ku ziemi i nie mogąc jej nigdy dosięgnąć, niby płanetnik wichrem porwany. Nagle sypnął deszcz okropnymi kroplami. Siarczysta ulewa niby olbrzymi wodospad zwaliła się na park i zalała go w mgnieniu oka. Aleja główna i dróżki boczne przemieniły się w łożyska potoków. Liście drzew ociekały wodą i bezsilnie zwisły ku ziemi, jakby się lada chwila wszystkie miały oderwać. Deszczówka płynęła strumieniami nawet po pniach wiązów i lip, zupełnie osłoniętych liśćmi; szorowała wszystkie sęki i myła skaleczenia kory. Przestwór tak dalece pełen był wody, że w odległości kilkudziesięciu kroków za trawnikiem najbliższym krzewy i drzewa wydawały się mdłozielonymi, a kształty ich tonęły w wilgoci. Szelest spadającej wody zagłuszył zupełnie i wchłonął w siebie wszelakie dźwięki".

* * *

---

*) Podany tam przez Żeromskiego opis przypomina majestatyczną, piękną aleję w ogrodzie kieleckim: „Młode liście kasztanów nie kryły jeszcze całkowicie głównej alei, formowały z niej jakby prześliczną nawę z ostrymi łukami prawdziwej piękności. Tu i tam strzelały przez jasną zieleń złote krople światła, niby owe gwiazdy rozsiane po sklepieniu, naśladującym firmament w starych tumach gotyckich („Promień" str. 104).

Tak tedy wyglądem swoim Kielce nie wzbudziły w Żeromskim uczuć dodatnich. Nie wzbudziły one w nim także i pod względem atmosfery swojego życia umysłowego i swoich stosunków społecznych. Słowa, wypowiedziane przez usta innych osób, albo orzeczenia, pochodzące wprost od autora, mówią raczej o pewnym lekceważeniu, pewnym politowaniu, o poczuciu upośledzenia i niższości, a nawet wyrażają wzgardę: W „Dziejach grzechu" Ewa przenosi się z Krakowa do „niejakiego miasta Kielc", a malując wrażenia, jakie nadzwyczajna uroda Ewy sprawiła na kielczanach, autor powiada, iż „cnotliwe, katolickie miasto zgrzytało plotkarskimi zębcami na widok prześlicznej i jakby coraz piękniejszej nierządnicy, spacerującej w najwykwintniejszych szatach po ogrodzie miejskim i w sposób wszeteczny defilującej pod Karczówką", dokąd wlokły się z nią roje zalotników: ludzie żonaci, narzeczeni, szanowni obywatele, lekarze, znani daleko mecenasi kieleccy, a wreszcie księża kanonicy, tudzież proboszczowie" („Dzieje grzechu", str. 192). — Marta Bodzantówna, opowiadając Ewie, co widziała w podróżach i co lubi, wyraża się o Kielcach: „Nawet Kielce!...". W „Ludziach bezdomnych" Joasia Podborska, znalazłszy się znowu w Kielcach, pisze w swoich „Zwierzeniach" (str. 231): „Co za katastrofa! Jestem znowu tutaj w moim poczciwym mieścisku", a przez swoje pochodzenie z Kielc czuje się istotą, jakby mniej wartościową umysłowo i przeto, gdy umawia się w Warszawie o swoje wynagrodzenie za lekcje, nie śmie powiedzieć odrazu i stanowczo, ile żąda miesięcznej pensji. Dopiero po ociąganiu się i wahaniu dokonuje tego dla niej niezmiernie ważnego „wyczynu", o którym tak pisze z humorem i z ekstazą: „Ja kielczanka *) zdobywam się na heroizm, własnym uszom nie wierząc, wygłaszam maksymalną cyfrę, jaka kiedykolwiek powstała w mojej imaginacji: piętnaście rubli! pokój osobny, utrzymanie całkowite i piętnaście rubli miesięcznie!" Osiągnięcie takich warunków egzystencji wzamian za swój nauczycielski mozoł uważa ona za coś tak nadzwyczajnego dla kielczanki, że wywołuje to w niej uczucie wyższości, zdobytej nad innymi, więc zdaje się wykrzykiwać w triumfie: „Czy słyszycie, wy, które oświecacie głupie dzieci między rogatkami biskupiej stolicy?" (str. 180 — 181).

---

*) Zdaje mi się, że w pierwszym wydaniu „Ludzi bezdomnych" Joasia powiada o sobie: „ja, marny stwór kielecki".

Ujemne samopoczucie swojej kieleckości, owo „Minderwertigkeitsgefühl”, jakiego Joasia Podborska doznawała w Warszawie, znać także i w jej wspomnieniach o pierwszej bytności w stołecznym teatrze, albowiem tak o tym pisze: „...wówczas także los dał mi możność „ujrzenia” kilku literatów, których miałam w prostactwie moim, z miasta Kielc importowanym, za wiodących ród swój do Apollina. Później, ale dopiero później przekonałam się, że daleko częściej wywieść by się mogli od Bachusa i Merkurego”. („Zwierzenia” str. 182).

Wyrazem tej wzgardliwej niechęci, jaką w Żeromskim, zresztą całkiem słusznie, wzbudziła panująca dawniej atmosfera klerykalizmu, nawet świętoszkostwa *), obłudy, małomiejskiego plotkarstwa, zawistnego intryganctwa itp., są także i owe, jakby symboliczne nazwy „Łżawiec“ i „Kleryków”, pod którymi przedstawił on Kielce w swoich powieściach.

Stosunki społeczne, jakie zaznaczały się w Kielcach w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego i w pierwszych latach bieżącego stulecia, zobrazował Żeromski w „Promieniu”, przy czym złączył synchronistycznie osoby i zdarzenia, wzięte z różnych okresów bądź upadania, bądź podnoszenia się Kielc.

Zdarzenie, które w tej powieści wysuwa się na czoło akcji, mianowicie usiłowanie wydawania w Łżawcu nowego dziennika z kierunkiem wybitnie społecznym, odnosi się do okresu tzw. rewolucji, kiedy to w latach 1905 — 1907 wszczął się w Kielcach ruch umysłowy, objawiający się w występach odczytowych przyjezdnych prelegentów i w próbach wydawniczych.

Przez usta hotelowego portiera, który w rozmowie z przybyłym do Łżawca Raduskim okazuje się zbankrutowanym i „zdeklasowanym” ex-kupcem kolonialnym. Żeromski przedstawił w „Promieniu” ten upadek, jaki wśród rzemieślników i kupców kieleckich nastąpił wskutek zaprowadzenia komunikacji kolejowej z Warszawą, co zmieniło warunki wytwórczości rzemieślniczej i handlu.

---

*) Typową pod tym względem postacią był kupiec M-o, właściciel magazynu z suknem, znajdującego się przy ul. Dużej i bodaj że największego w owych czasach. Z wielkim modlitewnikiem pod pachą, wysoki, chudy i w ciemnych okularach, tających spojrzenie, chadzał on ostentacyjnie co dzień rano do kościoła, a był to, jak mówiono, lichwiarz i „derus pierwszej klasy”.

Rzemieślnicy, zwłaszcza, szewcy, krawcy i kuśnierze, zostali doprowadzeni do upadku przez konkurencję żydowską i wyparci ze swoich placówek przez napływających Żydów, zakładali sklepy z gotowym obuwiem, z gotową odzieżą itp., gdzie zamiast solidnych, ale dość drogich wyrobów warsztatowych, jakich dostarczali klienteli nasi rzemieślnicy, Żydzi ofiarowywali publiczności lichy, ale efektowny i tani towar fabryczny, ot, jak to czyni teraz na wielką skalę Bata. Wymieniona przez ex-kupca ulica Drzewińska w Łżawcu, która, według słów opowiadacza, była siedliskiem samych, a samych szewców łżawieckich, tak że „warsztat stał przy warsztacie, majster siedział przy majstrze, a u każdego po czterech, po sześć czeladników”— to właśnie dawniejsza ul. Mała w Kielcach, nazwana teraz im. Kilińskiego, chociaż wkrótce nie będzie na niej prawdopodobnie już ani jednego szewca-Polaka, lecz inne sklepy i prawie wyłącznie żydowskie. O tej konkurencji żydowskiej, która wyparła naszych rzemieślników, b. kupiec tak opowiada Raduskiemu: „A na tej samej Drzewińskiej ulicy teraz sklep przy sklepie! Żydki, nie żydki „warszawskie:: obuwie prezentują za tylośnymi szybami. Trzewiczki jak ulał, kamaszeczki, jak się patrzy. Tanie, śliczne. A że się we dwa tygodnie rozłażą, to cóż na to poradzić? Życie przemysłowe. — To samo z krawcami... To samo z krawcami i kuśnierzami. Tu pan dawnego człowieka nie zobaczy. Wszystko nowe, a złodziej na złodzieju!” (str. 55 — 56).

Do upadku kupców, posiadających dawniej znaczne handle kolonialne *) przyczyniło się w znacznej mierze — jak to zbankrutowany kupiec wyjaśnia Raduskiemu (str. 57 — 58) — także i to, że wskutek braku wykształcenia nie umieli przystosować się do nowych warunków, jakie nastały dla ich handlu po wybudowaniu kolei, i że wskutek próżności i fałszywych ambicyj stracili swoje majątki, trwoniąc je rozrzutnie na „edukowanie córek” w War-

*) W Kielcach były ongiś, za czasów Żeromskiego następujące solidne firmy kolonialne polskie: Krena w Rynku pod filarami po tej stronie co apteka, Łucznikowa (był to, zdaje się, spolszczony Rosjanin), Hönigmanna na rogu Rynku i ulicy Leonarda, Maickiego na rogu ulicy Leonarda i ul. Dużej i Degelmanna na rogu ulicy Pocztowej (teraz Sienkiewicza) i Dużej, naprzeciw teraźniejszego sklepu Chłopka. Z tych sklepów dotrwał do ostatnich czasów tylko sklep Hönigmanna.

szawie, na stroje i na bale dla nich, na folgowanie nieuctwu i wybrykom synalków, na trzymanie paradnych pojazdów, na opłacanie utrzymanek i tym podobne zbytki.

Czy który z tych znaczniejszych kupców, jacy dawniej byli w Kielcach, rzeczywiście doprowadził się do ruiny przez utracjuszowskie naśladowanie głupiej „jaśniepańskości”, o tym mógłby powiedzieć prawdę tylko ktoś z kielczan, znających sfery kupieckie oraz ich życie w onych przedwojennych czasach. Niewątpliwą prawdą jest natomiast odnośnie do kupiectwa na kieleckim gruncie to, że kupcom pojedyńczym poważną konkurencję ongiś zrobił sklep udziałowy, jaki przy ul. Pocztowej powstał dzięki zabiegliwym wysiłkom Bolesława Markowskiego, który z czasem dopracował się bodajże największej ilości zasług położonych dla Kielc przez działalność ekonomiczną, oświatową i charytatywną.

* * *

Stosunki społeczne wśród inteligencji, mówiąc specjalnie, wśród adwokatury, przedstawił Żeromski w „Promieniu” przez usta adwokata Koszczyckiego. To, co ten łżawiecki adwokat mówi Raduskiemu o swojej klienteli i o swoim stosunku do innych adwokatów, ma wiele podobieństwa do tego, co w Kielcach mówiono o adwokacie G.-cie, który, wyszedłszy z wielkiej biedy, postawił sobie później okazały dom przy ul. Wesołej. Informując Raduskiego o miejscowych stosunkach i o swojej sytaucji, Koszczycki tak je przedstawia:

„Jeżeli ci mam wyznać szczerze — powiada on do swojego przyjaciela — to żałuj, żeś obrał na mieszkanie tę dziurę. Trza było niezwłocznie do Warszawy! Tu we wszystkich sferach, które ja znam, takie stosunki, że prawdziwie z ręką na sercu radziłbym ci wcale nie próbować. O posadę, chociażby tylą, trudno tak, że to przechodzi ludzkie wyobrażenie!”...

Stwierdzając w odpowiedzi Raduskiemu, iż jemu samego „idzie nieźle”, wyjaśnia genezę swojego finansowego pochodzenia:

„...mam w Łżawcu tak zwaną śmierdzącą klientelę: żydów, chłopów, łapserdaków, ale za to... prawie wszystkich. — Zgarnąłem sprzed nosa starym ananasom, palestrze osiwiałej i ołysiałej między tymi murami — wszystko, co się dało... Postanowiłem zrobić dwa kroki naprzód,

a mianowicie: sypnąć odrazu groszem między agentów — to raz — a drugie brać sprawy, jakie tylko są na placu. Wtedy właśnie trafiła mi się dosyć śliska historyjka kryminalna. Pewien żydek miał nieszczęście przyspieszyć zbyt wyraźnie zgon swego wspólnika... Wziąłem ja tę sprawę. Wpatrywałem się w nią odważnie, ze wszystkich boków — jakiem ci, braciszku, wyrżnął mowę w okręgowym, tak tego bestię całkiem uwolniono! Od tej pory — drzwi się nie zamykają..."

A o swoich stosunkach z innymi adwokatami Koszczycki tak powiada:

„Mieliśmy z palestrą wojnę, śpiczaste wyjaśnienia, zerwanie stosunków, polepszenie stosunków... Teraz jesteśmy w stadium cichego, acz uprzejmego kopania dołów... Walka trwa, tylko cicha, cichuteńka. Jeżeli się gryziemy, to milczkiem; jeżeli psy na sobie wieszamy, to w głębokim sekrecie i wśród bardzo ciemnej nocy. No, a gdy zrobię dużego pieniącha, wszystko to ustanie i przyjdą mi łapę lizać. Wierz mi!" — zapewnia swojego przyjaciela adwokat Koszczycki.

W „Dziejach grzechu" znajduje się wzmianka o „znanych daleko kieleckich mecenasach". Z czego byli znani? O tym Żeromski ani tam, ani w tej powieści, gdzie jest sporo mowy o stosunkach adwokackich, nic nie mówi.

Może Kielce wśród innych, prowincjonalnych miast Królestwa posiadały w owych czasach najwięcej takich adwokatów *), którzy pochodzili ze sfer ziemiańskich

---

*) Należy tu wymienić ich nazwiska: Bronikowski, Burdzyński, Dunin Józef, który zasłużył na monografię przez swoją działalność filantropijną, jako żywiciel biednych i założyciel Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej, zwanej popularnie „Kasą Dziadowską", którą Niemcy nazwali „Die kleine Sparkasse" i, wyjątkowo, pozostawili nietkniętą podczas okupacji; był on też hojnym ofiarodawcą książek i protektorem bibliotek publicznych, jakie w Kielcach powstały; Karwicki, Koczanowicz, znany ze swojej wybitnie pyknicznej postaci i swojego chodu (żwawego drobnymi krokami), przede wszystkim zaś ze swojej przedziwnej niefrasobliwości, zawsze doskonałego humoru i częstego dowcipu; po wskrzeszeniu Polski został on najpierw prezesem Sądu Okręgowego w Kielcach, potem prezesem Sąu Apelacyjnego w Warszawie, a w końcu sędzią Sądu Najwyższego; Kujawski Rafał, zmarły wcześnie, a podobno nadzwyczaj zdolny umysł; starszy syn jego, Kazimierz, odegrał później wybitną rolę w szkolnictwie warszawskim, jako

i byli spokrewnieni z kieleckim ziemiaństwem, a ukończywszy Szkołę Główną lub Uniwersytet Warszawski w jego pierwszych latach (po dokonanej zmianie uczelni), mieli w sobie tradycję naukowego i obywatelskiego poziomu o wiele wyższego niż ten, jaki z późniejszego uniwersytetu, lub ze swojego niższego stanu mogli wynieść adwokaci należący już do młodszego pokolenia prawników, będących rodowitymi czy napływowymi kielczanami. Adwokatów w Kielcach było w ogóle, zdaje się, nazbyt wielu, więc gdy pod koniec ub. stulecia warunki życia stały się trudniejsze, zdobywanie potrzebnych dochodów przybrało ponoć i u niektórych mecenasów „starej daty" ostrzejszą formę „wydzierania sobie rubla" przy pomocy agentów.

* * *

Dla teraźniejszych kielczan szczególnie ciekawe powinno być w „Promieniu" to, co Żeromski napisał tam o przedsięwziętym przez jego bohatera wydawaniu nowej gazety w Łżawcu, w Kielcach. Prawdziwym odnośnie do „Gazety Kieleckiej" takiej, jaką przez długie lata wydawał redaktor Stanisław Sienicki, jest w powieści Żeromskiego to, co autor mówi tam o „Gazecie Łżawieckiej": o jej zawartości, o jej redagowaniu i o jej podstawach finansowych. Trzeba więc tutaj przytoczyć tę charakterystykę ze wszystkimi szczegółami.

„Gazeta szła doskonale. Liczyła tysiąc z górą abonentów. Prenumerata, wynosząca pięć rubli rocznie, dawała jej pięć tysięcy rubli dochodu, a ogłoszenia pokrywały koszty bibuły i druku. Innych wydatków prawie nie było, gdyż cały zapas artykułów, przerobionych z gazet warszawskich, wklejał pracowicie w „łamy" sam redaktor, a raczej sam trzymający pierwsze nożyce, felieton zaś wypełniały tłumaczenia powieści angielskich na przestrzeni wiorst i mil stebnowane w kółko familijnym tegoż redaktora.

---

dyrektor gimnazjum i poseł; Płoski Arkadiusz, który w erze wolnościowej założył w Kielcach pierwszy naprawdę dziennik p. t. Kurier Kielecki; Taylor Stanisław, którego syn Edward jest wybitnym profesorem ekonomii w uniwersytecie poznańskim i Tymieniecki Jan, którego młodszy syn Kazimierz jest profesorem historii w uniwersytecie poznańskim.

„Gazeta” była silnie, trzeba by powiedzieć, monstrualnie szlachecką, chociaż i zamożniejszemu mieszczaństwu nie odmawiała praw bytu i prenumeraty.

„Wiadomości prowincjonalne czerpała dziewiczo z raportów składanych w urzędzie gubernialnym, co ją zabezpieczało nie tylko od kłamstw reporterskich, ale także od zbytecznego wścibiania nosa; wypadki kościelne kreśliła bezpośrednio w przedpokoju władzy duchownej. „Tydzień polityczny” robiły nożyce, a plotki brukowe całymi koszami znosili usłużni mosterdzieje, częstokroć w nadmiernym mnóstwie, a całkiem bezpłatnie, bo tylko za cenę możności gadania, ile się zmieści”. („Promień” str. 88).

Taką była rzeczywiście przed laty „Gazeta Kielecka”, ten organ miejscowy, bez którego nie było możności uzmysłowić sobie miasta. Wychodziła ona tylko dwa razy na tydzień, we środy i w soboty, wszelkie luki zapełniała stale powtarzanym, dużymi czcionkami drukowanym wezwaniem: „Czas odnowić prenumeratę”, tak że mawiano o niej, iż to jest jedyny jej oryginalny artykuł. Jej chudość i bezduszność były smutnym świadectwem tej umysłowej martwoty, jaka panowała wówczas w Kielcach pod obuchem barbarzyńskich ciemięzców. Była ona też dowodem braku ambicji obywateli Kielc i ziemi kieleckiej, którym nie zależało snadź na tym, żeby posiadać własny, samodzielny organ regionalny, który by — jak się to mówi — trzymał dłoń czujną na pulsie całego życia w swojej prowincji.

W „Promieniu” szczegółem, który prawdopodobnie odnosi się także do rzeczywistych zdarzeń wydawniczych na gruncie kieleckim, jest wzmianka o tym „Echu Łżawieckim”, jakie wychodziło pierwej, nim przybył do Łżawca Raduski. Przypuszczalnie odnosi się to do krótkotrwałego bytu „Głosu Kieleckiego”, tego pierwszego czasopisma, jakie obok starodawnej Gazety Kieleckiej usiłowano wydawać w Kielcach, korzystając z wolnościowego powiewu w latach 1905—1907. Prawdziwą jest w tej sprawie zapewne ta wzmianka, iż owo pierwsze „Echo Łżowieckiej”, „po daremnym wzywaniu do prenumeraty”, z takim skutkiem, jakby się rzecz odbywała w centrum pustyni Gobi, czyli Szamo...” „ostatecznie upadło z braku materialnego i moralnego poparcia” — czego u nas doświadczają na sobie bardzo liczne wydawnictwa. Jest to jakby stała piosenka,

która, zdaje się, towarzyszy także i tym dziennikom, jakie teraz wychodzą na gruncie kieleckim.

* * *

Co się tyczy osób, jakie występują w „Promieniu", to odnośnie do Kielc postacią całkiem rzeczywistą jest tylko ów księgarz, do którego udaje się Raduski, żeby kupić jakąś książkę, mogącą zająć chorego doktora i chociażby na krótko oderwać jego umysł od spraw pognębiających i rozpacznych. Owym antykwariuszem, znawcą i zbieraczem starych druków oraz tak wielkim ich miłośnikiem, że nie lubił rozstawać się z posiadanymi w swoim sklepie książkami, owym oryginałem, wprowadzonym przez Żeromskiego do powieści, dziejącej się w pseudonimowym „Łżawcu", był w Kielcach księgarz Możdżyński. Miał on przy ul. Dużej za teraźniejszym sklepem p. Chłopkowej mroczną księgarenkę, do której wchodziło się po kilku schodkach. W tej antykwarni, dokąd rzadko kto wstępował, siedział stale, sam jeden ów na gruncie kieleckim wyjątkowy bibliofil. Rzeczywiście słynął on z tego dziwactwa, że chociaż w zasadzie książki miał na sprzedaż, to jednak niechętnie oddawał je za pieniądze, co Żeromski w takiej scenie przedstawił:

„Po upływie blisko godziny Raduski wstał prędko i rzekł:

— Sprzeda mi pan tę książkę?

— Żywoty ojców świętego Hieronima? Phy... No może. Choć mi żal. To dla tego chorego?

— Co pan każe sobie zapłacić?

Antykwariusz począł przeglądać swe spisy, notować na rozmaitych karteczkach, a koniec końców mruknął, ruszając wargami, jakby coś przeżuwał:

— To tam żywoty... Pieniędzy się za to nie bierze. Czytaj pan temu choremu... niech wam służy.

— Ja wezmę książkę tylko za pieniądze.

— Nie dam tej książki za pieniądze!

— No to nie.

— Kładź pan tu na gablocie dziesiątkę i bierz tego Hieronima! — krzyknął stary, jakby kto z niego darł pasy.

Raduski podał mu rękę, wymienił swe nazwisko, co tamtego, zdawało się, wcale nie interesuje, umieścił na szklanej szybie szafki dziesięć groszy i wyszedł, dźwigając księgę.

— A nie zniszcz pan druku! Zawszeć to siedemnaste stulecie... — wołał antykwariusz. Raduski słyszał głos jego, gdy już był na ulicy" („Promień" str. 139 — 140).

Osobą, wziętą przez Żeromskiego z rzeczywistości kieleckiej, ale chyba tylko w tym, co się tyczy choroby i śmierci, jest w „Promieniu" doktór Poziemski. W Kielcach zachowało się wspomnienie o doktorze Laskowskim, który wskutek ofiarnego wykonywania swojego zawodu zaraził się nosacizną i umarł na tę okropną chorobę, zobrazowaną w powieści szczegółowo przez mistrza w opisywaniu wszelkich okropności. Brat owego doktora, także doktór ceniony i poważany, był w Kielcach lekarzem miejskim.

Czy jeszcze inne osoby występujące i nazwane w „Promieniu" oprócz adwokata Koszczyckiego, o którym była mowa już wyżej, mają także jakieś podłoże w kieleckiej przeszłości, zwłaszcza ów Grzybowicz, będący takim iście opatrznościowym współredaktorem nowego „Echa łżawieckiego" i wyobrazicielem umysłowego proletariatu, — o tym może powie coś kto inny, znający dobrze dawniejszych kielczan, kieleckie stosunki i źródła utworów Żeromskiego.

* * *

Ulice i place „łżawieckie" oraz inne miejsca i szczegóły topograficzne, jakie Żeromski wymienił i opisał w „Promieniu", częściowo zgadzają się z tymi, jakie były i są jeszcze w Kielcach, ale przeważnie są to wytwory powieściowe wyobraźni autora albo obrazy, wzięte z miejscowości innych.

Owo „przedmieście, zwane Placem Targowym", gdzie bohater powieści mieszkał za czasów uczniowskich i gdzie znał „każdą ruderę, każdą dziurę, każdy rów, przyległe pola, krzaki i las w sąsiedztwie" (str. 30), to Pocieszka, która, pono, zmieniła już do niepoznania dawny swój wygląd. Tam napadają Raduskiego bandyci, i rzeczywiście ta strona Kielc bywała najmniej bezpieczną.

Czy przedmieście, nazwane przez autora Kamionką i umieszczone w opisie Łżawca na „drugim końcu miasta, położonym trochę wyżej" — odpowiada Wietrzni, względnie części Kielc leżącej w ogóle za Bazarem (teraz Plac Wolności)? Może na to pytanie znajdzie niewątpliwą odpowiedź ktoś, kto pamięta dokładnie dawniejsze Kielce

(boć i ta strona miasta zabudowała się i zmieniła), a wniknie w szczegóły przytoczonego tutaj opisu:

„Do dwu długich ulic przyczepione tam było obszerne przedmieście Kamionka. Stanowiło ono jak gdyby małą mieścinę, mechanicznie zrośniętą z Łżawcem. Ostatnie chaty Kamionki łączyły się z wioską bez nazwy, pośrodku której sterczał folwark, wyróżniający się z grona innych folwarków tym, że właściciel jego swój własny dwór odnajmował urzędnikom łżawieckim, a gnojówkę sprzed owczarni spuszczał na szosę spacerowo - wjazdową. Kamionkę zamieszkiwali przeważnie rzemieślnicy najbiedniejszego stopnia, Żydzi z minimalnymi funduszami, a wreszcie wszelka bezimienna i bezklasowa hołota. W drugiej swej przyfolwarcznej części Kamionka reprezentowała maleńki White-Chapel i słusznie była wyklinana przez osoby, posiadające rzeczy do skradzienia, w szczególności zaś przez folwark, ozdobiony strumieniem gnojówki. Od szosy, przecinającej to siedlisko biedy, szły na prawo i na lewo małe, zwykłe ślepe zaułki między starymi parkanami, w tyle domostw drewnianych, albo i samych chlewników. Nad gromadą rozrzuconych budowli wznosiły się dwie kamienice z czerwonej cegły i oknami dumnych pięter z góry oświetlały sąsiednie dachy” („Promień” str. 34—35).

Z ulic łżawieckich, wymienionych w „Promieniu”, tylko ulica „Drzewińska”, wspomniana przez zbankrutowanego ex-kupca, odpowiada wyraźnie dawnej ulicy Małej (teraz ul. Kilińskiego), gęsto zamieszkałej przez szewców, o czym była mowa poprzednio. Natomiast ulica „Frontowa”, przy której w powieści mieszka adwokat Koszczycki, nie została scharakteryzowana przez autora ani pod względem architektonicznego wyglądu, ani pod względem rodzaju jej mieszkańców, więc nie sposób powiedzieć, do której ulicy kieleckiej możnaby odnieść ową nazwę. Może autor miał na myśli ulicę Dużą (teraz Pierackiego), która ongiś była w Kielcach główną arterią ruchu. Także nie można orzec, czy i którą z dawnych ulic kieleckich oznacza ulica „Zasobna”, gdzie Raduski poszukuje Grzybowicza, mieszkającego tam prawie w ostatecznej nędzy.

Może coś podobnego istniało w Kielcach rzeczywiście gdzieś przy ulicy Kościuszki, gdzie były rozmaite posesje, wśród których szeroko i powszechnie znaną była rozległa posesja Jarońskich, ciągnąca się wzdłuż początku szosy

Bodzentyńskiej od końca ulicy Kościuszkowskiej, zwanej ulicą Tadeusza.

Wreszcie co się tyczy położenia hotelu, w którym po przyjeździe do Łżawca zamieszkał Raduski (str. 27), to pomijając samą nazwę „Imperial”, jakiej nie miał żaden z przedniejszych hoteli w Kielcach, wymysłem autorskim jest w tej sprawie ów widok, jaki miał Raduski z hotelowego pokoju, mianowicie widok na starą basztę, względnie wieżę „największego z kościołów łżawickich”, zbudowaną rzekomo w wieku trzynastym. W Kielcach nie było ani dawniej, ani później takiej wieży kościelnej, która byłaby aż tak starodawną i do której możnaby odnieść podany przez Żeromskiego następujący jej opis (str. 26):

„Rudo-zielone mchy ją oblazły, czerwona dachówka, nakrywająca szczyt urwany raptownie, spłowiała, jak stara, sponiewierana czerwona czapka. Już z dala widać było ogromne głazy, tworzące nierówne boki tej wieży z jednej strony ścięte pod kątem nadzwyczaj ostrym, z drugiej prawie okrągłe. Małe okienka — strzelnice w rozmaitych punktach czerniały na jej powierzchni”.

Może to motyw architektoniczny wzięty przez Żeromskiego z jakiegoś innego miasta, nap. z Sandomierza, a został wprowadzony do Łżawca przez autora „Promienia” gwoli wyrażenia uczuć i myśli proletariacko - robotniczych, jakie snuje bohater tej powieści, wpatrując się w ową wieżę:

„Raduski” — czytamy na str. 26 — „nie mógł oderwać wzroku i duszy od tego budynku. Myślał o murarzach, którzy nosili i stawiali jedne na drugich owe szare kamienie przed tyloma wiekami. Myślał o długotrwałym ich trudzie, o wysiłkach rąk, nóg, grzbietów; w prędkim zachwyceniu widział zmordowane twarze, potem krwawym ociekające, wejrzenia ich omdlałe pod ciężarem kamienia i naczyń rzadkiego wapna, słyszał stękanie, ciche westchnienia zamknięte w piersiach, zdołał nawet wmyślić się w wiarę ich prostą ledwie otłuczoną, jak tamte kamienie, a tak surowo mocną, jak one. Dla wiecznego Boga dźwigali bryły na tylą wysokość, dla niego złożyli nędzę swego bytu, krzywdę położenia, mękę ciała i ducha. Toteż w tych bulwarach spał zaklęty talizman potu i łez owej trzody roboczej dawnego świata”. (Str. 26—27).

Patrząc na tę starodawną basztę, bohater Żeromskiego doznawał przypływu także i uczuć wspomnieniowych, których podłoże autorskie tkwiło może w tych uczuciach,

jakie w Żeromskim związały się z wyobrażeniem wieży katedralnej w Kielcach, wspomnianej w „Ludziach bezdomnych”, o czym była już mowa:

„Raduski” — czytamy dalej na str. 27 — „stanął przy oknie i począł snuć dalszy ciąg swoich rozmyślań, a raczej fantastycznych marzeń o dawnym murze. Stał tam długo w przedziwnym zapomnieniu o wszystkim innym na świecie. Oczy jego patrzyły na „starą” przez pryzmat uczuć dzieciństwa, przez perspektywę wszystkich smutków i radości, których ta ruina była świadkiem i jak gdyby sędzią. Dusza wchodziła na nowo w jakieś niewysłowione z nią powinowactwo, w zakon braterski, którego istotne znaczenie, sens i wartość schowane były w ślepej skrytce serca, zamkniętej nawet dla niespracowanej badaczki, dla owego żyda wiecznego tułacza, — dla świadomości”.

DR STEFAN FRYCZ

WYMOWA SZPARGAŁOW

W BIBLIOTECE Krasińskich w Warszawie figuruje pod Nr. 3421 gruby in 8° rękopis zawierający kilkaset stron łacińskiego pisma p. t. „Epitome colloquii Rakoviae habiti Anno 1601”. Jest to kopia protokołów synodów ariańskich, które się odbyły w Rakowie w latach 1601 i 1602, sporządzona w lutym r. 1608 w Altdorfie niemieckim przez Walentego Smalciusa.

Ciekawa jest postać owego Smalciusa, recte Schmalza, najwybitniejszego po Fauście Socynie teologa ariańskiego, autora 52 rozpraw teologicznych, współtwórcy słynnego katechizmu rakowskiego. Był on z pochodzenia Niemcem, synem prawnika z Gothy. Podczas studiów w Strasburgu zetknął się bliżej z Polakiem Wojdowskim i ten go namówił do odwiedzenia Polski. Chwilowa gościna zakończyła się stałym osiedleniem się Szmalza w Polsce, w której zajął się duszpasterstwem i nauczycielstwem w wielkopolskim Śmiglu, potem w Lublinie, wreszcie w kieleckim Rakowie. Około roku 1608 gościł w Niemczech i musiał stąd rychło uciekać do Polski, gdyż książęta i miasta niemieckie pilnie tropiły każdego podejrzanego o herezję socynianina. Spokój znalazł w Polsce. Bliżej poznajemy Szmalza z jego dziennika osobistego, który się ukazał w jednym z wydawnictw historycznych. Okazuje się, że ten „wmieszkany a nieurodzony Polak”, ożeniony z Polką, do tego stopnia opanował język swej przybranej ojczyzny, że władał nim lepiej od niejednego rodowitego Polaka, układał pieśni polskie, w swym łacińskim notatniku czyni częste wkładki polskie, a nawet, że się tak wyrażę, śni po polsku; w tym bowiem języku odbiera podczas snu znaki ostrzegawcze, które skrupulatnie notuje, ciekawy przykład szerzącego się już wówczas u nas mistycyzmu religijnego. Swoje traktaty dogmatyczne, jak o tym świadczy jeden z ostatnich tomów Bibliografii Estreichera, pisze w języku polskim, a pisze je językiem, który nie ustępuje pod względem piękna i wyrazistości językowi jego wielkiego przeciwnika religijnego, z którym się ścierał — Skargi. Świadczy o tym

choćby „Napominanie do obywatelów Korony Polskiej", wydane w r. 1607. Pod wielu względami przypomina Statoriusza Stojeńskiego, również obcokrajowca, twórcę pierwszej polskiej gramatyki, a z czasów późniejszych Samuela Bogumiła Lindego, Sasa, twórcę pierwszego Słownika języka polskiego, zbudowanego na podstawach naukowych.

Jak powiedziałem, protokóły Szmalca notują wyniki obrad w Rakowie. Miasto to od r. 1599, tj. od czasu pozyskania dla doktryny ariańskiej jego właściciela, Jakuba Sienińskiego, stało się ośrodkiem pracy polskich braci; miejscem posiedzeń synodalnych od r. 1601, siedliskiem gimnazjum od r. 1602, siedzibą drukarza od r. 1600. Ten zapadły kąt Kielecczyzny staje się obecnie dla unitarian polskich tym, czym był Rzym dla świata katolickiego, Wittenberga dla luteran, a Genewa — dla kalwinów. Synodom rakowskim z lat 1601, 1602 przypadła w udziale bardzo poważna, choć niewyłączna rola oczyszczenia zboru z dziedzictwa anabaptystycznego w dziedzinie radykalnych doktryn religijnych i niemniej radykalnych nauk społeczno - politycznych; pisałem o nich w Pamiętniku z r. 1932, przeto nie będę ich tu powtarzał, przejdę natomiast od razu do treści protokółów.

Zaznaczyć trzeba, że drażliwe i wątpliwe kwestie, o których mówiono na wspomnianych synodach rakowskich, były przedmiotem rozstrząsań poprzednio i w czasach następujących po r. 1602. Nie znam natomiast dokumentu dziejowego, który by tak dokładnie i z tak bezpośredniej bliskości pozwalał wejrzeć w sumienia religijne i społeczne Polaków doby renesansowej. Z tych właśnie względów dokument ten zasługuje na naszą bliższą uwagę. Cóż stanowiło przedmiot obrad obu synodów rakowskich? To, co dręczyło arian naszych od czasu już dawnego i co do końca ich istnienia w Polsce, nie przestaje być nigdy ich troską. Bo pomimo że w w. XVII dochodzą oni do pewnego ustalenia swej doktryny filozoficzno - dogmatycznej i polityczno - społecznej, nigdy nie ustają w trudzie badań i poszukiwań, podnoszenia i znoszenia wątpliwości. Tym bardziej na początku w. XVII. Zastanawia w nich nieopisana dynamika i prężność myśli i uczucia, nie znajdująca nigdy spokoju, znajdująca natomiast wieczną podnietę we własnym polskim sumieniu i w warunkach otaczającego życia. Nic też dziwnego, że przy takim usposobieniu badawczym uzyskiwali nieznaną u nas zdol-

ność metodycznego i dialektycznego rozumowania, a w swych koncepcjach filozoficznych dojść musieli do niewypowiedzianie subtelnych teorii; nic dziwnego również, że ten ruchliwy zbór polski musiał się znaleźć w końcu w jaskrawej sprzeczności z całością naszego społeczeństwa w w. XVII, wchodzącego już u progu tego wieku w okres stabilizacji i kwietyzmu, zwiastunów późniejszej martwoty umysłowej, a tak dalekiej od kartezjuszowskiego polskiego sceptycyzmu w w. XVI.

Względami powyższymi należy sobie tłumaczyć tę nienawiść, jaką darzył badacza - arianina przeciętny zjadacz chleba, szlachcic siedemnastowieczny, który już doszczętnie zapomniał o ruchliwej atmosferze umysłowej wieku szasnastego, który nie chciał, aby mu ktoś mącił jego doskonałą równowagę duchową i błogostan codziennego roślinnego bytowania. Kiedy się czyta utwory Wespaziana Kochowskiego, bardzo zresztą miłego poety w. XVII, widać wyraźnie z jego nastawienia wobec unitarian polskich, jak już daleko posunął się u nas kwietyzm umysłowy, niszczący nas katastrofalnie, a tłumaczący się praktycznie w braku poszanowania dla opinii religijnej. A nie należy zapominać, że Kochowski, pierwszy, nawiasem mówiąc, znaczniejszy regionalny poeta świętokrzyski, o czym trzeba by obszerniej napisać do „Pamiętnika", że ten, mówię, Kochowski, to przedstawiciel najoświeceńszej części Polski, bo Małopolski, która i w. XVII przoduje nadal innym częściom Polski.

Wracam do Rakowa z lat 1601 i 1602. Synod z r. 1601 zgromadził 13 działaczy ariańskich, wyłącznie ministrów, na drugim, z r. 1602, widzimy już do pięćdziesięciu osób, oprócz teologów również sporo rodowej szlachty z obszaru Kielecczyzny i Lubelszczyzny. Z wybitniejszych osób przybyli na synody: Hieronim Moskorzewski, Piotr Stoiński, Ostorodt, paru Lubienieckich, Völkel, Marcin Czechowicz, właściciel Rakowa Jakub Sieniński, Przypkowski, Krzysztof Morsztyn, Wiszowaty, Erazm Otwinowski, sławny z zajścia podczas procesji Bożego Ciała w Lublinie, niezły również poeta; w ostatnich latach ustalono, że autorem zbioru poezji, ogłoszonych w swym czasie przez prof. Ign. Chrzanowskiego, był właśnie Erazm Otwinowski. O pierwszej osobie na synodach mówię na końcu: był nim Faust Socyn, Włoch, ożeniony z Morsztynówną w r. 1587 i zamieszkały już od dawna w Pawlikowicach, posia-

dłości swego teścia, Krzysztofa Morsztyna. Kilkunastoletni pobyt w Polsce dobrze zrobił Socynowi, który pod wpływem obserwacji rzeczywistości począł rezygnować ze swych wybitnie teoretycznych i nieżyciowych koncepcji i zaczął szerzyć umiarkowany światopogląd religijno - polityczny. Sporo pod tym względem sposobności nastręczały mu zjazdy rakowskie z lat 1602, podczas których przedyskutowano pod jego przewodnictwem szereg spornych kwestii. Dyskusja nad nimi odbywała się w ten sposób, że Socyn ujmował w formie wykładu wybrane kwestie, a potem odpowiadał na stawiane sobie pytania i zarzuty. Był to więc rodzaj jakby seminarium teologicznego.

Z protokółów Szmalca widać, że ze spraw ściśle dogmatycznych nie ustalił się jeszcze pogląd ariański na sprawę istoty Boga i na chrystologię. Przedmiotem gorących dysput stała się np. kwestia Trójcy św. i nieskończoności bytu Boga. Z protokółów widać, że Socyn potrafił przekonać swych oponentów, do których należał m. in. wybitny arianin Hieronim Moskorzewski, i zdołał im ustalić, że do zbawienia wystarczy wiara, że Bóg jest jeden w jednej osobie, Bóg wieczny, najpotężniejszy, najmądrzejszy i najlepszy. Sprzeciwy — m. in. u znanego dogmatyka A. Czechowicza — wywołała również nauka o człowieku, tj. o jego upadku przez grzech pierworodny, nauka o istocie grzechu, wolnej woli, predystynacji; sprawa predestynacji, ważna dla unitarnian ze względu na znany dogmat kalwiński, została załatwiona w sensie dla kalwinów negatywnym.

Nierównie ciekawiej — dla nas dzisiaj zwłaszcza — rozwinęła się dyskusja nad sprawami polityczno - społecznymi, które u arian polskich wysunęły się już od dawna na plan równorzędny z kwestiami teologicznymi.

Protokóły Szmalca notują następujące kwestie dyskusyjne z dziedziny polityczno - społecznej: sprawę procesowania się, obrony osobistej i wojny, przysięgi, kary śmierci, własności, lichwy i zbytku, wreszcie dyscypliny zborowej. Są to, jak widać, sprawy wchodzące niemal wyłącznie — poza zagadnieniami etyki życia codziennego — w zakres prawa cywilnego i karnego. Sprawy te wyrosły na tle początkowej negacji przez arian państwa i jego form organizacyjnych, jako wytworu zła na świecie.

Ci najwięksi w dziejach kultury polskiej radykali, stojąc na gruncie ciasnego i literalnego posłuchu wskazaniom Ewangelii, nie znaleźli we współczesnym sobie

państwie polskim organizacji, realizującej postulaty Pisma św., z naczelnym jego postulatem — miłością bliźniego. Owszem, twierdzono, że z zasadą miłości bliźniego stoi w jaskrawej sprzeczności cały szereg instytucji, urzędów publicznych i zwyczajów Polski w. XVI i XVII.

Skoro mam realizować zasadę miłości bliźniego w sposób uczciwy i bezkompromisowy, nie wolno mi się z nim pod żadnym pozorem procesować, nie wolno mi używać przeciw niemu broni, nie wolno brać udziału w organizacji masowego mordu, jakim jest wojna, nie wolno karać bliźniego śmiercią, nie wolno wreszcie korzystać z nadmiaru dóbr doczesnych — poza zaspokojeniem prymitywnych potrzeb życiowych, skoro obok mnie bytuje tylu bliźnich w nędzy i biedzie; ostatnia zasada, wydedukowana z „czystego słowa Bożego", prowadziła u pierwszych braci polskich do negacji własności prywatnej.

Ciasny rygoryzm etyczny doktryn polityczno - społecznych arian polskich w pierwszych okresach istnienia doprowadził ich do koncepcji czystego anarchizmu. Prostą konsekwencją tego rygoryzmu u prostolinijnych pierwszych arian były takie np. wypadki, że karmazyni Niemojewski i Brzeziński wyprzedają się ze swoich dóbr kujawskich, a uzyskane pieniądze użytkują na pomoc dla biednych współwyznawców. Późniejsze życie i doświadczenia stępiły ostrze tych absolutnych rygorów etycznych i doprowadziły je do pewnego kompromisu z rzeczywistością. Właśnie naszym synodom przypada rola dość znaczna godzenia dogmatyki polityczno - społecznej arian z wymaganiami chwili bieżącej, chociaż przyznać trzeba, że kompromis ten często przeprowadza się w sposób dość osobliwy, często adwokacko - kazuistyczny, jak przystało Polakom, narodowi adwokatów.

A więc sprawa procesów, przysięgi i kary śmierci. Rakowianie z r. 1602 nie negują już, jak ich poprzednicy, sądu państwowego, owszem, dopuszczają możliwość wytoczenia sprawy przez „chrystianina" przed forum państwowe. Nie dopuszczają jednak prawa sądzenia się przez chrystianina w tych sprawach, które by miały na celu nie zadośćuczynienie w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, ale zemstę, odpłatę, odwet. Jeżeli mnie ktoś zranił, wolno mi pozwać przeciwnika do sądu dla zadośćuczynienia szkodzie, dla odszkodowania, ale nie w intencji poszukiwania zemsty. Jeżeli mnie ktoś ukrzywdził na czci, wolno mi pozwać dyfamatora do sądu w intencji przywrócenia

czci własnej, choćby to pociągnęło nawet za sobą utratę czci przeciwnika, nie wolno mi natomiast sądzić się z dyfamatorem tylko dla odebrania mu jego czci, a więc w zamiarze zemsty.

Dość znaczną ewolucję w stosunku do pierwotnego stanowiska arian widzimy w r. 1601/2 w kwestii obrony własnej, kary śmierci i wojny. Jan Niemojewski ukazywał się dawniej na sejmie ostentacyjnie z drewnianą szablą przy boku. Synody rakowskie pozwalają już nosić miecz, choć nie pozwalają na zabijanie przeciwnika, choćby nawet napastnika. Wolno, co prawda, wydobyć miecz we własnej obronie, ale nie wolno walczyć w takim usposobieniu, że się raczej woli zabić przeciwnika, niż siebie narazić na zabicie. Ale jeżeli już doszło do zabicia napastnika, względnie rozbójnika, popełnia się grzech ciężki, choć znowu nie tak ciężki, jeżeli to nastąpiło w obronie własnej. Ciekawa jest teoria bicia człowieka, nad którym się ma władzę; bić go wolno, ale nie zabijać; nie wolno natomiast bić żony, ponieważ żona nie jest tylko poddaną, ale i socia vitae; wolno ją stłuc, ale pod warunkiem, że uderzenie doprowadzi do jej poprawienia. W sprawie kary śmierci rakowianie za Socynem wypowiedzieli się przeciw niej i Socyn wyraźnie powołuje się na polityków, którzy twierdzą, że państwo wygrywa, jeżeli zbrodniarzy karze innymi sposobami, np., mękami, ponieważ to jest skuteczniejszy środek, odstraszający od zbrodni, aniżeli śmierć.

A teraz sprawa arcyważna — sprawa wojny. Od r. 1575, kiedy wyszły „Rozmowy chrystiańskie" M. Czechowicza stanowisko jego, zabraniające kategorycznie „chrystianom", tj. antytrynitarzom, udziału w wojnie, było stanowiskiem obowiązującym zbór. Rakowanie zaczynają się już liczyć z życiem Polski i jego wymaganiami dla szlachty. Zezwalają więc szlachcie na udział w wyprawie wojennej. Gdyby bowiem szlachcic odmówił swego udziału w wyprawie wojennej, naraziłby się na dyfamację i konfiskatę dóbr, co pociągnęłoby nędzę dla niego i dla rodziny, a nędza jest doradczynią czynów hańbiących. Lepiej jednak, jeżeli szlachcic może się wykupić od wyprawy wojennej. Podczas wojny nie wolno zabijać przeciwnika; broniąc swobody dobrze brat polski uczyni, jeżeli nie stanie na takim stanowisku, które będzie wymagało zabijania wrogów. Jeżeli jednak dojdzie do zabicia wroga z ręki arianina, jest to wprawdzie grzechem i to ciężkim, ale

mniej ciężkim np. od cudzołostwa. Na wieczne natomiast potępienie skazany jest ten z braci polskich, który zawodowo trudni się żołnierką. Charakterystyczne, że rakowianie zabraniają zasadniczego prowadzenia wojny, nawet wojny w obronie kraju, tłumacząc to osobliwie, że chrzecijanom Bóg nie wyznaczył na świecie żadnych krajów, jak np. Żydom wyznaczył Ziemię Obiecaną.

Mocne odchylenie od pierwotnego bezkompromisowego stanowiska w kwestii własności protokółuje Szmalc w ustawach rakowian 1602 r. Rakowianie stanęli na stanowisku, które w niczym zasadniczo nie różni się od dzisiejszej praktyki katolickiej. Uznają więc własność prywatną, nie wolno natomiast trudnić się gromadzeniem bogactw dla nich samych, ponad konieczne potrzeby życiowe. Kogo los obdarzył większym majątkiem, na tym spoczywa obowiązek obfitego rozdawania zasiłków braciom swoim. Dalecy również jesteśmy od wspomnianego Niemojewskiego, chodzącego stale w szarym kopieniaku i Socyn, a za nim uczestnicy synodów rakowskich, nie widzą nic zdrożnego nawet w wytwornym ubiorze brata polskiego. Zajęto się jeszcze kwestią praktyczną dyscypliny zborowej, codziennego życia braci polskich, w których napiętnowano tz. „letniość" życia; zażądano przeto większej skromności w trybie życia codziennego, większego umiaru, karności, mniejszej buńczuczności. Sądzę jednak, że tych nagan nie należy brać dosłownie w świetle współczesnych obserwacji Anglika Tomasza Segetha, który stwierdza, że znalazłszy się w Rakowie, miał wrażenie, że został przeniesiony w inny świat; „podczas gdy gdzie indziej wszystko było pełne hałasów wojny i zamieszek, tutaj było cicho, ludzie wprawieni w skromność i spokój, iż mógłbyś sądzić, że są aniołami". Jak widać, bracia polscy umieli pogodzić głoszone przez siebie hasła teoretyczne ze swą praktyką życiową.

To byłyby najważniejsze zagadnienia, interesujące nasze rakowskie synody, które przedstawiłem w możliwie zwięzłym skrócie. Podałem tylko najogólniejsze wyniki obrad rakowskich. Nie mogłem, niestety, oddać tego, co stanowi istotę wymowy tych siedemnastowiecznych szpargałów łacińskich i tego czaru borykania się naszych myślicieli religijno - społecznych z dręczącymi ich wątpliwościami, tego mozołu poszukiwania prawdy wśród namiętnych sporów i walk przeciwnych sobie opinii, tego trudu badawczego, z jakim ci ludzie z kieleckiego Rako-

wa przedzierali się przez zagmatwany gąszcz zdradzieckich zasadzek myślowych, żeby wejść na jasną i otwartą drogę zgody doktryny, którą wyznawali, z nakazami rozumu i sumienia, nakazami polskiej racji stanu. Trudno oczywiście szukać u dzisiejszego człowieka porozumienia z opiniami ariańskimi, przynajmniej ze znaczną ich częścią, ale nie można nie ulec wzruszeniu na widok ich trudu badawczego, i bezkompromisowej postawy etycznej wobec świata, jakie widnieją w pozostawionych nam przez Szmalca protokółach rakowskich. Bo to byli ludzie bezkompromisowi.

Ludzie kompromisu, różnowiercy polscy w. XVI i XVII, bo o nich tylko mówię, pozostali w obozie kalwińskim i luterskim. A ponieważ nie rządzili się kompromisem, czekała ich długa jeszcze droga oczyszczenia zboru z doktryn, przeciwnych rozumowi i rozsądkowi politycznemu w państwie polskim, a zbyt prostolinijnie wydedukowanych ze słów Ewangelii. Przezwyciężyli doktryneryzm w zakresie pojęć o własności prywatnej, w zakresie procesowania się. Ale niewątpliwie połowiczność tkwi w ich uchwałach, dotyczących wojny, dodajmy, połowiczność groźna dla wszystkich „chrystian" — Polaków, którzy widzieli przecież, że nie mieszkają na księżycu, ale na zagrożonym mocno bastionie polskim, atakowanym na Podolu przez Tatarów, a niebawem zagrożonym przez potop szwedzko - ukraiński.

Tymczasem jednak znany katechizm rakowski, owoc zbiorowej pracy rakowian, wyraz oficjalnej wiary zboru, ogłoszony w r. 1605 po polsku, a w r. 1609 po łacinie, przyjmuje wszystkie tezy religijno - polityczne, ustalone na zjazdach w Rakowie w r. 1601 i 1602. Ten sam duch opozycyjny przeciw wojnie i u działowi w niej arian widoczny jest również w tz. sztambuchu Lubienieckiego, pamiętniku rakowskiego arianina, do którego wpisywali się znaczniejsi bracia i goście zagraniczni. Sztambuch ten, przechowywany w Muzeum Czartoryskich pod Nr. 1403, jest, mówiąc nawiasowo, arcyciekawym dokumentem filologicznej uczoności arian, którzy wpisują się Lubienieckiemu nie tylko w jęz. polskim i łacińskim, ale również we wszystkich prawie językach europejskich i wielu językach wschodnich, między innymi w jęz. arabskim i chaldejskim. To jest fakt, którego oczywistość zaświadcza autentyczny dokument, do dziś dnia przechowany. W tym oto sztambuchu rakowskim znajduje się również wpis

arianina Macieja Wojnarowskiego, który zginął pod Chocimem w r. 1621. Lubieniecki właściciel sztambucha, na wieść o jego śmierci znalazł kartę Wojnarowskiego, na której dopisuje mu następujące zgryźliwe wspomnienie:

Rzekłeś był Panu swemu być jego żołnierzem,
Z światem, ciałem i diabłem walczącym rycerzem,
A tyś, ze światem idąc, nie wojnę duchowną,
Aleś ziemską wziął przedsię. Tam naprawdę równą
Z mężobójcami — ś odniósł od tureckiej szable.
Toć twych rycerzów koniec, okrutniku diable!

Tak jeszcze pisze Lubieniecki, jak pisała i mówiła starsza generacja ariańska. Młodzi mówią już i czynią inaczej i biorą tłumny udział w wojnach moskiewskich Władysława IV. Spotykamy wśród nich przedstawicieli czołowych arian: Moskorzewskich, Buczyńskich, Kuroszów, Przypkowskich. Z ostatnich pochodzi wybitny teoretyk ariański i niezgorszy wcale poeta patriotyczny — Samuel Przypkowski. Temu właśnie przypadło w udziale ostateczne pokonanie antypaństwowego i antyżyciowego poglądu arian na wojnę. Dokonał tego na krótki już czas przed wypędzeniem arian z Polski w traktacie: Uwagi nad Breniusem oraz O prawie urzędu. Stanął on na szerszym stanowisku afirmacji państwa i jego pełnych uprawnień, a więc między innymi prawa prowadzenia wojny, w której bez obrazy sumienia może wziąć udział każdy arianin. Usunął wszelkie wątpliwości w kwestii obrony arianina przed przeciwnikami z mieczem lub artykułem prawnym w ręku, uzasadnił pełne prawo chrześcijanina do posiadania prywatnej własności. A uczynił to wszystko w pełnym porozumieniu z duchem, a nawet literą prawa Chrystusowego. Polska racja stanu i polska tradycja rycerska znalazły wreszcie właściwy, wyraźny a dla kraju pożyteczny wyraz w teorii i praktyce życiowej unitarian. Żałować należy, że tak późno, co się zresztą odbiło na ich losach. Dlatego też cenna jest praca Przypkowskiego w dziejach ewolucji ideologii politycznej arian polskich. Zdaniem wybitnego znawcy tych spraw, Stanisława Kota, rozprawy Przypkowskiego są pierwszymi w Polsce gruntownymi i oryginalnymi dziełami o stosunku wzajemnym kościoła i państwa, podobno nie bez znaczenia dla ewolucji myśli prawniczej w Holandii i Anglii, a potem w racjonalizmie

oświecenia. Ten wpływ naszej myśli badawczej, rodem z krainy kieleckiej, na myśl zachodnio-europejską, nie wyda się może bardzo dziwnym, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że znaczna część traktatu Hugona Grotiusa De jure belli et pacis powstała pod natchnieniem idei politycznych arian małopolskich z Socynem na czele. Tak twierdzi Stan. Estreicher.

Jak widać, polski renesans nie kończy się w w. XVI, jak się to pospolicie twierdzi, ale idzie zdecydowanie naprzód w głąb siedemnastowiecza, w tym wypadku na polu myśli filozoficzno-prawnej i rehabilituje ten wiek, tak długo w nauce polskiej pogardzany. Zasługa to niewątpliwie naszej Kielecczyzny, w której zakątkach myśl badawcza trwała i rozwijała się w tym czasie jeszcze, kiedy w innych dzielnicach Polski przycichł już gwar dysputy filozoficznej, a mądra książka przestała nawiedzać dwory szlacheckie.

Dr JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

BITWA POD KLISZOWEM W POLSKIEJ POEZJI POLITYCZNEJ

WIKTORIA wiedeńska była właściwie ostatnim wielkim czynem polityczno-wojskowym rzeczypospolitej szlacheckiej.

Ostatnie lata panowania Jana Sobieskiego likwidowały jego wielką popularność króla-zwycięzcy i znaczenie europejskie państwa polskiego. Od czasów Sobieskiego Polska schodzi powoli z wyżyn swego mocarstwowego stanowiska, na których świeciło jej tak jeszcze niedawno jasne słońce chwały europejskiej. Panowanie Sasów przyśpieszyło niewątpliwie ten marsz polski w niziny, zwłaszcza zaś panowanie Augusta II; za niego wykruszyły się żywotne siły narodu w nieustannej rozterce i walce szlacheckiej inter majestatem et libertatem. Zaczął się ten proces na dobre od chwili, kiedy August II wciągnął kraj w wielką awanturę wojenną, zwaną wojną północną, która doszczętnie wyniszczyła kraj, a owoce miała przynieść tylko jego wrogim sąsiadom.

Zaczepiony przez trójprzymierze rosyjsko-sasko-duńskie Karol XII poczuł w sobie krew swych drapieżnych przodków. Po rozgromieniu Danii i Rosji miała i Polska doznać skutków powtórnego już w dziejach najazdu septentrionów. Karol XII chciał unieszkodliwić Sasa, odebrać go Polsce i dać jej w zamian króla z własnej nominacji. Kiedy więc wpadł do Polski po zajęciu krajów nadbałtyckich i opanował w maju 1702 r. stolicę państwa, nie poprzestał na tym, lecz ścigał uchodzącego przed nim Augusta dalej na południe. Wreszcie „Aleksander" szwedzki dopadł „Dariusza" saskiego.

Do spotkania doszło w dn. 19 lipca. August przyjął bitwę — w obronie chyba Krakowa, do którego już było niedaleko — między Kijami a Kliszowem, mając za plecami warowny zamek pińczowski.*)

---

*) Potężny masyw tego zamku, przytłaczający po prostu rozłożone u jego stóp miasto, spotkać można na rycinie współczesnej, reprodukowanej w dziele Morawskiego „Arianie polscy" (Lwów 1906). Dziś z zamku pińczowskiego pozostały smętne resztki, znikające z roku na rok. Kiedy dwa lata temu znalazłem się na górach

Dwunastu tysiącom obdartych i wynędzniałych w ciągłych bojach Szwedów mógł August przeciwstawić dwudziestotysięczną przeszło armię sasko-polską. Sama bitwa znana jest w historii pod dwiema nazwami i obie biorą początek od dwu wsi Kije i Kliszów, na których osi bitwę stoczono.

Polak osiemnastowieczny, lubiący się bawić kalamburami, chętnie używał nazwy pierwszej, jako że Kije nasuwały dostępne a miłe opozycyjnemu uchu wobec króla skojarzenia. Król August, który dostał cięgi pod Kijami, to „król ukijowany". Ten epitet spotyka się w rękopisach epoki saskiej i przylgnął on na stałe do króla, który

...wziął niezgorszą chłostę pod Kijami,
Gdy battaliją stracił, bijąc się z Szwedami.

(rkp. Nr 295 Tarnowskich w Suchej, rkp. Nr 859 Zamoyskich w Warszawie).

Inny wierszopis, równie jak poprzedni przeciwnik Sasa za to, że „Polakom chce mocno rogów przycierać", usiłuje odtworzyć epicki przebieg bitwy, podczas której „król August vivat wykrzykuje, wojsko szykuje"; usprawiedliwia Polaków, bo ci „się niedługo bili nieboracy, bo im potem z armaty zagrano" („pomnij, Rykow kamrat... nie chodź na Lachów bez armat"); całą winę klęski zwala na Sasów: „krótko się bili, do tego niemężnie". Z satysfakcją i równie małym talentem notuje, że po przegranej Sasi uciekali mocno „choć ich nie goniono, od strachu pono" (rkp. bibl. Jagiellońskiej w Krakowie Nr 101).

Wiersz, z którego urywki cytuję, jest prawdziwy, bo odtwarza wiernie rzeczywistość nastrojów politycznych szlachty polskiej, ustosunkowanej wobec elektora saskiego wrogo w swej masie. W poezji istnieje jedna tylko prawda: prawda wyrazu poetyckiego, siła przekonania osobistego, w którym się ujawnia własne poglądy, uczucia i myśli. Jest to jedyna prawda, która obowiązuje nawet tego poetę minorum gentium, z którego wyjątki podano. Ale mamy prawo badać ten wiersz, jak i inne tego ro-

pińczowskich, stwierdzić mogłem, jak wiele z tych murów zniknęło w przeciągu lat kilkunastu, kiedy się Pińczowa nie widziało. Jakieś zabiegliwe a chciwe ręce wynoszą z nich stale twardy kamień i starą cegłę, a nie ma widocznie nikogo w Pińczowie, kto by chciał temu przeszkodzić. Równie szybko i bezpowrotnie niszczeje przepiękny zabytek architektury XVI w. — stara ariańska oficyna drukarska na przedmieściu Pińczowa — Mirowie.

dzaju, z punktu widzenia rzeczywistości innej, już nie subiektywnej, lecz obiektywnej.

I tu wypadnie stwierdzić, że wiersz informuje nas fałszywie o przebiegu całej bitwy kliszowskiej. Sasi bili się dzielnie, mając przeciw sobie równą prawie liczbę nieprzyjaciół. Przegrali zaś nie tylko dlatego, że Szwedom przewodził dzielny Karol XII: „battaliją” stracili głównie dlatego, że oddziały polskie, wchodzące w skład armii elektorskiej a dowodzone przez Hieronima Lubomirskiego, kasztelana krakowskiego i wielkiego hetmana koronnego, bardzo zagadkową odegrały w całej bitwie rolę. Jeden z historyków stwierdza, że hetman po pięknym uderzeniu husarii opuścił nagle z całą jazdą polską plac boju, wystawiając króla z piechotą i artylerią na klęskę (M. Kukiel, Zarys historii wojsk. w Polsce, 1929, str. 140). Inny krótko notuje, że wojsko koronne dwuznaczną i niezaszczytną rolę odegrało (W. Konopczyński, Dzieje Polski nowożytnej, 1936, II, str. 156).

Toteż inny jakiś anonim współczesny, przeciwnik oczywisty hetmana, w większej zgodzie pozostaje z rzeczywistością historyczną, kiedy tak oto pisze o Lubomirskim i jego udziale w kliszowskiej bitwie:

To go z potrzeby kliszowskiej zdradziło,
Że się we zbożach wojsko saskie biło,
Wolał się z wiecznym wstydem rejterować,
Niżeli bujny urodzaj tratować;
Woli chleb z miodem masłem namazany,
Aniżeli krwią odważnie spluskany.

(Zdanie poufałe towarzyskie 1703, rkp. Jag. 101).

Niefortunny hetman kliszowski nie cieszył się — i słusznie — względami szlachty, bo mu nie dano spokoju i później. W okresie elekcji Stan. Leszczyńskiego, kiedy sam zaczął pretendować do tronu polskiego, przypomniano mu, że „kazał uciekać, chociaż nikt nie gonił”. A inny oponent pognębił go w opinii, wypisując całe dzieje hetmańskie.

Nad Warszawą, nad Wisłą, nad Narwią, nad Bugiem
Zwiedziłeś cudze kraje, włócząc się z buńczugiem,
O czym publicznie mówią. Ja frywolnie wołam:
O, jak to straszny hetman brogom i stodołam!
Księdzem bywszy*) brałbyś był półsnopek dziesiąty,
Gdyś hetmanem, rabujesz wszystkim chłopom kąty.

(rkp. Zam. 839)

---

*) Lubomirski był kawalerem maltańskim.

Mam w tece całą serię wierszy politycznych, opiewających inne, z różnych czasów polityczne czyny Lubomirskiego; poprzestać tu muszę na powyższych, jako że się bezpośrednio wiążą z naszym przedmiotem. Jak widać, poezja okolicznościowa jest dość wiernym sędzią ludzi i zdarzeń, jest tym trybunałem, który wymierzył sprawiedliwą karę właściwemu sprawcy klęski kliszowskiej — Lubomirskiemu.

Ale wróćmy do Kliszowa.

Istniała w dawnej Polsce bardzo rozpowszechniona moda komponowania epitaphiów, napisów nagrobnych... Szanowny to rodzaj literacki, sięgający progeniturą czasów klasycznej starożytności. Przejęła go polska poezja humanistyczna, a z jej koturnowych wyżyn nagrobek zszedł do nizin szlacheckich. Stał się popularnym rodzajem literackim, służącym szlachcie do rozmaitych celów politycznych. Zaczęło się naturalnie od komponowania nagrobkowych napisów w celu panegirycznym lub też satyrycznym, zależnie od tego, czy chciano pochwalić zmarłą osobistość polityczną czy też ją naganić. Pisano te nagrobki prozą nakamienną i to nieraz w rozmiarach przerażających, obejmujących życie jakiejś wybitniejszej osobistości od jej urodzenia aż do śmierci w szczegółach najdrobniejszych. W rękopisach siedemnastowiecznych znalazłem nagrobki, wypisane na trzech stronach in folio drobnego pisma. Z czasem zaczęto komponować napisy nagrobkowe pod adresem postaci fikcyjnych, symbolów poetyckich itd. Pełno np. spotyka się nagrobków w dawnych rękopisach, poświęconych ginącej Wolności Polskiej, Matce-Ojczyźnie, zepchniętej do grobu wdzięcznymi rękoma jej własnych synów i tym podobnych. W ostatnim wreszcie stadium ewolucyjnym napisy nagrobowe zaczęto wypisywać osobom jeszcze żyjącym, w chwalebnym oczywiście zamiarze uśmiercenia nieprzyjaciela w opinii społeczeństwa. Wyglądało to jakby na wieszanie in effigie zdrajców ojczyzny. Pod tymi okrutnymi nagrobkami grzebano za życia zdrajców ojczyzny z czasów Sejmu Czteroletniego i Targowicy, w rodzaju Szczęsnego Potockiego czy Branickiego.

Nic też dziwnego, że z popularnej bardzo formy literackiej nagrobka skorzystano również i z okazji bitwy kliszowskiej, aby przy ich pomocy sformułować opinie polityczne i lansować je w społeczeństwo szlacheckie. Nagrobki te są wcale nieźle pod względem literackim zmajstrowane; należy je nawet zakwalifikować jako utwory literackie najlepsze wśród całej poezji okolicznościowej, jaka

powstała wokół wypadków kliszowskich. Ciekawe są jeszcze i z tego względu, że odsłaniają nam dość wyraźnie nastroje religijne społeczeństwa saskiego, dalekiego, jak skądinąd wiadomo, od jakiejkolwiek wyrozumiałości dla akatolików.

W zbadanych przez siebie zbiorach archiwalnych znalazłem cztery nagrobki kliszowskie: dwa poświęcono Sasom katolickim i niekatolickim, jeden — Szwedom i jeden — Polakom, poległym na błotach nadnidziańskich. Jak uczy względnie jednolity styl i jednolity nastrój przenikający je, pisała te nagrobki jedna ręka anonimowego zelanta katolickiego, regalisty, augustowszczyka. Polakom przypina łatkę w najmniej może udanym nagrobku, toteż go chętnie pomijamy; dopieka rodakom mimochodem w innym jeszcze nagrobku, poświęconym komu innemu, a zatytułowanym:

Sasom katolikom pod Kliszowem na bagnach leżącym w batalii mila od Pińczowa A. 1702:

Tu spoczywają ciężko zbici Sasi,
Których Polacy oszukali nasi.
Gdy tak waleczni uciekli Marsowie,
Inne też imię będą mieć w Kliszowie *).

A ci, że byli katolicy wierni,
Już ich do nieba przyjęli odźwierni.
A jeśli dusza czego więcej pragnie,
Ulgnąwszy, dotąd jęczy w strasznym bagnie,
Jednym ją dźwignij westchnieniem ku Bogu,
Aby stanęła na niebieskim progu.

(rkp. Nr 30 Akademii Umiejętności w Krakowie, rkp. Nr297 Krasińskich).

Oczywiście, że zupełnie inaczej wygląda pod piórem ortodoksyjnego katolika nagrobek „Sasom niekatolikom"; jest on tak ciekawy ze względu na tenor treści, jak również i ze względu na swoiście zgrabną swą stylizację w duchu literackim epoki saskiej (i ta ma swój wdzięk odrębny, zrozumiały dla osoby, operującej historycznym zmysłem literackim), że warto go zacytować in extenso:

Tu innej sekty Sas ulgnął po uszy,
Tu też naznaczył odpoczynek duszy:
Że żył w Marcina Lutra zawsze kale,
Otóż i umarł w błotnistym kanale.

*) Zwrócić należy uwagę na rym, wskazujący na możliwą wymowę nazwy wsi Kliszów z mazurzeniem, możliwym na terenie małopolski, nawet wśród szlachty. Jeżeli przypuszczenie to jest trafne, wtedy umiejscowienie autora na gruncie Małopolski byłoby już łatwe.

Inaczej trudno tuszyć jego duszy,
Tylko że się tam skalana osuszy,
Gdzie Marcinowi opiekają łydki
Za ciężkie błędy i światowe zbytki **).

Wiersz tchnie oczywistym sadyzmem autora, który, jak widać z dosadnej plastyka piekła, zbyt już wiele czerpie przyjemności z przyglądania się w swej wyobraźni mękom piekielnym luteran, ale też zrozumiały jest na tle psychozy religijnej czasów saskich. Z tej samej psychozy płynie zaciętość, z jaką pod adresem poległych luterańskich Szwedów pisze ten sam anonim:

Już teraz szwedzka nader dobra wiara,
Gdy męczenników prawie co niemiara.
Całujcież teraz szwedzkie relikwije,
Którzy z Szwedami trzymacie fakcyje.

Nie trudno już teraz wywnioskować z tego, co się napisało, że Polakom, którzy polegli na błotnistych łąkach Nidy w uczciwie dopełnionej potrzebie wojennej, zgotowany jest wieczny triumf w niebie.

Nadspodziewanie łagodnie wypadła ocena tych żołnierzy polskich z kwarty, którzy

Woleli swój grzbiet uchylić pod Kije,
Niżeli kruszyć o Szwedów kopije.

Dla zrozumienia dwuznacznika wiersza ostatniego dodam, że odwrót pobitej armii Augusta II szedł na Kije w kierunku Pińczowa. Nie zagrzali w nim Sasi miejsca, bo im deptał po piętach Karol XII. Ten zajął niebawem zamek pińczowski, ale siedział w nim ogromnie długo, ku wielkiemu zdumieniu współczesnych, którzy żadną miarą nie mogli zrozumieć, dlaczego to Aleksander zaniechał nagle wykończenia Dariusza. Szwedzi zajęli Kraków dopiero 7 sierpnia.

Na tym wyczerpałbym bezpośrednie echa epizodu kliszowskiego we współczesnej poezji okolicznościowej. Ale Kliszów i Kije mają swój dłuższy żywot w tej poezji, gdyż spotykamy się z nimi pośrednio w poezji politycznej, która powstała w związku z detronizacją Augusta II i elekcją Stanisława Leszczyńskiego, to jest w jakieś dwa lata po bitwie kliszowskiej. Wtedy bowiem nadeszła dla Karola XII dogodna pora dla ostatecznego rozprawienia się

**) Za zbytki z „Katrynką", którą Lutrowi po sto razy wypomina poezja pierwszej połowy w. XVIII.

z Sasem. Leszczyńskiego proklamowano królem z woli Karola XII w obozie pod Warszawą w dn. 12 lipca 1704 r. Nowego króla poparła konfederacja jeneralna, w której rej wodzili prymas Radziejowski, Pieniążek, Hieronim Lubomirski oraz marszałek konfederacji Bronisz.

Z całej spuścizny literackiej, osnutej wokół zdarzeń elekcyjnych, zainteresować nas tu może wiersz p. t. „Prawda fałsz konwinkująca, omylne dająca auguria, w Warszawie 6. Augusti 1704 (rkp. Tarnowskich w Suchej Nr. 295, tenże wiersz w cytowanym już rkp. bibl. Jagiell. Nr 101).

Wiersz cały, pisany w formie dialogu dwu przeciwnych obozów politycznych osób, wyszedł z obozu saskiego. Jego kośćcem kompozycyjnym jest gra słów na temat „Kijów". Król August II figuruje w nim oczywiście jako „król ukijowany", Leszczyński naturalnie obiecuje mu sprawić lanie kijami, naciętymi z leszczyny, a gdyby te nie wystarczyły, ma do dyspozycji:

> ...jeszcze i inne kije, jabłonowe,
> Weźmie od nich król August znowu plagi nowe.

Miał niby prawo liczyć na nie król Leszczyński, jako że był urodzony z Jabłonowskiej, choć prawo niezupełne. Bo oto.

> Kiepskie *) to i te kije, bo są macierzyste,
> Lepsze są u Augusta, lepsze, bo ojczyste
> Wojewody ruskiego, także koronnego
> Chorążego, którzy się niczego płonnego
> Chwytać nigdy nie zwykli, że też i krewności
> Odstępują dla stałej panom swym wierności.

Istotnie, niewszyscy Jabłonowscy stanęli przy swym siostrzeńcu, a wuj rodzony nowego elekta, Jan Stanisław, woj. ruski, dopiero w r. 1706 stał się jego zwolennikiem.

Ostatecznie jednak pognębiają augustowszczycy swoich przeciwników:

> Utnie się ta leszczyna swą własną siekierą,
> Bo niedołężne drzewo z jego manijerą.
> Na Kije od Kijowa idzie rewanż duży:
> Zdarzy Bóg miłosierny, że szczęście posłuży.

---

*) Wyraz kiep w staropolszczyźnie znaczy membrum muliebe; na grze słów polega „finezja" wiersza. Wyraz „kiepski" użyty jest w podwójnym znaczeniu: w starym, obscenicznym i nowym, dzisiaj używanym.

Miało się stać zadość gorącym pragnieniom polskim; przyszedł w końcu rewanż od Kijowa, ale moskiewskie tak upragnione „kije” spadły raczej na polskie, niż na szwedzkie grzbiety, a szczęście zaczęło coraz skuteczniej służyć Rosji. Od interwencji Piotra Wielkiego na ziemiach polskich w okresie wojny północnej zaczyna się kuratela moskiewska w Polsce. Odtąd już Rosja nie wypuściła Polski ze swych pazurów.

Dr JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

F R O N T   N A D   N I D Ą

PO STARYCH biurkach i komódkach, wśród bezużytecznych, nikomu już niepotrzebnych papierów, kryją się nieraz skarby bezcenne. Ot tak sobie ktoś po prostu notował wydarzenia w kalendarzu i ten kalendarz ocalał. Nawet, gdy czasy były zwykłe, ta szara codzienność, jej troski i sprawy, różne pozapisywane sceny i ceny — to kopalnia wiadomości dla badacza dziejów społecznych i kulturalnych. A cóż dopiero mówić, gdy chodzi o czasy tak zwane „ciekawe". Jakżeż przyjemnie wiedzieć, jak się wtedy na co dzień żyło, co ci ludzie wtedy robili i jak odnosili się do tej swojej historycznej epoki.

Czas szybko leci i tak niedawna wielka wojna też już jest polem zainteresowania dziejopisów. Dzieła całe powstały o jej przebiegu i bez liku ukazało się różnych pamiętników. I tu chciałbym dorzucić rzecz całkiem drobną, ale tyczącą się naszego regionu i przez to podwójnie dla nas ciekawą.

Oto babka moja, śp. Eleonora z Glinka-Janczewskich Fryczowa (1860—1918) zostawiła po sobie taki bezpretensjonalny raptularzyk, gdzie z dnia na dzień ponotowała ciekawe fakty. Groza wojenna szalała wtedy nad całym światem i nie ominęła cichego dotychczas, odludnego wiejskiego zakątka. Dwór w Probołowicach także zaznał losów wojennych. W okolicy zburzono słynny kościół wiślicki, spalono przepiękne Czarkowy, zniszczono bombardowaniem setki dworów i chat; dużo było różnych marszów i kontrmarszów i wszelakiej zawieruchy. Ale notatki niestety wszystkiego tego nie opisują — zaczynają się nie pamiętnym sierpniem 1914 r., ale dopiero 5 lutym 1915 r. i do końca tylko tego roku dochodzą.

Nie pretendują one do żadnej wartości literackiej, ale napisane są ciekawie i bezpośrednio. Naprawdę, choć w tak ułamkowych, ożywa w nich ta ciekawa epoka i dlatego też decyduję się je przedstawić szerszemu ogółowi, choć nie z tą myślą były pisane. Zasługują jednak na czytanie i czytelnika nie zawiodą, byle tylko pamiętał, że to nie

opracowane stylowo wspomnienia ani dzieło sztuki, ale zwyczajne kartki z kalendarza, zwyczajny, prosty notatnik z burzliwych czasów.

Karol Stefan Frycz.

LUTY.

5-tego. Okropny dzień! Zyg pojechał do lasu, który tną na potęgę pod pozorem, że to własność rządowa; tymczasem tutaj rozebrali pontonierzy nową szopę od maszyn wartości 400 rb. i pomimo zabiegów moich zabrali 3 cielęta i świnkę na oprosieniu za marne 250 koron. Żona Andrzeja (lokaja) chora na tyfus; przy zmianie kwatery przeniosłam ją z kredensu do pokoju na korytarzu, miałam z tego powodu wiele przykrości, w końcu doktór ją zbadał i pozostawił w spokoju, a na drzwiach przybił papier, że wstęp do pokoju wzbroniony z powodu zaraźliwej choroby. Nasze saloniki i gościnny pokój zajęte obecnie przez doktorów i sanitariuszów, w kuchni pełno hołoty.

7-go. Nawet nasza stajnia cugowa zajęta na obce konie. Las rąbią w dalszym ciągu. Po nabożeństwie wstąpiłam do oberlejtnanta Szuberta, który mieszka na plebanii, żeby zrobił jaki porządek i zabezpieczył nam chociaż 3 krowy, bo zewsząd po nie przychodzą.

8-ego. Pogoda cudna, sanna taje. Rozbierają ośmiorak, byłam u doktorów na skargę; co dzień po obiedzie pełen przedpokój chorych, doktorzy ich opatrują. Zielony pokój zniszczony okropnie. W saloniku malarz Koszyk robi portret starszego doktora. Zyg był w Budziszowicach poskarżyć się na szkody u gen. Brandnera.

9-go. Wskutek wizyty Zyga przyjechał oficer od intendentury z Koniecmost i obliczał z wielką irytacją cenę wyki, słomy i drzewa (z płotów i sztachet). Zwożą jęczmień z brodła, tymczasem rozebrało wojsko brodło z wyką i ukradli wiadro od studni. Chodzą po ogrodzie, wycinają świerki i niektóre lipy. Na klombie z paprocią urządzili wychodek.

10-tego. Na podwieczorku malarz, potem urzędnik pocztowy Franciszek Baltowski przyprowadził dwóch kolegów z prośbą o książki; pogawędka przy bibliotece. Przyjeżdża lejtnant z Koniecmost i przywozi odszkodowania za rozebrane sztachety, wykę, słomę itd. — 1775 koron.

11-tego. Zgromiłam od rana żołnierzy w kuchni, bo grają w karty i hałasują do czwartej rano. Malarz na obiedzie. Mademoiselle z Januszem i z Ninką zatrzymuje straż

na spacerze. Rozbierają mieszkanie kucharza. Zyzio jedzie do generała, do Budziszowic, bo już zabierają buraki nasienne. Na spacerze oglądam dekunki, to jest mieszkanie żołnierskie w ziemi, kominy porobione z rynien. Przed wieczorem nieludzkie krzyki słychać z ogrodu; przywiązano do drzewa chłopa za karę, że kieliszek wódki sprzedaje po 1 koronie.

12-tego. Gen. Rozwadowski przyjechał tu niespodziewanie, Zyg mu towarzyszy, może oceni nasze straty. Do wieczora Zyg czekał pod lasem i w Budziszowicach na generała, ale niewiele wskórał. O lesie nic nie mówią. Byłam u oberlejtnanta Szuberta na plebanii — dworsko grzeczny i sympatyczny, ale szkód nie przyznaje wszystkich. Wieczorem żegnają nas oficerowie i oddają książki, malarz nie skończył portretu Januszka. Ruguje nas z jadalnego pokoju kwatera 6-go regimentu, który był w Nowy Rok.

13-tego. Od 6-tej ruch, wymarsz wszystkich. Kradną mi moździerz. W Turnawcu spalona stodoła. Za wyrąbane lasy obiecują odszkodowanie dopiero po wojnie. Przyjście landszturmu 31 reg. Odzyskujemy jadalny pokój. Dwie kobiety z Bochni przychodzą odwiedzić mężów, idą do Gór za nimi.

14-tego. Kucharz poszedł do Złotej, obiad gotują nam wojskowi. Ciepło wiosenne i błoto. Na Zakliniu ścięto topolę, od mojego strychu zabrano poręcz i półki ze szafy w kuchni.

15-tego. Na podwieczorek proboszcz przyprowadził kapelana wojskowego, Polak ze Lwowa, prefekt, przyjaciel biskupa Bandurskiego, wymowny i pełen animuszu. Mademoiselle oświadczył się z landszturmu wdowiec z Bielitz, który tam zostawił córeczkę, z zawodu jest kupcem.

16-tego. Na zakończenie przesmutnego karnawału Tadzio Krzyżanowski wyprawia zabawę, przyszło zaproszenie dla p. Wesołowskiej, Zyzia i Niny. Rada jestem, że się rozerwą. Namówili mnie i ja zaawanturowałam się z nimi, sądząc, że za dnia wrócę; tymczasem od 3-ciej po południu zeszło nam do 3-ciej w nocy. Była tam p. Krzyżanowska z córkami i miejscowi dragoni jako młodzież. Żołnierz grał na fortepianie i tańczyli w 4 pary. I tak przy pączkach i niby weselej zakończyli młodzi ten okropny karnawał.

17-tego. Popielec. Nie zebrałam się nawet do kościoła, od rana kłopoty. Odbili drzwi do piwnicy i zabrali 4 worki ziemniaków. Pani Gaszyńska miły list napisała do mnie z powinszowaniem, u niej też pustka coraz gorsza. Mademoiselle z Januszem wybrali się do Pełczysk. Zatrzymano ich, grożono rozstrzelaniem, wodzono od władzy do władzy, w końcu zjedli obiad w Pełczyskach i powrócili tu szczęśliwie pod eskortą żołnierza. Wieczorem granie, śpiewy, ogromna wesołość na kwaterze.

18-tego. Od 5-tej rano hałasy, 32 regiment wyrusza. Zaledwie się trochę wymiotło śmieci, nadciągnął 6-ty regiment. Po obiedzie wyjazd 6-go reg., przyjazd 13-tego artylerii. Major na podwieczorku, pokazując nam fotografię rodziny. Żołnierze dobijają się na strych, ale ich odpieramy.

19-tego. Całą noc ruch i hałas. Madziary kradną mi dwa indory. Wyruszają wszyscy, potem do południa przejazd armii, armat, trenów itd. Jeden z żołnierzy daje Januszowi zrabowany w Jurkowie model dworu tamtejszego. Prezentuje się dr pijany, który tu zabiera kwaterę, wieczorem trzeźwiejszy przychodzi z wizytą, daje butelkę wina i obiecuje mięsa.

20-tego. Daję śniadanie dwom doktorom. Odbijają drzwi do komórki i biorą buraki wydane dla krów. Przez nieostrożność żołnierze spalili zabudowania proboszcza w Górach i stodołę w Dembianach, gdzie spaliły się też maszynowe karabiny. Dwa konie zdechły z głodu.

23-ciego. Dwóch żołnierzy mdleje w marszu z Młódzów. Przynoszą ich do kuchni, gdzie leżą do południa jak nieżywi na słomie. Ogromne strzały słychać całe popołudnie. Spisują resztki naszego inwentarza.

24-go. Prócz Ninki wszyscy dziś niedobrze się czujemy. Zimno, chmurno, odgłosy armat od Jurkowa. Smutne wieczory przy świeczce, o mięso coraz trudniej.

25-go. W nocy kwatery wszystkie opuszczają Probołowice. Od śniadania ciągłe marsze i przejazdy. Wstępuje do nas b. miły kapelan z Cieszyńskiego pułku. Potem wpadają do saloniku pijani żołnierze, śpiewają, grają na harmonii i tłuką się po fortepianie. Zyzia wzywają do Michałowic do pontonierów. Ja uganiam się całe popołudnie z pijakami, którzy przeszkadzają pracować w kuchni. Potem przyjeżdżają honwedzi i huzarzy. Włamują się do stajni i konie do stodół wypędzają. Cała kuchnia pełna piechoty, gotują i hałasują całą noc.

26-go. Piechota wyrusza dalej, huzarzy zostają. U księdza proboszcza doktór na kwaterze. Konie wstawili do izby na organistówce. Zabierają znów od nas podwodę. W Michałowicach pontonierzy zapłacili cośkolwiek za buraki nasienne.

27-go. Nina z Mademoiselle przynoszą pierwsze śniegułki z lasu. Głuche przychodzą wieści, że piechota już w odwrocie, a kawaleria zastępuje ją w okopach i osłania. Huzarzy przyzwoicie zachowują się w pokojach.

28-go. Od 6-tej rano straszne hałasy w kuchni, żądają wanny, w końcu biorą balię na kąpiel dla kapitana i wyrywają deskę przed korytarzem. Mróz i pogoda cudna. W ogrodzie podkrzesali najpiękniejsze świerki.

MARZEC.

1-go. Śnieg i słonecznie. Wieczorem przyjeżdża artylerzysta Finder, zdaje się Żyd. Został tu na herbacie, mówi wszystkimi językami, dopytywał się gdzie by jeszcze owies znalazł. W Broniszowie zabrał resztę przeznaczoną do siewu. W Ziemblicach z pomocą wojska owies zasiali. O 11-tej pijani żołnierze wpadają do kredensu, żądając siana, potem jeden wtargnął do pokoju Mademoiselle, z pomocą pogrzebacza i trzeźwiejszego sierżanta wyrzucono go za drzwi. Pijatyka z rządcą i z kucharzem. Zyzio biegnie po oficera do Zająca, na szczęście ten prędko przychodzi i ucisza całą zgraję.

2-ego. Znów śnieżno i jasno. Budzi mnie o 6-tej rąbanie drzewa, wstaję i pytam, czy to już kurnik zaczęty wczoraj zwalają, szczęściem to tylko pniaki. Stach Najberek wrócił po dwóch tygodniach z podwody, zostawił konie i chomonta przy 6-tym regimencie.

3-ciego. Cała noc niespokojna, oficerowie i żołnierze pijani grają na harmonii, tańcują i krzyczą do 4-tej rano. Na obiad przychodzi piechota.

5-tego. Słychać strzały w Jurkowie. Szrapnel rozbił zegar w mieszkaniu nauczyciela, spaliły się tam 4 chałupy. Widać łuny w stronie Solca. Węgrzy improwizują orkiestrę, zachowują się przyzwoicie, przepraszali mnie za pijatykę zapewne dlatego, że rotmistrz wraca dziś z okopów.

6-tego. O 4-tej rano spalił się dwór w Złotej przez nieostrożność wojskowych! Cały dzień jestem pod wrażeniem tego nieszczęścia.

7-ego. Mróz i zadymka, idę piechotą do kościoła. Mademoiselle awanturuje się od rana, intryguje coś z kapitanem. Przy obiedzie zdenerwowana i wyjeżdża na wozie pod opieką wojskową niby do Wiednia. Pogłoski chodzą, że do Corps-Kommando. Może knuje spisek jaki na nas, bo wieczorem nie pozwalają nikomu wychodzić z domu i aresztują kowala z Pełczysk, który tu przyszedł do rodziny.

8-go. Trzy warty chodzą koło domu i nie wolno nikomu stąd się ruszać.

9-ego. Znowu jesteśmy w domowym areszcie, nawet na spacer do ogrodu wyjść nie wolno. Zyzio wzywany był na śledztwo i podpisywał protokóły. Nie wiadomo, o co właściwie chodzi. Z Pełczyskami przerwano miłe wizyty, już nikogo nie widuje się z sąsiadów. Reszta koni choruje z zimna i z głodu. Jednego dziś zastrzelili.

10-go. Jesteśmy dalej w niewoli, dowiadują się, czy wszyscy są w domu. Zatrzymują ogrodnika z Cieszków, który przyszedł z listami. Trzeba było listy i odpowiedź pokazać, przetłumaczyć i dopiero posłańca puścili. Dwie kobiety spod Chrzanowa przyszły odwiedzić synów w 16-tym reg. — zabłądziły tutaj i od wczoraj płaczą, uwięzione w pralni. Surowo nam jest zabronione korespondować lub widywać się z sąsiadami.

11-tego. Areszt obostrzony. Pięciu wachów nas pilnuje. Ciekawam, kiedy się to skończy.

13-go. Odwilż. Zabierają chłopów do naprawy dróg, do Działoszyc. Baby płaczą w kuchni i przed gankiem. Byłam z Januszem w ogrodzie, huzar cały czas miał nas na oku. Dali nam wina i rumu, mają trunków tak obficie, że znów dziś wszyscy pijani.

14-tego. Rotmistrz Weiss przychodzi się pożegnać. Jutro rano wyruszają huzarzy do Książnic. Pani Bukowska przysłała nam dwutygodnik „Wiadomości Polskie”, gdzie z żalem wyczytałam, że Staś Lemański poległ w Karpatach, w Mołotkowie, jeszcze w listopadzie z. r.

16-tego. Radzi z chwilowej ciszy oczekujemy z niepokojem nowej kwatery. Dopiero przed wieczorem przyjeżdża z Bobina 6-ty reg. huzarów. Czterech mieszka u nas i kuchnię niestety znowu zajęli. Słychać armaty. Łuna w stronie Jurkowa.

17-tego. Trzech huzarów z dzikimi nazwiskami złożyło nam wizytę. Jest to 6-ty reg. „Wilhelm II König von Würtemberg”. Studiuję język niemiecki i robię postępy.

21-szego. Zyzio zaproszony do huzarów. Zazdrościmy mu, bo szampan strzela. Podobno koło Czarków były nowe ataki na bagnety.

22-ego. Cudny dzień, ale przymrozek. Ninka z Januszem idą na spacer aż do szkoły; ja chodzę po ogrodzie i oglądam ze smutkiem połamane krzewy, ligustrów, wydeptane irysy! Ciągle pożary dokoła. Paliło się w Żurawnikach, mówią, że i w Chrobrzu.

23-ciego. Na przyjęciu niedzielnym huzarzy zaprojektowali, żeby Zyzio z nimi przejechał się konno do Złotej, skąd p. Wesołowski obiecał pożyczyć koni do robót polnych. Wycieczka się udała, Zyzio wrócił dopiero o 8-ej wieczór, przyprowadził 12 koni i siewnik. W Złotej ogromne zniszczenie; Kolbowa (żona rządcy) rozpacza o męża, bo rozchodzi się pogłoska, że go rozstrzelano, jako niby dezertera z armii austriackiej. Prawdopodobnie jest jeszcze w Działoszycach, albo go wywieźli do Ołomuńca. Pali się znów w Odrzywole. Tutaj zmiana kwatery, nasi huzarzy wynieśli się na plebanię, a na ich miejsce jest sztab z Czarnocina i zajęli mały pokoik przy śpiżarni.

24-tego. Spalił się młyn w Kobylnikach.

25-go. Cudny dzień wiosenny. Doszła nas wiadomość, że Przemyśl wzięty. Baron nie dopisał nam na obiad, bo rozchorował się i leży. Był tylko oberlejt. Ferry, przystojny i dość przyjemny. Dopytywałam się go o Felisia, był w Łąkach w październiku z. r. Zdaje się, że oni zaraz wtedy wyjechali, a majątek ich zniszczony.

26-go. Kossak jest w Działoszycach, jako rotmistrz, maluje tam konie i Żydów.

27-go. Zyzio konno jedzie na spacer z huzarami. Zaczęli siać owies. Słychać znowu strzały, mówią, że kościół w Wiślicy zburzony, w Jurkowie uszkodzony.

28-go. Zawiodła mnie nadzieja przesłania listu do Kielc, bo oberlejtn. Ferry nie dostał spodziewanego urlopu. Czas okropny, śnieg z deszczem. Po obiedzie mamy wizytę rotmistrza, prosi o kucharza, bo jutro przyjmuje obiadem hr. Apponyi. Przed paru dniami spaliła się oficyna w Budziszowicach.

29-tego. Biało od śniegu. Apponyi nie dopisał. Wieści, że Rosjanie budują mosty, a Austriacy robią okopy, aż pod Probołowice, oby to bajką było!

30-tego. Słychać znowu strzały, mówią, że od Krakowa. Warta chodzi koło domu, pogoda okropna. Zyzio od-

wiedzą p. Ślaską w Broniszowie: sieją, spokój, nie mają żadnej kwatery.

31-szego. Krzątam się od rana, bo świnkę zabiliśmy na święta. Huzarzy patrzą na nią z zazdrością. Rotmistrz Hempel dwa razy nas odwiedza i rozwesela humorem.

KWIECIEŃ.

2-ego. Mimowoli robię ciągle porównanie dawniejszych świąt z obecnymi. Tak przykro być z dala od ukochanych i nic o nich nie wiedzieć z powodu braku koni i trudności paszportowych. Proboszcz nie będzie święcił po wsiach, a że bieda ogólna, nader skromne nasze święcone. Pasja krótka odbyła się, o trzeciej byliśmy wszyscy pomodlić się u Grobu. Wieczorem zajrzał rotm. Hempel.

3-ciego. Przez konsulat szwajcarski usiłuję posłać list napisany parę dni temu do Mamy i Jadwini, oby ich doszedł. Rotmistrz odniósł mi list, (musiałam jedno zdanie wykreślić o wyrąbanych lasach), może go wyślą po tej cenzurze. Zyzio jeździł konno z rotmistrzem i Jámborfy, młodziutkim lejtnantem. Na podwieczorku byli dwaj bracia v. Fluck i Jámborfy, który nam przypomina Gyurkowicsów (aluzja do znanej powieści Herczega, p. wyd.). Skromne święcone poświęcił ksiądz proboszcz. Po obiedzie wstąpił jadąc podług tradycji lepszych czasów do Cieszków.

4-tego. Byliśmy wszyscy na sumie. Potem ja sama wstąpiłam do księdza proboszcza, gdzie z nim, z v. Fluckiem i Jámborfym dzieliłam się jajkiem. Na święconym i obiedzie mieliśmy p. Wesołowską z Jędrkiem, p. Lubiszowskiego i rotm. Hempla. Dwa razy go odwołano — raz pijani huzarzy pobili się nożami, potem była wiadomość, że jednego huzara zabito gdzieś nad Nidą i zwłoki jego przywieźli przed kościół. Zapewne jutro pogrzeb będzie. Ninka ze spaceru z Jędrkiem wróciła w towarzystwie obersta Blaszke i doktora. Byli na podwieczorku również Jámborfy i rotmistrz. Potem jeszcze poszli na spacer, ja siedzę samotna i myślę z tęsknotą o ukochanych. Pogoda cudna i lepiej ten dzień przeszedł niż myślałam, ale jakże inaczej niż dawniej. Panowie byli chwilę w Czarnocinie upominać się o pomoc przy zasiewach.

5-tego. Po nabożeństwie odbył się pogrzeb poległego huzara, trumna ubrana wieńcami świerkowymi stała przed dzwonnicą, oczekiwała zwierzchność i towarzysze broni na przyjazd kapelana z Czarnocina i pochowali biednego

wojaka na nowym cmentarzu, obok grobów naszych. Na noc przyszła jakaś piechota, leżeli w ogrodzie i w stodole. W czasie obiadu oficer z Czarnocina wywołał Zyzia i dowiadywał się o potrzebach naszych co do siewów.

6-tego. Dostaliśmy 8 koni wojskowych i gnój wywożą. Ciepło i cudownie. Po obiedzie Ninka z doktorem była na dalekim spacerze. Mieli lunetę i widzieli wielkie uszkodzenie kościoła w Wiślicy i całą spustoszoną okolicę. Wczoraj huzar poróżnił się z naszym fornalem i żgnął go nożem, poleży z tydzień.

7-ego. Po obiedzie p. Wesołowska z Niną na spacerze na kopcu ariańskim z huzarami. Zapraszają je na czarną kawę i likier na probostwo. Potem tu wracają na podwieczorek. Ninka tańczy walca przy patefonie z Szentimray'em i dostaje od niego fotografię. Przysłali tu w klatce śliczne gołębie pocztowe, popielate z zielonymi szyjkami.

8-ego. Pochmurno, w południe przechodzi pierwszy deszczyk wiosenny. Huzarzy dali 12 koni, sieją wykę. Słychać mocne strzały.

9-tego. Znowu mocne strzały cały dzień od Złotej. Koło Odrzywołka, gdzie przedwczoraj Ninka była po kwiatki, już stoją armaty. Porządkujemy na cmentarzu i w ogrodzie, za naszym przykładem huzarzy też wzięli się do tej roboty. Lejtnant Jámborfy asystował nam w ogrodzie, był tu na herbacie i pokazywał nam fotografie ślicznych sióstr swoich. Zaaresztowano ekonoma z Jurkowa i pytano o p. Libiszowskiego, lepiej, że wyjechał do Wiednia.

10-tego. Huzarzy i konie robią w polu, ale siewy idą powoli. Oberlejtnant Szentimray daje fotografie ze wspólnych spacerów. Baron v. Vecsera meldował się do nas, zaprosiłam go na jutro. Wieczorem przy kolacji zabawiał nas Hempel i dawał przepustki dla służących naszych do Działoszyc.

12-tego. Deszcze i zimno, gromady ludzi czekają na przepustki, na jutro zaprosiliśmy na obiad czterech huzarów.

13-tego. Obiad się udał i goście dopisali. Był oberst, rotmistrz, doktór i oberlejtn. Szentimray. Ten ostatni znów z Ninką tańczył walca, potem fotografował w ogrodzie i poszedł z Niną na spacer, a ja przy huku armat od strony Czarków uganiałam po ogrodzie. Fluck i Jámborfy wyjechali wczoraj nagle na urlop i pomimo obietnicy nie zgłosili się po mój list.

Przed wieczorem doktór jeszcze zajrzał z pastylkami na katar, ofiarowałam mu za to obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który pragnął na pamiątkę Polski posiadać. Zdawał się być b. zadowolony.

14-tego. Rozpaczliwa pogoda, deszcz z wiatrem i melancholia nas gryzie. Z pomocą huzarów wożą nawóz.

15-tego. Panowie Wesołowski i Libiszowski wstąpili po Zyzia i pojechali do Działoszyc. Powrócili dopiero wieczorem. P. Libiszowskiemu zapłacili za ziemniaki, za konie i za słomę nie płacą teraz. Za brodło bobiku dostaliśmy 80 kor.! Podobno traktują o pokój, ale jakoś nikt nie wierzy w to szczęście. Ninka z Jędrkiem, który u nas był dzień cały, poszła na spacer na kopiec ariański z doktorem i z bar. Vecsera, potem ci panowie byli tu na podwieczorku. Później był i bar. Baberczay i coraz lepiej idzie nam z nimi pogawędka.

17-tego. Słychać strzały, przed paru dniami był pożar w Szczytnikach.

18-tego. Po nabożeństwie wzięłyśmy z Ninką przepustkę do Kolos i doktór miał nam dać konie. Tymczasem nowy obrest Horwat nie pozwolił na to z tej racji, że wojskowe konie mogą pomagać cywilom w robocie w polu, ale nigdy dla rozrywki.

19-tego. Szentimray się zeźlił, zaledwie parę koni dał do roboty w polu i ma jakieś nieuzasadnione prentensje. Huzarzy na pastewniku robią ogródek na warzywa, widocznie lato spędzimy, niestety, razem!

20-tego. Armaty grają i mówią, że od Wiślicy słychać było okrzyki i żołnierze szli „na sztyki" — ale to niemożebne, bo Nida b. wylała. Aeroplany przelatują, może będzie jaka zmiana. Bar Baberczay poszedł znów do okopów, inni wygrzewają się w słońcu. Nasze siewy idą powoli przy siedmiu koniach, bo huzarzy żadnych nie dali, dopiero na jutro pomoc obiecują.

21-ego. Poznałam się z oberstem Horwatem i poprosiłam go na jutro o konie do młyna. Po obiedzie Ninka z doktorem i z Januszem na zwykłym spacerze. Przed wieczorem spotykamy się z nim w ogrodzie na fiołkach, przypomina mi doktór Felutka i coraz więcej jest dla mnie sympatyczny. Lubi kwiaty, piękną naturę i tyle ma młodości i polotu w rozmowie.

23-ego. Hr. Dominik Potocki, ułan z Działoszyc, wstąpił tu dziś konno odwiedzić Zyzia, ale że on był w polu, przedstawił się tylko i porozmawiał z Ninką i pojechał

dalej do Pełczysk. Okazała się znów przykra szkoda: lando, jedyny nasz lepszy ekwipaż, zamknięte było ciągle w wozowni, pomimo to potrafili obedrzeć z budy kawał skóry! Straszą, że wkrótce może tu dojść do walnej bitwy! Niech będzie, co Bóg da, byle się prędzej ta wojna skończyła.

24-tego. Rozchodzą się pogłoski, że wojska zmieniają pozycje, przechodziła już tędy przez parę dni artyleria i piechota. Nasi huzarzy mają wyruszyć do Kazimierzy Małej. Na pamiątkę znajomości tak miłej wojennej doktór dał Nince nuty z piosenką niemiecką, wysławiającą wdzięki Polek i całe popołudnie spacerowaliśmy razem po ogrodzie. Mięsa nie tylko nam, ale i oficerom brakuje i musiałam im na jutro sprzedać indora. Tak więc niczego przed wojną schować niepodobna. Ceny zboża ogromne: proso po 7½ rb., pszenica po 15 rb., owies po 9 rb. itd. Ziemniaki sprowadziliśmy z Pełczysk po 5 kor. korzec. Po kolacji przyszedł rotm. Hempel z doktorem i namówili Ninkę i Zyzia na spacer po księżycu.

25-tego. Rano i przed wieczorem strzały armatnie. Prześliczna pogoda. Po nabożeństwie przed plebanią witałam oberlejtnanta v. Fluck i Jámborfy'ego, którzy wrócili z urlopu. Dostałyśmy konie i wybrałyśmy się wreszcie do Kolos. Biedna p. Gaszyńska żyje w większym niż my ucisku, mieści się tylko w 3 pokojach, wojsko rządzi się wszędzie, pustka wokoło, przed gankiem założone warzywne ogródki.

26-tego. Nasi huzarzy na wylocie, ciągły ruch wojsk, jedni jadą do okopów, drudzy wracają, leżą w ogrodzie, stoją we wsi i pełno wszędzie. Na herbacie był tutaj doktorek, szkoda, że go już żegnać trzeba. Obiecuje, że nas odwiedzi jeszcze, lub choć napisze kartkę, prosi o spacer po księżycu. Po kolacji przyszli nas pożegnać nasi huzarzy. Doprawdy i mnie smutno, że wyjeżdżają, a niewiadomo kogo znów dostaniemy. Siedzę sama smutna i piszę, całe młode towarzystwo z doktorem, v. Fluckiem i Jámborfym poszli na ostatni spacer księżycowy!

27-ego. Ninka wstała raniutko, żeby pożegnać swoje flirty. Widziała wszystkich jak wyjeżdżali, Jámborfy dał jej swoją fotografię. Zaraz o 10-tej z Kazimierzy Małej nadjechał nowy regiment huzarów Nr 3 „graf v. Hadik", starszyzna mieszka na plebanii, u nas pięciu lejtnantów. Rządzą się wszędzie, żądają poduszek, poszewek itd.

28-ego. Zyzio poniósł małą stratę — wyjeżdżający

wczoraj huzarzy wzięli mu przez okno lusterko, natomiast nowi zaraz zabrali gwizdek i rurki od kotła od lokomobili. Oberst ks. Fugger mieszka na plebanii, Zyzio był u niego, obiecywał 10 par koni do roboty i rzeczywiście przysłał je dziś rano, ale bez uprzęży, więc Łukowski ruszył takim konceptem, że je odesłał! Zrobiła się awantura, w końcu po południu dali tylko 3 pary, a na jutro obiecali pomoc, pod tym warunkiem, że będziemy koniom dawać obrok. Trudna to sprawa, ani kupić, ani sprowadzić go nie można. W końcu układamy się z chłopami, aby dawali obrok za wozy, które od nas pożyczają. Całą prawie noc straszny był huk armat. Dziś ciągły ruch i przejazd wojsk i artylerii. Przepustek do Pełczysk nie dają. Służące były w Działoszycach, mówią, że tam był następca tronu, całe miasto udekorowane. Oficerowie, którzy tu mieszkają, mówią po polsku, upominają się o poduszki i bieliznę na łóżka, u kucharza o mleko i o śmietanę, ale przynajmniej mięsa mi dali, gdy właśnie groził nam post na resztę tygodnia.

29-tego. Siewy źle idą, dali koni do roboty na parę godzin, ale znów huzarzy w polu robić nie chcieli, ani słuchać rządcy, tylko się kłócili. Więc nie dostali obroku ani pieniędzy, bo dla zachęty płacimy im po koronie za pół dnia. W południe mieliśmy miłą wizytę rotm. Weissa. Przyjechał tu konno z Koryta po jakieś rozkazy do swojej komendy; poprzednio był w Książnicach i Włostowicach, mówi, że tam nie tyle, jak tutaj, zniszczenia. Chwaliłyśmy jego kolegów, ostatnią naszą kwaterę, ze którą tęsknimy po trosze. Zaraz powtórzył to obecnym naszym gościom i jeden z nich przyszedł tu z wizytą pijany, tłumacząc, że obecne towarzystwo jest wesołe i wiele przyjemniejsze od naszych przyjaciół! Następca tronu rzeczywiście był w Miechowie, Działoszycach i Nowym Mieście — Korczynie — te strzały przedwczoraj to były salwy z okopów na jego cześć. Może się coś zmieni, podobno Włochy i Rumunia wypowiadają wojnę biednej Austrii.

30-tego. Przepustek niby nie dają, ale była praczka ze Złotej i opowiada, że mają tam przyjść Prusacy i tutaj są podobne pogłoski. Jeszcze nam tego brakowało! Oberst pożyczył znów naszego powozu. Lejtnanci wylegują się przed szklanymi drzwiami i na skarpie; boję się, że i tu zrobią taki śmietnik jak jest przed gankiem. Jutro imieniny naszego doktora — mamy ochotę posłać mu kartkę z życzeniami.

MAJ.

1-ego. Nie wesoło zaczął się ten miesiąc; ciepło i cudnie na świecie, ale zaledwie zazieleniły się łąki, wypędzili na nie 300 koni wojskowych! Zyzio zaraz poszedł do obersta, prosząc, żeby na pastwisko wzięli kawałek, a nie całą. Nie wiele to pomogło. Książę kazał tego dopilnować rotmistrzowi, ten oczywiście się obraził i dalej prowadzi rabunkowe gospodarstwo. Zwyczajem węgierskim w kuchni, przed pokojem rządcy i przed plebanią postawili maiki w dnień 1-szego maja, tj. zielone gałązki, a księciu wysoką sosenkę z naszego lasu, ustrojoną chorągiewkami i łańcuchami papierowymi.

2-ego. Podobno robią okopy nowe pod Skalbmierzem aż do Miechowa, czyżby Austriacy cofać się mieli? Spaliła się wczoraj stodoła w Kostrzeszynie i reszta budynków w Niegosławicach.

3-ciego. Przy huku armat oddaliśmy ostatnią posługę śp. Pietroniowi. Ksiądz proboszcz śliczną powiedział mowę: jak to jest rzadkim na świecie znaleźć dobrego służącego, a największą pochwałą napis na grobie: tu leży wierny sługa! Z żalem dowiedziałam się dzisiaj, że nasi huzarzy są już nad Dunajcem i zapewne nie zobaczymy się więcej w tym życiu. Z nową kawalerią zaznajomiliśmy się po trochu, ale nie sprawia nam to wiele przyjemności, zato spiżarnia moją wspomogła się masłem i mięsem, które dali za mleko i szparagi. Na wczorajszej kolacji Zyzio siedział przy księciu i Ulrichu (rotmistrz), który na szczęście był „sans rancune”, a dziś dali konie do przywiezienia ziemniaków. Przepustki już wydają w bliskie sąsiedztwa.

4-tego. Zimno i nudno. W nocy był wielki ruch i hałasy. Wzięto do niewoli oficera i kilku żołnierzy rosyjskich. Mówią, że Austriacy przeszli Nidę pod Opatowcem i że Kielce przez nich zajęte. Weterynarz oglądał nasze konie — siedem niedobitków, utrzymuje, że mają parchy i nakazał leczenie.

5-tego. Susza i zimno, nic w ogrodzie nie rośnie. W nocy znów były strzały, ale już nam to snu nie zakłóca. Nasza kwatera dosyć jest uczynna, dostałam koni do młyna, na jutro obiecują dać kilka par do nawozu, sieją koniczynę i sadzą ziemniaki. Ninę zatrzymała warta, gdy szła na spacer do lasu, przyjęła więc towarzystwo... Zadkowicza i była z nim na porębie kostrzeszyńskiej. W lesie coraz

większe szkody, z Miernowa przyjeżdża dziennie fur 18 po drzewo.

6-tego. W nocy znów była strzelanina i widać było pożary. Nowa przykrość nas spotyka — weterynarz orzekł, że nasze konie mają parchy, wobec tego z awanturą odebrali konie wojskowe, dane do zwożenia nawozu, żeby się nie zaraziły. Sprzedałam 3 prosięta 6-tygodniowe za 21 rb. Szkoda, że nie mam ich więcej. Zyzio był na przyjęciu u księdza proboszcza z ks. Fuggerem i jego adiutantem. U huzarów dobre miny, myślą nareszcie przejść Nidę i w Karpatach też im dobrze idzie.

7-ego. Przed północą ogromne były strzały, jakby z Olbrychtu. Opowiadają o wielkich zwycięstwach — wzięto 25 tysięcy do niewoli, maszynowe karabiny, konie itd. Mamy małe zadośćuczynienie: Zadkowicz złapał fury z Miernowa, które ciągle biorą drzewo z lasu, było śledztwo i może przecież ukarzą złodziei i zmniejszą się nasze szkody. Na podwieczorku mieliśmy obersta Uherka z adiutantem Radanowiczem, z Pełczysk przyjechali na ślicznych wierzchowcach.

8-ego. O 4-tej rano zrobił się ruch nadzwyczajny i byłam już przebudzona, gdy Andrzej zapukał do mnie mówiąc, że wojsko wychodzi; wstałam, żeby uregulować rachunki i rzeczy moje poodbierać, a potem położyłam się jeszcze. Z wielkim zdziwieniem zobaczyłam więc o 8-ej, że cała kwatera powróciła! Podobno warta zasnęła na moście rzuconym przez Nidę i Kozacy przeszli na tę stronę, zabili 5-ciu huzarów i kilku ranili, a potem uciekli. Drudzy powiadają, że Rosjanie wyłapali wszystkie patrole. Deszczyk pada ciepły, majowy, byłyśmy w kościele, można było dojść piechotą. Drzewa cudnie kwitną, słowik śpiewa pomimo tej okropnej wojny.

9-tego. Ogromnie przejęła mię wieść, nie sprawdzona jeszcze, że gen. Rozwadowski poległ w Karpatach i że powiesili Drojeckiego w Chrobrzu, bo mieli tam znaleźć telefon. Był tu kapitan z Miernowa w sprawie tego rabunku w lesie, chłopi mają sami odwieźć nam zabrane drzewo, a zapłacić zużyte sztuki — i z tego powodu mam przykrość; jedna kobieta z Miernowa, która kraść nie chciała, tylko kupiła sobie gałęzi w lesie, podejrzana jest przez innych Miernowian, że wydała ich złodziejstwa. Odgrażają się, że ją spalą, powieszą itd. Opowiedziałam tę sprawę księdzu proboszczowi i tego kapitana z Miernowa prosiłam, aby tę biedną kobietę otoczył swoją opieką. Zyg-

munt z Ninką powrócili szczęśliwie po kolacji, niewiele nowin przywieźli z Kazimierzy. Tam wojny nie odczuwa się tyle jak tutaj, panny flirtują i grają w tennisa z oficerami, dostają kwiaty i cukierki.

10-tego. Co dzień widać gdzieś pożary za Nidą. Aeroplan szybował nad samym domem, że nawet gołym okiem można go było dobrze widzieć. Chłopi z Miernowa drzewa nie oddali, zapłacili jednak 190 koron, dobre i to małe odszkodowanie. Ruch tu dziś wielki, żegnali oberlejtnanta bar. v. Rothenthala, który wyjeżdża na Bukowinę. Austriacy odnieśli znów wielkie zwycięstwa w Karpatach, nasz ks. Fugger chodzi z zieloną gałązką przy czapce, a po miasteczkach odprawiają dziękczynne nabożeństwa. Zyg końmi od lejtnanta Pawlukiewicza był na podwieczorku w Broniszowie. Szczęśliwi tam bez tych ciągłych kwater, mają inwentarz, pszenicę sprzedają po 15 rb. korzec, młodzi chowają sobie zwierzyniec: małe lisy, tchórze i kuny. Mnie zaś ukradli indyczkę, w nieogrodzonym ogrodzie kury robią ogromne szkody w moich zasiewach i na jutro już mięsa nie mam wcale. Może mię wojskowi kucharze wspomogą. Zyg przywiózł wiadomość, że piękna Zosia Herniczkówna wyszła nareszcie za swego kuzyna Jasieńskiego, który o nią z 10 lat się starał!

11-tego. Dzień pełen wrażeń! Od rana czuli wszyscy, że będzie wymarsz i rzeczywiście zewsząd wojsko wyruszyło o trzeciej godzinie za Nidę. Zjeżdżali pod lasem, ciągnęli przez Miernów i Koniecmosty. Zdaje się, że po tej kwaterze nic nie zginęło, znalazła się nawet indyczka, zabłąkana gdzieś wczoraj. Ninka dostała na pamiątkę ładne pudełko od Zadkiewicza, a mnie Pawlukiewicz podpisał i ofiarował książkę Przybyszewskiego „Adam Drzazga". Chłopi, którzy zmuszeni byli z podwodami jechać za Nidę, wracają i, jak mówią, to skłoniło Austriaków, że posunęli się dalej.

12-tego. Niedługo cieszyliśmy się spokojem; od nocy ciągle ktoś przejeżdżał, w końcu w południe zajęło tu kwaterę 2 oddz. ułanów, cały szwadron 4-tego regimentu z Ołomuńca i umieścili się na wsi i na plebanii. Nasze konie podług zwyczaju przepędzili ze stajni, żeby swoje umieścić. Przed południem wstąpił tu oberst audytor z Działoszyc Czapliński w przejeździe do Pełczysk, gdzie stoi teraz sztab i arcyks. Maksymilian (brat młodszy późniejszego ces. Karola, przyp. wyd.). Czapliński w swoim czasie sądził sprawę Kolbego, Francuzki, nauczyciela itd.

i przyjeżdżał tu na śledztwo; niebardzo mi się podobał, ma ślicznego białego szpica Alę. Przed gankiem prowadzili jeńców rosyjskich. Chłopi z podwód wracają, wszyscy jednak bez koni, opowiadają, że okopy robią pod Staszowem. Wiślica ogromnie zniszczona.

13-tego. Ułani wyszli o 6-tej rano. Droga do Kielc otwarta i ciągle myślę, jakby się dostać do Mamy i do Jadwini. Całe młode towarzystwo udało się na zwiedzenie okopów w Niegosławicach.

14-tego. Obeszłam wszystkie pustki nasze i dozorowałam wyprzątania saloników, przedpokoju i gościnnego, ale wszystko jest tak zniszczone, że chyba i nadal zostaniemy urządzeni po zimowemu.

15-tego. Szarą godziną grałam mój repertuar na rozklekotanym przez różne narody fortepianie! Myślą i sercem ciągle jestem w Kielcach.

17-tego. Tadzio Krzyżanowski przywiózł niedobre wieści, że znów krowy i konie zabierają. Próżno Zyg z Tadziem prosili o uwzględnienie majora v. Demen w Kazimierzy, który tam pełni obowiązki naczelnika powiatu. Zaraz też po śniadaniu przyszedł żandarm z sołtysem, wzięli parę szkap na podwodę, a z 3-ch krów, jakie nam zostały, jedną musimy dostawić do Działoszyc i tam dopiero zapewne marnie zapłacą!

18-tego. Pan Libiszowski był w Chrobrzu odcinać od szubienicy p. Drojeckiego. Okazało się na szczęście, że wcale mu to nie groziło, nie miał żadnego zatargu i niewiadomo skąd powstają takie bajki. Kościół w Jurkowie cudownie ocalał, już tam powrócił ks. Łukowicz i odprawia nabożeństwa. Za Nidą podobno nie ma połowy tego jak tu zniszczenia i mają ludzie inwentarz. Tutaj coraz trudniej o mięso, dziś mieliśmy postny obiad. Zyzio z p. Janem Bukowskim pojechali rano do Wiślicy i do Buska na zwiady, może tam kupią koni.

19-tego. P. Jan Bukowski z Zygiem wrócili na obiad, byli w Wiślicy i Busku, nocowali w Radzanowie; kupili wcale niedrogo 8 koni. Można również za Nidą dostać mięsa po 30 kop., słoniny po 50 kop. (Taką to zazdrośnie podziwianą Golkondą stało się biedniejsze zawsze i nieurodzajne Stopnickie, kraj, o którym z pogardą mówiło się w Pińczowskim, że „tam Pan Jezus nie chodził"; przyp. wyd.). Cudny kościół wiślicki chyba już nie podniesie się z ruiny i w ogóle cała Wiślica smutny przedstawia widok zniszczenia. Potwierdziły się też niedobre wieści, że

Kopernia i Cieśle zupełnie rozbite. Biedne siostry moje! że też cała rodzina tak jest dotknięta! Mam już z Wiślicy przepustkę do Pińczowa, stamtąd muszę wziąć drugą do Kielc i da Bóg wyruszymy tam z Ninką na Zielone Św.

21-ego. Obie z Ninką ogromnie zmęczone jesteśmy wybieraniem się w jutrzejszą drogę do Kielc, taka jestem wzruszona, że ukochanych nareszcie zobaczę, a niespokojna, jak tam wszystko zastanę, że nawet nie mogę się doskonale cieszyć. Mówią, że Austriacy budują mosty, że Włochy wydały też wojnę. Sołtys dziś przyszedł po wóz, ze wsi biorą parę koni i człowieka i z Działoszyc biorą tę podwodę na czas nieograniczony.

29-tego. Podróż do Kielc odbyłyśmy bardzo pomyślnie. W Pińczowie nie chcieli mi wprawdzie dać przepustki, ale zaryzykowałam jechać dalej bez legitymacji i dzięki Bogu to się udało. Przygnębiające wrażenie zrobiły na mnie ruiny Niegosławic, Krzyżanowic, gdzie i kościół nadwyrężony i dwór zupełnie rozbity, podobnie jak i w Koperni. Cała zaś szosa do Kielc była pusta, spotkałyśmy tylko 3 wojskowe samochody i zaledwie kilkunastu ludzi. Radość i wzruszenie były wielkie, gdyśmy się nareszcie zobaczyli po tylu miesiącach tęsknoty! Kielce wcale nie zachwycone rządami Prusaków, rekwirują łóżka, pościel, opieczętowali Tow. Roln., a za rzekome naruszenie pieczęci nałożyli na miasto kontrybucję; drożyzna niesłychana. Nacieszyłam się rodziną przez dni 4 i obładowana listami do sąsiadów, zaopatrzona przepustką od komendanta Lebiusa, wyruszyłam z Ninką z powrotem. Włochy wydały Austrii wojnę. Bój w naszym biednym kraju toczy się teraz koło Słupi, pod Sandomierzem. W Pińczowie doszła nas wiadomość, że Przemyśl odebrany, ale jakoś się to nie potwierdza. Po drodze zatrzymano nas na moście w Chrobrzu. Znowu nikogo nie chcą puszczać przez Nidę! Wytłumaczyłam jednak strażnikom, że muszę wracać do domu, tym więcej, że zbiera się na burzę, że co by tam z nami robili itd. i przecież udało się nam wymknąć.

31-go. Zyg był w Pełczyskach i w Kamiennej, kupuje żółtego kuca. W Koniecmostach stoją huzarzy, przez Nidę nigdzie nie puszczają.

CZERWIEC.

1-ego. Zyg był w Skalbmierzu rozmówić się z Galą o wykończenie wózka, przywiózł szczęśliwą dla mnie nowinę, że poczty otwierają nareszcie.

2-ego. Rozchodzą się wieści o odwrocie, mówią też, że kozacy pokazują się między sztabem a linią boju pod Opatowem. Szczęście, że nie zwlekając byłam w Kielcach, teraz pod żadnym pozorem nikogo przez Nidę nie puszczają.

3-ciego. Przy tradycyjnym upale odbyła się procesja (Boże Ciało) i po tylu miesiącach milczenia odezwały się nareszcie dzwony w naszym kościołku. Po obiedzie byli pp. Linowscy. Opowiadaliśmy sobie wrażenia wojenne, które chyba do końca życia będą odtąd tematem naszych rozmów. Po kolacji zjawił się p. Bronisław, wracający z Chrobrza. P. Drojecki był w Jędrzejowie i mówi, że tam o połowę mniej niż u nas zniszczenia. Pani Linowska dodaje otuchy, że Polska wkrótce odżyje, bo zaczynają się sprawdzać przepowiednie Wernyhory.

4-ego. Mamy wizytę żandarmów ze Skalbmierza, prowadzą śledztwo co do rabunku w lesie, odbierają drzewo z Będziak, z Kolos itd.; nocują tutaj, a przy sposobności odbierają też chłopom derki, wiadra itp., pozostałości po kwaterach, co uważam za zbyteczną gorliwość, bo różne drobiazgi wojsko rzeczywiście dawało za różne przysługi i szkody na kwaterach. W Kielcach nie dowierzano, czy to prawda, że rozstrzelano śp. Piłata z Miernowa, tymczasem ojciec tego biedaka, niewinnie straconego w 25-tym roku życia, targował w naszym lesie drzewo na krzyż i sztachety na samotny grób swego syna. Okropnie wstrząśnięta jestem tą tragedią! Przejazd przez Nidę dozwolony i w tych dniach obiecują nam pocztę w Skalbmierzu.

5-go. Pogłoski o wolnym przejeździe nie sprawdzają się wcale. W Działoszycach był liczny zjazd obywateli z inicjatywy p. Rzewuskiego z Topoli. Wybrali radę do powiatu, która ma go informować o potrzebach naszych. Komendant v. Demen przedstawił panom p. Turnau, referenta rolniczego z Galicji.

8-ego. Zyg intrygował Ninkę do południa, że będzie miała niespodziankę, potem kazał jej się ubrać i o 2-giej wyjechali do Koniecmost, gdzie młodzież z Paśmiech, panienki z Kazimierzy, młodzi Krzyżanowscy i Władzio Ślaski zebrali się dla zwiedzenia okopów. Wesoło im było razem, na podwieczorku byli w Kolosach, na kolacji w Chorzowicach, dopiero o 1-szej wrócili do domu. Z wiadomości politycznych mówią, że arcyksiążę, Tisza, Sazonow i jakiś przedstawiciel Serbii pojechali do Berlina mówić o pokoju.

9-tego. Zyg był konno w Budziszowicach. Znów tam jest legionista Młodkowski i nastrój podniosły i patriotyczny, szkoda wielka, że tak nie jest wszędzie.

12-tego. Po podwieczorku Zyg pojechał konno do Skabmierza do żandarmów, bo znów z lasu jacyś wojskowi 12 sztuk drzewa zabrali.

22-ego. P. Morawski dał znać do Złotej, że przyjeżdża do niego ten adwokat Zoppot, który podejmuje się odbierać pieniądze za wątpliwe kwity wojskowe, więc ludzie śpieszą do takiego dobrodzieja i on również dobrze wyjdzie na tych sprawach. Zdaje się, że to żydek, szkoda, że Polak nie znajdzie nigdy takiej złotej żyły!

23-ego. Po obiedzie przyjechały tu linijką p. Janowa Bukowska, Marylka Dobrzańska i p. Jadwiga Baranowska z projektem, aby nasza „Liga Kobiet", zawiązana zaraz w sierpniu r. z., ale która do tej pory nie mogła zaznaczyć swojej żywotności, dała znać o sobie, urządzając jaki odczyt, uświadamiający Polaków o ich interesach, poruszyć ich, żeby odczuli i zrozumieli, że to jedyna chwila, żeby sobie wywalczyć byt narodowy.

25-tego. Sandomierz podobno wzięty, przejazd przez Nidę wolny.

26-tego. Miałam ochotę jechać na zebranie sklepowe do Skalbmierza, ale Zyg w interesie węgla wybrał się do Działoszyc, więc nie miałam koni. Były tam jak zwykle Cieszkowy, Budziszowice, Michałowice i p. Krzyżanowska z Ludką. Sklep pomimo wojny daje 10% dywidendy i 113 rb. ofiarowano na N. K. N.

LIPIEC.

2-giego. Wieczorem, już po naszej kolacji, przyjechał p. Henryk Zubrzycki z rządcą. Wracali zza Nidy, gdzie chcieli kupić tańsze konie, nocowali tutaj. Nina rada była dowiedzieć się szczegółów o swojej przyjaciółce Marysi Zubrzyckiej. Wojna im więcej jeszcze niż nam dokuczyła. Przed stratami i kulami uciekali do Włostowic, do Książnic, do Majkowic i w tych rozruchach pokradli im i rozrabowali cenniejsze rzeczy, jakie ze sobą z domu zabrali. W końcu wyjechali do Czech i w Pardubowicach aż do wiosny przesiedzieli. Teraz Goszczę doprowadzają do porządku, stodoły spalone, ale dom nie za nadto uszkodzony.

3-ciego. Żona Andrzeja urządza się na swoim gospodarstwie w ośmioraku, a ja dyryguję nową „oprządką", którą przyjełam aż z Olkusza. Sama się zgłosiła, głodem tu

przypędzona. Wieczorem przyjechał konno Tadzio Krzyżanowski i opowiadał różne anegdoty, ale i on werwę już postradał. Ninka linijką wybrała się do gminy po gazety.

4-ego. O 9-ej rano wybrałam się z Ninką do Kijan, błądziłyśmy ze dwie godziny z młodym furmanem, podziwiając po drodze okopy, druty kolczaste i pomimo tej suszy cudne tam ku Wiśle urodzaje. Przyjechałyśmy przecież na czas, spodziewano się nas, a jak zawsze miło mi tam, jakby w najbliższej rodzinie. Na wspomnieniach wojennych czas zeszedł nam aż nadto prędko.

5-tego. Mam rymarza i mularza, od rana pełno do mnie interesów, ale rada jestem, że zaciera się ślady wojny. Oby już nie powróciła w te strony! Przyszedł stary blacharz z Wiślicy, który całą zimę przetrwał wśród granatów i szrapneli o głodzie i chłodzie, chroniąc się po piwnicach, w ciemnościach i w robactwie, aż dreszcze przechodzą i łzy do oczów, słuchając opowiadań o nędzy ludzkiej, a przy najlepszych chęciach trudno tej biedzie ogólnej poradzić.

6-tego. Przed 8-mą rano przyjechali tu p. Stefan Bukowski i Włodzio Dobrzański, chcąc kupić wierzchowca dla krewnego ich, legionisty Młodkowskiego, który mieszka w Skalbmierzu i usiłuje budzić ducha w tych stronach. Upał straszny, cały dzień byłam w ruchu między majstrami, praczkami i nową „oprządką".

8-ego. O pół do 7-mej ubrałam się i wyruszyłam do Pińczowa, a i tak nie uniknęłam upału. Po drodze wysiadłam obejrzeć zbombardowany kościół i plebanię w Krzyżanowicach. Nie mogę sobie darować, że przez lat tyle, pomimo ciągłych projektów o tym i dobrej chęci, nie zwiedziłam nigdy tych pięknych stylowych budowli. Teraz ogarnął mię wielki żal i smutek nad ruiną i pustką, jakie tam widziałam; okna pozabijane deskami, Najświętszy Sakrament nie wiem gdzie wyniesiony, proboszcza nie ma, gruzy tylko i wyrwy od szrapneli. (Krzyżanowice były probostwem Kołłątaja, który w nich postawił piękny klasyczny kościół, ozdobiony wewnątrz obrazami Smuglewicza. Po wojnie dźwignięto go z ruiny, jedynie stylowej plebanii nie odbudowano, stawiając na jej miejsce nową. Przyp. wyd.). Nie pocieszyłam się w Pińczowie. Biedna Maryś ze zwykłą cierpliwością i pogodą znosi dolę swoją, ale doprawdy zanadto i ją los dotyka. Do Koperni po prostu nie ma gdzie wracać, — dom, budynki, śliczny ogródek, bzy, róże i krzewy wojna pochłonęła. Zbierają

żyto najętymi chłopami z inwentarzem; po 5 rb. z morgi płacić muszą. Niepodobna przecież tyle chleba na polu zostawić i jeszcze to dać rozdrapać. Z rzeczy niby uratowanych i oddanych do klasztoru wiele poginęło, czy też pokradziono je w drodze, brakuje też pamiątkowych brązowych świeczników z kryształami, które Maryś dostała z domu rodzicielskiego, a wszyscy lubiliśmy je od lat dziecinnych.

10-tego. Dzień powszedni trudu i kłopotów. Po obiedzie był konno p. Jan Bukowski, żona jego zawiadamia, że odczyt Ligi Kobiet może się odbędzie w przyszłą niedzielę.

11-tego. Pojechałam z Ninką do Złotej. Smutny widok zgliszcz dworu, ale oficyna ślicznie się restauruje, sala zaś jadalna jest na świeżym powietrzu wśród drzew ogromnych, które stanowią jakby naturalną altanę. Podłoga wyłożona płytami kamiennymi, ocalonymi ze dworu, na drzewach zawieszone storczyki, cudnie po raz pierwszy tam zakwitły; zapach upajający, całość imponująca i złudzenie miałam chwilę, że jestem w zaczarowanym ogrodzie! Zyg był w Broniszowie, pp. Ślascy pocieszeni, bo Ludwiś dotarł do Zosi Rupniewskiej w Sandomierskie: przywozi tu siostrę na dni kilka. Pp. Rupniewscy też musieli po raz drugi uciekać przed wojną, tym razem do p. Załęskiego. Rzeczy i meble swoje zabezpieczyli, odważna Śliwianka, pokojówka, wytrwała z ekonomem na stanowisku i mienia pańskiego broniła.

12-tego. Dowiedziałyśmy się z gazet, że poległ śp. Artur Wimer, rotmistrz 16 reg., zwany „der schöne Artur", smutno, że tylu młodych ginąć musi marnie, choć na polu chwały!

13-tego. Od rana pełno kupców zbożowych, licytują się i dają ceny niesłychane — za owies już omłócony od 10 — 11½ rb. i zabierają go zaraz, za żyto po 12 rb., ale też i mięso dochodzi do 40 kop., a za kurczę żądają 45 kop.

15-tego. Pochmurno; stawiają brodło z żyta; słychać strzały, rozchodzą się wieści, że Dardanele wzięte, szczęście znów zwraca się do Rosji!

20-tego. P. Janowa Bukowska napisała do mnie, żeby zachęcać sąsiadów do opodatkowania się na rzecz wdów i sierot po legionistach i na rannych, żeby im dać pomoc lub pracę, gdy nie zdatni do boju wychodzą ze szpitala. Wobec zupełnej obojętności moich najbliższych na tę sprawę, przykre to dla mnie i trudne zadanie, ale nie chcę

się uchylać od obowiązku społecznego i zobowiązuję się tylko do tego, co osobiście ode mnie zależy. Mam zagrzewać najzimniejszych chyba! Ciągle pochmurno i smutno, przed wieczorem przyjechał Włodzio Dobrzański i wieczór spędził z nami. Zdenerwowany jest i nader melancholijnie usposobiony. Zaczęłam z nim rozmowę o jego przekonaniach, „orientacji", jak teraz mówią, ale przy całym patriotyzmie swoim, jest na rozdrożu i jak zbyt wielu innych, nie wie, jaka droga byłaby najlepsza do odbudowania biednej Polski.

22-ego. Radom wzięty, chyba i Warszawa się nie oprze; jedni się cieszą, drudzy smucą, lecz wszyscy pragną końca tej wojny!

24-tego. Niewesołe sprawozdanie zdam p. Bukowskiej, nie mogę się pochwalić rezultatem moich usiłowań!

30-tego. Wiązałka żnie pszenicę, dają za korzec 20 rb. Żandarm przyniósł Nince przepustkę, — musi jutro jechać do Pińczowa po paszport.

SIERPIEŃ.

1-ego. Maryś przyjechała na obiad, w Pińczowie panuje tyfus plamisty. Dobrze nam było razem, chodziłyśmy po ogrodzie i ona utrzymuje, że prócz braku płotów Probołowice nie zmieniły po wojnie zwykłego wyglądu. Zapewne że tak, w porównaniu z Kopernią, gdzie odważyła się pójść przed kilku dniami i okropnie wstrząsnęła się ruiną swojej siedziby!

2-ego. Cały dzień zeszedł mi na krzątaninie, uwieńczonej przynajmniej tym skutkiem, że wynaleźli mi 17 jaj afrykańczych i 12 kurzych, które zdziczony drób niesie po krzakach.

3-ciego. Po dniu upalnym przed wieczorem burza i straszna ulewa noc całą. Szkoda pszenicy na pniu i w snopkach, które jeszcze nie zebrane. Ceny zboża spadają i kupcy są w postawie wyczekującej z powodu monopolu, jaki władze austriackie na zboże ogłoszą. Za pszennak dał młody żydek po 7.50 kop.

5-tego. Znowu deszczowo, młócą lichy jęczmień; w kasie pustki, bo z powodu monopolu kupcy boją się robić interesy. Stagnacja zupełna.

7-ego. Przyszli tu na podwieczorek pp. Stefanowie Bukowscy z wiadomością, że Warszawa wzięta przedwczoraj!! Ogromne to zrobiło na mnie wrażenie. Co dalej będzie?

8-ego. Od dziś jest u nas Józefowa, dawna kucharka z Koperni, spotkałam ją przed paru dniami, gdy szła o żebracznym chlebie i namówiłam, żeby przyszła lepiej do mnie na służbę i zgodziła się na to. Nie wiem, czy długo wytrwa, ale tymczasem moja trzódka i drób mają wygodę i nawet zdziczone kury już siedzą w kurniku.

10-tego. Mieliśmy Tadzia na obiedzie w przejeździe do Pińczowa, gdzie stara się o wyrobienie składu na zboże w Kolosach; byłoby to bardzo dogodne dla tej okolicy.

16-tego. Deszcz pada prawie dzień cały, młócić na polu z brodła nie można; odstawiają zboże do Kazimierzy, ale jeszcze w składzie rządowym nie wydają nawet kwitów sznurowych.

27-ego. Rozchodzi się pogłoska, że Mikołaj Mikołajewicz życie sobie odebrał! Cudny dzień jesienny, ciągle myślę, żeby Jadwinię z dziećmi tu sprowadzić, piszę dziś do niej przez Pełczyska.

28-ego. Pogoda cudna, polowanie w Boszczynku. Zyg z Niną pojechali tam dopiero na wieczór. Prócz Niny nie było żadnych pań ani panien, gości myśliwych 20-tu, ale pudłowali i tylko 30 i kilka zabili kuropatw. Młodzież potańczyła trochę w 4 pary i w ogóle było wesoło.

WRZESIEŃ.

3-ciego. Zyzio ze starszymi panienkami pojechał do Pińczowa: on po pieniądze za zboże, one odwiedzić ks. dziekana Aksamitowskiego, przeniesionego tam z Kazimierzy. Niestety! kasa była pusta i nie tylko Zyzio, ale i pp. Zakrzeński, Tański, Józio Krzyżanowski i Wojewódzki wrócili próżno.

7-ego. Byliśmy na mszy świętej rano, ks. proboszcz pojechał potem do Wiślicy. Odpust i nabożeństwo miało tam odprawić się na rynku; nie wiem, czy to było możebne przy tym zimnie i niepogodzie. Wieczorem byliśmy na imieninach Marylki w Budziszowicach w zwykłym kółku jej rodziny. Był też krewny ich, legionista, emisariusz Tadeusz Młodkowski — tak pragnęłam go poznać, ale nie jest zajmujący, nieśmiały i mało mówi.

9-tego. Robimy przygotowania do powideł. Wieczorem niespodziewanie znów mamy kwaterę, oberlejtnant Czech, którego nazwiska nie mogłam dosłyszeć i zapamiętać, w przejeździe do Pińczowa prosił o nocleg. Umieściłam go w pokoju na korytarzu, dwóch żołnierzy z kaflarzem w „zielonych”. Oberlejtnant był tu na podwieczorku i na

kolacji, mówi z czeska po polsku, przy pomocy Zyzia rozumieliśmy się dosyć dobrze, a miałam prawdziwą ucztę duchową, gdy zapytany przeze mnie czy jest muzykalny, zasiadł do fortepianu i z niesłychaną łatwością i biegłością grał na pamięć rapsodie Liszta, polonezy Chopina, walce Morzkowskiego, tańce czeskie itd. Użyłam jak na koncercie, szczerze dziękowałam mu za tę przyjemność.

10-tego. O 8-ej po dobrej kawie opuścił nas przelotny znajomy, a ja zostałam pod wrażeniem jego muzyki, drepcąc od 6-tej rano przy kampanii śliwkowej.

12-tego. Dla omówienia chwili bieżącej p. Karol Bukowski zaprosił dziś na 2-gą godzinę najbliższych sąsiadów. Legionista emisariusz p. Ulrich doskonale przemawiał o całej działalności legionów, dyskusji jednak wywiązało się niewiele, bo też zebranie, aż przykro, było nieliczne, wszyscy się boją niewiadomo czego, np. p. K. P. nie chciał się podpisać na protokóle z tegoż zebrania! W tak małym kółku trudno było coś decydować na całą okolicę, więc p. Rzewuski z p. Ulrichem i z dobranym jakimś obywatelem mają objechać ludzi więcej wpływowych, porozumieć się z nimi i, co daj Boże, zorganizować do pracy społecznej dla dobra Polski.

16-tego. Ciesząc się pogodą od rana załatwiałyśmy nasze czynności gospodarskie, żeby ze spokojem wybrać się do Cudzynowic na imieniny, aż tu zajechała nas po obiedzie p. Postawkowa z bratem. Całą zimę spędziła ona z dziećmi w Lublinie, zbliżyła się i polubiła ze Stasią Wolską i Marunią i przyjechała tutaj, aby osobiście doręczyć mi depozyty moje i opowiedzieć żywym słowem, co one znów przez wojnę przeżyły. Zima zeszła stosunkowo spokojnie i bezpiecznie, teraz zato, przy odwrocie Rosjan, okropne tam spustoszenia i fabryka Stasi też ucierpiała, choć mniej od innych i częściowo po naprawie główniejszych, zdemolowanych maszyn, znowu jest w ruch puszczona. Dzięki Bogu, że uspokoiłam się o losy kochanej Stasi, więc rada byłam p. Postawkowej, choć tak nie w porę przyjechała. Zaledwie o 6-tej zaczęliśmy się zbierać do Cudzynowic i stanęliśmy tam jak na bal o wpół do 9-ej, bo w dodatku spotkaliśmy się z jakąś furmanką w ciasnym wąwozie. Towarzystwo było liczne i ładne, 10 par zebrało się do kontredansa, bo tańczyli trochę. Przyjęcie, jak zwykle, było szykowne, mnóstwo kwiatów. Wróciliśmy szczęśliwie o 2-giej.

23-ciego. Pamiętna rocznica pierwszego najazdu stra-

ży pogranicznej po zburzeniu Czarków! Przymrozek już zwarzył kwiaty i nie pozwolił dojrzeć pomidorom.

28-ego. Z powiatu przyjechali po podatki, trzeba było zapłacić; ciekawam, czy z chłopów je wyduszą.

PAŹDZIERNIK.

2-ego. Od wczoraj przelatują z krzykiem stada dzikich gęsi, nigdy jeszcze tyle ich nie widziałam. W jednym stadzie naliczono 48 sztuk; smutna to zapowiedź zbliżającej się zimy, tymczasem cieszymy się dniami cieplejszymi niż na wiosnę. Dwóch ubogich z Zagłębia uzbierało mi dwa worki kasztanów, myślę z nich przygotować paszę dla inwentarza, podług przepisu z gazety.

3-ciego. Po obiedzie przyjechała p. Gaszyńska i czas do wieczora prędko mi zeszedł z nią na pogawędce.

5-tego. Pochmurno, oziębiło się, lecz pogoda dotrzymuje. Przed wieczorem Zyzio wrócił, nie służyła mu pogoda w podróży, cały czas w Wiedniu deszcz padał. Ładną anegdotę opowiadają o Franciszku Józefie: gdy dowiedział się, że na uchodźców Polaków zaczynają zżymać się w Wiedniu, że nie ma ich gdzie pomieścić, powiedział, że w Schönbrunnie dość miejsca, że on się dla nich wyprowadzi!

7-ego. Rano Zyzio pojechał do Pińczowa i odzyskał sumkę drugi raz ściągniętą z Probołowic za te same podatki, z których nas nie uwolnili, chociaż ucierpieliśmy tyle na linii boju!

9-tego. Deszcz rozpaczliwy; dowiadujemy się, że w Broniszowie spaliły się znów stodoły! Zyzio bierze cielęta na przezimowanie, a posyła sieczkę i słomę. Okropna rzecz taka klęska, tyle nieszczęścia robi wojna, a zemsta dokończa zniszczenia.

11-ego. Wypogodziło się i czuć już zbliżającą się zimę. Ściągają z nas podatki gminne, żadnych widocznie ulg nie będzie za szkody na linii boju.

14-tego. Był zjazd społeczników w Chrobrzu. Wracając stamtąd Władzio wstąpił tu na podwieczorek, ale nie dowiedzieliśmy się wiele, co uradzili. Chodzi o ratunek dla biednych i głodnych, o powstrzymanie całych band żebraków, jacy codzień nachodzą, o nauczanie powszechne itd.

17-tego. Pojechałam z Ninką do Morska. Wizyta niezupełnie się udała, ogromnie zimno było w drodze i nie zastałyśmy pp. Trzetrzewińskich, tylko panienki, ale miło nam z nimi zeszło parę godzin. Szkody wojenne mają tam

mniej więcej jak wszyscy, ale szczęściem dwór ocalał, chociaż granaty i kule wpadały do domu, w salonie rozbiły piec, lustro, poszarpały meble, fotografie itd., a porysowały podłogę.

18-tego. Na podwieczorek przyszła tu piechotą p. Karolowa z nowym projektem stronnictwa niepodległościowego; jak to smutno, że tak mało wśród Polaków mają poparcia najszlachetniejsze porywy, wszyscy się boją wypowiedzieć, a cóż dopiero podpisać!

22-ego. Tak mało ludzi przychodzi, wszędzie skończyli kopanie, u nas jeszcze grzebią i chyba zamarzniemy. Wstąpiła tu Marylka po drodze do Cieszków, chce się zebrać do Kielc w niedzielę końmi, które idą po moje dziewczęta. Oczywiście zgodziłam się chętnie.

27-ego. Na imieninach w Boszczynku liczne było zebranie, koło 50 osób, młodzież tańczyła trochę, wróciliśmy o 5-tej po nocy księżycowej. Zdobyłam parę okazji do Lublina.

30-tego. Nareszcie skończyli kopanie, czas wielki, bo zimno dziś i wiatr przenikliwy.

LISTOPAD.

2-ego. Deszcz i błoto, byłyśmy na żałobnym nabożeństwie. Dekretem Ojca Świętego każdy ksiądz w tym dniu może odprawić trzy msze święte i dziś po raz pierwszy była ta uroczystość.

3-ciego. Przez mój ulubiony dawniej ogródek, zapuszczony teraz i zdeptany, przeprowadzamy drogę do ganku i znowu zajazd będzie zmieniony. Ocaleją najlepsze jabłonki, tylko śliwki i maliny trzeba poświęcić.

5-tego. Zyzio po obiedzie pojechał do p. Kleszczyńskiego na pokaz pługa motorowego, stamtąd wybierał się do Krakowa.

6-tego. Przed wieczorem przyjechali konno panowie Libiszowscy, ożywili naszą monotonię, ale nie chcieli zostać na kolacji. Stefanek obiecał, że przyjedzie tu zapolować kiedy.

10-tego. Tak pogodnie, że aż ścieżki podeschły i można chodzić bez kaloszy, więc też mamy małe robotnice w ogrodzie i chodzimy po naszym gospodarstwie. Przed wieczorem przyjechał p. Włodzimierz Dobrzański z p. Steckim, Marychna ożywione dysputy prowadziła z nimi i ubawiłyśmy się, jak p. Stecki przekomarzał się z „p. dyrektorem". Po kolacji dopiero zjawił się Zyzio z Władziem

Ślaskim; zadowoleni z pobytu w Krakowie, gdzie dużo znajomych mieszka na zimę, inni przyjeżdżają ciągle, wszędzie pełno ludzi, w kawiarniach i w teatrze, jakby już wojny nie było. Smutne to, że królewiaków wydalają z uniwersytetów w Krakowie, Wrocławiu itd., a w Warszawie otwarcie uniwersytetu odwłóczą i biedni Polacy znów nigdzie miejsca do nauki nie mają.

11-tego. Od rana znów mamy gości, Tadzio konno wybrał się do Pińczowa, ale taka okropna zrobiła się pogoda, deszcz pada ze śniegiem i ciemno dzień cały, że został u nas na obiedzie i dopiero potem powozem pojechali razem z Zyziem do powiatu i oczywiście zanocują w Pińczowie.

12-tego. Zyzio z Tadziem o 10-tej już powrócili z Pińczowa, Tadzio zaraz konno pośpieszył na zebranie gminne do Krzczonowa, Zyzio po obiedzie do Czarnocina, gdzie radzili o ratunku dla głodnych biedaków.

Od 14-tego do 28-ego byłam w Kielcach. Mamusia moja droga przyszła do zdrowia po zajęciu oskrzeli, ale bardzo się posunęła i taka wątła, że patrzymy na nią z obawą i ze smutkiem. Dobrze mi było z Jadwinią moją i wnuczętami, ale po tygodniu zawsze gna mię jakiś niepokój do domu. Zima za prędko nas zaskoczyła. Zawieje były, zadymki, od wczoraj po 12 stopni mrozu, a po mieście tak mi trudno było chodzić, gdy oślizgło, że bałam się gdzie dalej puścić. Widziałam się z pp. Nowakami, przyjechali po sprawunki, ona ładnie i doskonale wygląda, on się przystarzał i wiele też niepokoju, strat i udręczeń przeszedł przez wojnę; niepotrzebnie dwa razy uciekali z Glanowa, szczęściem nie zrabowali im przynajmniej dworu, ale chłopi, dla których p. Leon tyle czynił dobrego, kradli, co się tylko dało wspólnie z Rosjanami i zadenuncjowali go jako wojskowego austriackiego. Byli też w Kielcach pp. Targowscy i opowiadali wiele ciekawego. Sędzią w Kielcach jest p. Czapliński (ze swoją suczką Alą) — mamy go dobrze w pamięci, bo urzędował w Działoszycach zeszłej zimy i był tu na śledztwie, gdy aresztowano pp. Wesołowskich. Mama moja, Wierzbicka i wielu znajomych mają kwatery przeważnie ludzi delikatnych i dobrze wychowanych, więc nie odczuwają tego ciężaru wojny; za to okropna drożyzna i ogólna bieda ogromnie się daje we znaki. 21-go odbyło się w katedrze solenne nabożeństwo za nieszczęsną Polskę. Podnosiła ducha myśl, że na całym katolickim świecie tegoż dnia i o tej porze wznoszą się modły na tę samą intencję. Na procesji szły wszystkie szkoły, skauci z amaranto-

wymi chorągiewkami, żeńska handlówka też z pięknym narodowym sztandarem, dwóch obywateli było ubranych za ułanów, dwóch w polskim ubraniu, dziewczynki po krakowsku niosły imię Jezus i Maria, szła też jedna panienka w kontusiku i straż ogniowa pilnowała porządku, a cała uroczystość trwała do 2-giej godziny. Po wotywie śpiewali „Boże coś Polskę”.

29-tego. Dziś był tu Jaś Ślaski po całym roku niebytności, mówiliśmy o wielkiej stracie, jaką poniosła nasza okolica: na tyfus zakaźny umarł ś. p. dr Dutkiewicz z Kazimierzy. Cóż to za cios niespodziewany dla jego rodziny i znowu przybyła wdowa nieszczęśliwa i czworo sierot! Żal ogólny i współczucie wzbudza zgon przedwczesny tak zdolnego doktora i człowieka zacnego, pożytecznego dla społeczeństwa. Wszyscy czujemy się jakby opuszczeni od dobrego opiekuna zdrowia naszego.

30-tego. Wyprawiłam konie po Felutka do Kocmyrzowa, aby jutro miał taką cudną, jak dziś pogodę do drogi. Urządzam mu pokój i ciągle jestem myślą przy nim. Buraki odstawiamy dla Buszczyńskiego. Za kradzieże w lesie chłopów zasądzili, niektórych na 2 miesiące więzienia; zaczynają schodzić się do mnie błagając o litość; niewypowiedzianie mi to przykro, że nie mam żadnej władzy ani możności, żeby im ulżyć.

GRUDZIEŃ.

1-go. Niespodziewanie prędko i szczęśliwie przyjechał mój Felutek, zaziębiony i mizerny; Bogu dziękuję, że go znowu widzę i postaram się odchuchać go jak i Marychnę, która już lepiej wygląda.

2-ego. Po kolacji przyjechali Zyzio z Władkiem Ślaskim, odebrali asekurację w Warszawie i nie mieli ochoty dłużej tam zabawić, tak smutno, zimno i głodno pod pruskim panowaniem. W jedną stronę jechali końmi z Radomia, z powrotem koleją i nie mieli żadnych trudności paszportowych, chociaż tak ich straszono, że nie dojadą na miejsce.

4-tego Zyzio pojechał do Kazimierzy na zebranie, gdzie radzono o założeniu hurtowni w Pińczowie lub w Kazimierzy, do rady powołano p. Dobrzańskiego, Tadzia Krzyżanowskiego i p. Postawkę z Odonowa.

12-tego. Ciepło jak na wiosnę, byłam na cmentarzu, tyle nowych grobów przybyło, co dzień prawie kogoś chowają. Z naszych dawnych służących umarła ś. p. Jankowa

Adamczykowa spod lasu. Po nabożeństwie wstąpiłam do proboszcza na pogawędkę.

22-ego. Mróz na 9 stopni, śliczna pogoda i śnieg trochę przypadł, może sanna będzie. Robimy przygotowania przedświąteczne, ale bieda bez kucharza.

23-ego. Na wczorajszym polowaniu na Chochole 4 myśliwych zabiło 19 zajęcy, mnie Felutek 3 przyniósł. Mróz zelżał.

24-tego. Dziewczęta obdarzyły uczniów swoich i wszystkie dzieci służących, sobie ubrały choinkę. Do wigilii zasiedliśmy w 5 osób tylko, chcieliśmy na „do pary" zaprosić rządcę, ale wolał iść do organistów. Śpiewaliśmy przy drzewku kolędy i prócz Zyzia byliśmy wszyscy na pasterce sanną po wodzie.

29-tego. Robimy przygotowania na przyjęcie myśliwych, otwarliśmy zielony pokój, zamknięty od czasu kwater i tam urządzona jest ubieralnia dla panów i trzy łóżka do odpoczynku. Szkoda, że nikt z Kielc, ani Staś Tiede nie przyjedzie.

30-tego. Od pół do 9-ej rano zjeżdżali się myśliwi: p. Kazimierz Ślaski, dwaj bracia Bukowscy, dwaj Krzyżanowscy, Władzio Ślaski, p. Wesołowski, p. Kontrymowicz i p. Dobrzański. Ciepło było i pochmurno, zdawało się, że ciężko będzie chodzić po błocie, tymczasem polowanie nadzwyczaj się udało, wszyscy byli zadowoleni, prócz Władzia, który spudłował do lisa! Zabili 65 zajęcy, jastrzębia i 2 kuropatwy; królami byli p. Wesołowski i p. Kontrymowicz, obiad też nieźle wypadł, wieczorem grali w bridge'a.

31-ego. Po obiedzie Zyg był na zebraniu gminnym w Czarnocinie, gdzie chłopi lamentowali, bo z każdej gminy zapisują 250 do robót przy drogach i kolejach, oni zaś myślą, że idą na plac boju.

JESZCZE Z CZASÓW KIELECKICH

W ARTYKULE pod nagłówkiem: „Wspomnienia", pomieszczonym w tomie V za 1932 rok „Pamiętnika Koła Kielczan", na str. 62-ej podałem: „Drugi skazaniec, to był oficer kozacki, prawosławny, nazwiskiem Longin, jeśli to dobrze pamiętam".

Otóż, rozpytując się ludzi starych, pamiętających powstanie i po przeczytaniu broszury: „Wspomnienia powstańca 1863 r., Warszawa 1932", napisanej przez Kazimierza Zienkiewicza, urodzonego 3 marca 1845 r. w Warszawie, a zmarłego 3 października 1925 r. we Lwowie, którego matka zginęła 8 kwietnia 1861 r. na Placu Zamkowym w Warszawie podczas strzelaniny Moskali do manifestującej publiczności, dowiedziałem się, że rzeczywiste nazwisko tego nieszczęśnika było nie Longin a Lotkin, co zresztą potwierdza moja siostra Józefa, dotąd żyjąca, która oświadczyła, że będąc na ulicy w Kielcach, gdy Lotkina w kajdanach prowadzili żołnierze z sądu, czy też do sądu wojennego, mieszczącego się w domu położonym obok tego, w którym matka nasza z nami mieszkała, ten głośno powiedział: „Jestem Lotkin, kozak", za co jeden z konwojujących żołnierzy uderzył go kolbą karabinu. Lotkin wcale nie był oficerem kozackim, a tylko zwyczajnym szeregowcem, który znalazł się w powstaniu z przyczyn następujących. Pewnego dnia, w styczniu 1863 r., w Kielcach, ćwiczeniom sotni kozaków dońskich, w której służył Lotkin, przyglądała się dziewoja Anusia, do której on czuł jakiś sentyment, lecz ta wpadła w oko i esaułowi, prowadzącemu ćwiczenia. Ten oficer, za jakieś tam uchybienie, przywołał Lotkina do siebie, zwymyślał go, a nawet chciał uderzyć, lecz ten, oburzony, odepchnął esauła, czy nawet znieważył czynnie. Wtedy Lotkin, obawiając się surowej kary, uciekł z wojska rosyjskiego, tułał się parę dni po okolicy Kielc, chcąc przedostać się do Galicji, nareszcie, dotarłszy w świętokrzyskie góry, natknął się na oddział Langiewicza, chętnie wstąpił do jego partii powstańczej, następnie znalazł się w partii Jeziorańskiego, Chmielińskiego, Iskry. Znając

wybiegi kozacko - żołnierskie, oddawał znaczne przysługi, czy to uczestnicząc w różnych potyczkach, czy znosząc placówki nieprzyjacielskie, jak np. 25 listopada 1864 r., na moście pod Opatowem, według danych przez Kazimierza Zienkiewicza, zniósł kozacką pikietę, a tuż pod Kielcami dwóch kozaków spoił i zabrał do niewoli, nieraz podchodził, niepokoił różne straże moskiewskie, co mu ułatwiała jego mowa.

Według Zienkiewicza Lotkin był w niewoli rosyjskiej w Częstochowie, potem w Olkuszu, lecz z niej uciekł. Za tak ważne, a nieraz brawurowe czyny, oddane powstaniu naszemu, Lotkin przez nasze władze narodowe został mianowany oficerem, lecz powstańczym, polskim, a nie rosyjskim, jak to powszechnie głosiła fama, nazywając go oficerem kozackim.

Na zokończenie dodaję z naciskiem, że Lotkin, któremu Zienkiewicz daje imię Paweł, nie został rozstrzelany w Radomiu, jak to słyszałem, lecz w Kielcach, za naszym starym cmentarzem, gdzie mogiłę jego sam widziałem, a koledzy - uczniowie nieraz skrycie odwiedzali.

*
*   *

Po rewolucji listopadowej, a szczególnie po powstaniu styczniowym, rusyfikacja kraju naszego przybrała rozmiary zastraszające. Usunięto język polski z administracji, z sądownictwa. W 1869 r., kiedy byłem uczniem gimnazjum kieleckiego, w klasie 4-ej czy 5-ej, rozkazano, aby wszystkie przedmioty, prócz religii i języka polskiego, wykładane były po rosyjsku. I pamiętam chwilę wprowadzenia odpowiedniego rozporządzenia w Kielcach. Markjanowicz, dyrektor gimnazjum, przeczytawszy w naszej klasie jakiś ukaz, wyszedł. Po chwili zjawił się nauczyciel wykładający historię powszechną, Edward Szmidel, doskonały mówca, a jako wychowaniec jednego z rosyjskich uniwersytetów, władający biegle językiem rosyjskim i zaczął się wykład. O czym mówił, my, uczniacy, którzyśmy w niższych klasach nawet gramatyki języka rosyjskiego uczyli się po polsku, nic a nic nie rozumieliśmy, jednakże zwróciła naszą uwagę ciągła wzmianka „Kirze, Kirowi, Kiren”. Dopiero, gdy nauczyciel Szmidel streścił swój wykład po polsku, dowiedzieliśmy się z wielkiem zdziwieniem, że „Kir” to nie było jakieś zwierzę czy miejscowość jaka lub coś niepojętego, a tylko.... Cyrus, założyciel starożytnego państwa perskiego.

*   *

Znaczna część nauczycieli gimnazjum zupełnie nie znała języka państwowego. Do takich należał Jan Aspis, nauczyciel niemieckiego języka, toteż uczniowie nieraz płatali mu różne figle.

Miałem kolegę Z., nazwiska nie wymieniam, wcale dobrego chłopca, wesołego usposobienia, trochę nygusa, trochę trzpiota, a do nauki nie bardzo się garnącego, on też w zabawny sposób zadrwił z Bogu Ducha winnego nauczyciela, gdy ten, wyrwawszy Z. do lekcji, przywołał go do katedry i kazał tłumaczyć zadany kawałek z niemieckiego na rosyjski. Z., z werwą przeczytawszy niemiecki kawałek, zamiast tłumaczenia zadeklamował płynnie, z przejęciem, jakiś wiersz rosyjski, nie mający nic wspólnego z tekstem niemieckim. Nauczyciel Aspis, zdumiony wielce tak płynnym, prędkim tłumaczeniem, a nie orientujący się w czym rzecz, pochwalił Z. mówiąc: „Chorosio, chorosio!”, ale zastanowiwszy się chwilę, kazał koledze Z. powtórzyć tłumaczenie, co on z arogancją toż samo po raz drugi uczynił; wtedy dopiero Aspis, domyśliwszy się, że z lekcji samej, jak i całej klasy Z. zażartował, krzyknął na niego: „Idź precz, ty — osioł!”

* * *

Ten nauczyciel niemieckiego, Jan Aspis, miał syna, Bogumiła, poetę, który swymi licznymi utworami poetycznymi, a szczególnie „Sulamitą”, najwięcej cenionym poematem dramatycznym, zawierającym prześliczne pieśni erotyczne, zyskał duży rozgłos wśród czytającej inteligencji.

Po kilku latach niewidzenia pewien kolega Bogumiła, spotkawszy go, zaczął przed nim wychwalać jego ojca, jako znanego głośnego poetę, przynoszącego zaszczyt swemu synowi, wtedy Bogumił, przerywając koledze, rzekł: „Nic o tym nie wiedziałem, gdyż dotąd jedynym poetycznym utworem mego ojca byłem... ja”.

* * *

Moskale, rusyfikując nasz kraj, nie zapomnieli o unitach, usiłując różnymi szykanami, zakazami, grożąc więzieniem, zesłaniem do oddalonych gubernii lub nawet na Sybir, zmusić do przyjęcia prawosławia. Lecz wśród unitów znaleźli się tacy, na których groźby, straszenie więzieniem nie wywierały żadnego skutku.

Do takich opornych, nie chcących przyjąć prawosławia, należał ksiądz dziekan Mikołaj Kalinowski, który,

wtrącony w Siedlcach do więzienia, po przebyciu w nim dziewięciu miesięcy, dzięki tylko usilnym staraniom Wokulskiego, doktora wojskowego, został z niego zwolniony, lecz za karę, jako miejsce zesłania, naznaczono mu miasto Kielce.

Ksiądz dziekan Kalinowski po przybyciu do Kielc z żoną i córką Marią zamieszkał na ulicy Leśnej w domu rzeźnika Jakubowskiego, tuż obok dawnego gmachu Hermana Hillera, w którym później mieściło się gimnazjum żeńskie.

Już jako student uniwersytetu chętnie w święta i wakacje odwiedzałem rodzinne Kielce, budzące tyle miłych wspomnień ze szkolnych czasów i tam, w domu ukochanej matki i siostry, które zaprzyjaźniły się z rodziną księdza Kalinowskiego, poznałem i jego samego, jego małżonkę i córkę. Ten oporny unita był to człowiek powszechnie lubiany, wesoły, lecz poważny, nie dość chętnie dzielący się z otoczeniem swoimi przeżyciami życiowymi.

W mieszkaniu na Leśnej ulicy po krótkiej chorobie zmarła żona ks. Kalinowskiego. Nieboszczka przez nasze duchowieństwo została pochowana na katolickim cmentarzu w grobie rodziny Kasprzykowskich.

Wkrótce po śmierci małżonki, mając poruczony przez biskupa kieleckiego Kulińskiego nadzór nad przebudową małego, skromnego kościołka św. Wojciecha na obszerniejszy, okazalszy, jakim jest obecnie, ks. Kalinowski zamieszkał na parterze domu parafialnego, położonego przy placu, wiodącym z ulicy Borzęckiej do pomienionego kościoła.

W tym mieszkaniu, jak i na Leśnej ulicy, w wielkiej tajemnicy przed władzami, przy zasłoniętych szczelnie oknach, ks. Kalinowski odprawiał często mszę świętą.

Wreszcie nadszedł Nowy Rok (daty określić nie mogę), ks. Kalinowski złożył parę wizyt znajomym, a powróciwszy do domu, usiadł w fotelu i poprosił córkę, aby zagrała dumki ukraińskie, których był wielkim zwolennikiem. Córka, panna Maria, grając na fortepianie ulubione dumki, spojrzała na ojca, a spostrzegłszy głowę jego jakoś dziwnie obwisłą, ręce jakby bezwładne i ciało zsuwające się z fotela, przerażona podbiegła do ojca; na krzyk jej zbiegli się domownicy, przybiegł i ks. Bieroński mieszkający na piętrze i, widząc co się dzieje, zabrał mszał i kielich i zaniósł na górę, a zaraz powróciwszy, udzielił umierającemu ostatniej absolucji; zjawił się i lekarz, lecz ten już tylko sprawdził zgon ks. Kalinowskiego.

Dziwne, że zaraz koło domu parafialnego, w którym mieszkał ks. Kalinowski, pojawili się żandarmi.

Ciałem nie chcącego przyjąć prawosławia zaopiekowali się troskliwie popi i władze moskiewskie. Zostało ono przeniesione do cerkwi, następnie pochowane na cmentarzu prawosławnym.

Widzimy, jak wielką, subtelną okazała się tolerancja Moskali, skoro obojga małżonków, nie kupczących sumieniem, wyznających jedną i tę samą religię, opornych unitów, już po śmierci rozłączono, albowiem jedno zostało pochowane na cmentarzu katolickim, a drugie pogrzebano na prawosławnym.

Jednakże taż sama polska, ojczysta ziemia i na jednym i na drugim miejscu spoczynku otuliła Wasze czcigodne prochy; niechże ona Wam, coście wysoko nieśli sztandar wiary i prawdy, lekką będzie.

Cześć Waszej pamięci!

Córce zmarłych, Marii, gubernator kielecki w ciągu tygodnia kazał opuścić Kielce.

KAROL DRYMMER

KIELECKIE WSPOMNIENIA „HILLERCZYKA”

NASZKICOWAŁ GABRIEL WĘDRYCHOWSKI

WSZYSTKO przemija! Zacierają się w pamięci miłe zarówno jak i przykre wspomnienia, ale wrażenia z lat młodych utrwalają się i pozostają w pamięci do późnej starości. Dlatego też, choć upłynęło od tych czasów około 60 lat, pamiętam jakby dziś się to działo, pierwszy mój wyjazd z domu do szkół kieleckich. Pierwotnie rodzice moi mieli zamiar oddać mię do szkół krakowskich, gdyż siedziba nasza, w Skalbmierskim położona, była oddalona o 7 mil od Krakowa, a o 10 mil od Kielc, stolicy gubernii. Wprawdzie kształcenie dzieci w krakowskich szkołach uważane było za *crimen* przez rząd moskiewski i obstawione rozmaitymi barykadami paszportowymi i szykanami ze strony władz powiatowych: wielu synów obywateli ziemskich uczęszczało do szkół pod zaborem austriackim, gdzie język polski nie ulegał prohibicji. Rodzice moi, rozważywszy wszystkie trudności połączone z kształceniem mnie za granicą i mając na względzie oczekującą mnie powinność wojskową w armii rosyjskiej, zmienili projekt co do mojej edukacji i umówili się z nauczycielem szkoły ludowej o wyuczenie mnie języka rosyjskiego i przygotowanie do złożenia wstępnego egzaminu w tym języku do pensjonatu prywatnego, prowadzonego w Kielcach przez Hermana Hillera. Miałem widocznie zdolności lingwistyczne, bo po kilku miesiącach władałem już jako tako językiem rosyjskim.

Po wakacjach zatem, w towarzystwie Ojca mego i starszego o 9 lat brata, ucznia 7-ej klasy gimnazjum kieleckiego, miałem udać się do owego pensjonatu Hillera. Nowość uczenia się w szkole, koledzy i zabawy z nimi, pobyt w mieście, wszystko to było pociągające niezmiernie, toteż nie uczuwałem żadnego żalu, że dom rodzicielski opuszczam.

Wczesnym rankiem furman Pietrek podjechał pod ganek zaprzężonym w czwórkę koni powozem, a ja, pożegnawszy się z płaczącą Matką i domownikami, nie czekając aż Ojciec i brat wsiądą do powozu, ulokowałem się na

koźle obok Pietrka, wyczekując niecierpliwie chwili ruszenia w drogę.

— Oj, głuptasie, głuptasie! — odezwał się brat mój, stojąc na ganku i widząc mię ulokowanego na koźle — pożałujesz ty jeszcze nieraz tego pośpiechu do opuszczenia domu.

Oczywiście, że nie przejęła mię zbytnio ta apostrofa.

Ruszyliśmy nareszcie w drogę, która mię co prawda dość prędko znudziła, zwłaszcza gdy pod Pińczowem wlec się musieliśmy noga za nogą po litym piachu, na jakim rosły niezbyt dorodne sosenki i jałowce. Dobrnęliśmy wreszcie do Pińczowa, przejechawszy przez most na Nidzie i opłaciwszy mostowe. Ojciec, wysiadłszy z powozu w zajeździe „Feliksa", znanego na całą okolicę sędziwego handlarza i znawcę sławnych starych win węgierskich specjalnie znakomicie „edukowanych" w pińczowskich piwnicach, pogawędził z siwobrodym starcem Feliksem Glücksmanem i udał się do powiatu dla załatwienia rozmaitych spraw, my zaś z bratem udaliśmy się do skweru, w którym biła budząca mój podziw fontanna. Po dwugodzinnym popasie i odpoczynku oraz spożyciu niewykwintnego obiadu w miejscowej restauracji i cukierni, ruszyliśmy już raźniej szosą ku Kielcom via Kije, Morawica. Kielce wydały mi się, mimo, że znałem już Kraków, ładnym miastem i podobała mi się Karczówka z klasztorem i wieżycą kościelną na wzgórzu. Był już wieczór, więc po wypiciu herbaty w cukierni Degelmana i spożyciu smacznych ciastek powróciliśmy na spoczynek do zajazdu Chołdakowskiego przy ulicy Małej, skąd blisko było do Zakładu p. Hermana Hillera. Noc przespałem spokojnie. Około godziny 9-ej po kawie u Degelmana i spożyciu babki udaliśmy się do Zakładu, gdzie przyjął nas sam p. Hiller, mężczyzna niskiego wzrostu, z czarnymi kręconymi włosami, trochę już siwiejącymi równie jak i sumiaste wąsy. Oczy miał duże i wzrok trochę krótki, lecz o wyrazie surowym i niemiłym. Jak się później dowiedziałem, Herman Hiller, Niemiec z pochodzenia, przybył do Polski jako guwerner do pewnego szlacheckiego domu w okolicach Chmielnika, a ożeniwszy się potem z wdową po pastorze, za własne oszczędności i pieniądze żony oraz jej siostry założył pensjonat dla chłopców w Kielcach, uzyskawszy na to pozwolenie kuratora. Hiller mówił dość licho po polsku, rozmawiał przeto z klientami po francusku, którym to językiem władał dość poprawnie. Umiejąc już po francusku, zrozumiałem z rozmowy z ojcem moim, że Hiller przyj-

muje mię po krótkim bardzo egzaminie do II-go oddziału swego zakładu, jako pensjonarza za cenę 300 rsr. rocznie i obiecywał prócz normalnej nauki szkolnej troskliwą opiekę, wprawianie w języki francuski i niemiecki, doskonałe pożywienie i przejażdżki w okolice ekwipażem, jaki rzekomo trzymał na ten cel wyłącznie. Każdy pensjonarz miał mieć własny sztuciec srebrny, miednicę miedzianą, łóżko z pościelą i szafkę na efekta i książki. Srebra i miednicy nie zwracano, jak się okazało, przy opuszczaniu internatu. Dwaj kolejno dyżurni guwernerowie: Niemiec i Francuz mieli powierzony nadzór dzienny nad chłopcami, którzy pod karą obowiązani byli mówić między sobą wyłącznie po niemiecku lub po francusku, odpowiednio do tego, czyj dyżur w danym dniu przypadał. Wykłady w oddziale wstępnym oraz w 4-ech klasach, mających wedle programu niby to odpowiadać gimnazjalnym, prowadzili w języku rosyjskim profesorowie *ad hoc* angażowani. Za moich czasów języka rosyjskiego uczył p. Stabłowski, późniejszy prezydent Kielc, język polski wykładał b. wojskowy prof. Pągowski, matematykę emeryt Skórzyński, łaciny i greki uczył prof. Antoni Gustaw Bem (wychowaniec warszawskiej Szkoły Głównej), kaligrafia i rysunki wykładane były przez prof. gimnaz. Szymona Górnickiego, religii uczył nas przezacny ks. Nowakowski, późniejszy dziekan włoszczowski. Języka francuskiego i gramatyki uczył sam p. Herman Hiller, a niemieckiego — Sobczyk — Ślązak (guwerner w pensjonacie).

Ale nie o samą naukę mi chodzi wszakże w tym szkicu z przeszłości, lecz o samo prowadzenie internatu Hillerowskiego. Niewielu już moich rówieśników a wychowanków tego pensjonatu po świecie się plącze i pamięta tę duszną atmosferę, panującą w pokoju, w którym w ławach przygotowywało się do lekcji na dzień następny zadanych kilkudziesięciu chłopców różnego wieku, a wśród nich wielu zapóźnionych w naukach, już wąsatych młodzieńców, uczęszczających jednak do klasy II-ej i dwu wyższych. Przy stoliku, przed pierwszą ławą, siedział dyżurny guwerner, pokrzykujący: Silence! Voulez vous vous taire! lub drzemiący Sobczyk (często podchmielony) — Ruhig! Wollt ihr Maul halten!

Na śniadanie dawano nam szklankę wodnistego mleka i bułkę groszową, na drugie śniadanie kromkę chleba z masłem lub z ciepłą kiszką krwawą albo też kaszaną, mocno opieprzoną, po spożyciu jakiej broniono pić wody,

a przez to latem skazywano na torturę, a zmuszano porą zimową do potajemnego gaszenia pragnienia połykaniem śniegu!

Na obiad dawano rosół, kartoflankę, zacierkę na wodzie, mięso rosołowe z kartoflami lub jarzyną lub pieczeń albo kotlet wołowy; na leguminę kluski z makiem, ryż z jabłkami a także (specjalność zakładowa) kaszę jaglaną omaszczoną płatem słoniny, obsypanej cukrem i cynamonem! Na kolację dawano nam herbatę i chleb ze starym masłem. Nic dziwnego, że po takim pożywieniu wielu młodych chłopców, bardziej wybrednych, czuło głód, a choć mieli drobne kwotki na przyjemności od rodziców, to jednak trudno było kupić sobie coś do jedzenia, bo najprzód pieniądze te odbierał skwapliwie „sławetny" Sobczyk, a powtóre wzbronione było kupowanie żywności. Czasem który z przychodnich uczniów, z zachowaniem wszelkich ostrożności, zdołał przemycić dla zaprzyjaźnionego z nim pensjonarza trochę chleba świętojańskiego, lukrecji, fig suszonych, cukru lodowatego lub kwasku cytrynowego... Były to przysmaki, cieszące się wielkim powodzeniem, zwłaszcza chleb świętojański, jaki prócz tego, że stanowił „smakołyk", dostarczał jeszcze pestek, służących do pokątnej gry „w cetno - licho". Tak zwany „Sobala" lub „Sobek" bacznie śledził posiadaczy przemycanych smakołyków i gorliwie je konfiskował.

Pamiętam nawet, że raz sam Hiller znalazł w sypialni naszej serdelek, niebacznie pozostawiony przez kogoś z pensjonarzy na oknie, toteż z błyskawicą gniewu w wytrzeszczonych okrągłych swych oczach obnosił to *„corpus delicti"* po „dortuarze", wołając: „Czyja ta serdeła?!" Oczywista rzecz, że „serdelowy - zbrodzień" nie został wykryty, ale zato położył się spać o głodzie i musiał śnić o tej konfiskacie „serdeły".

Nasz mentor naczelny i wychowawca nie władał dobrze językiem polskim, lecz czasem w przystępie dobrego humoru pozwalał sobie na dowcipy. Zobaczywszy na przykład w dzienniku klasowym zły stopień z języka polskiego — wołał przed swe oblicze odnośnego ucznia i pytał, czego nie umiał, a gdy usłyszał, że chodziło o złą deklinację — drwił sobie, mówiąc: „co to trudnego wasza deklinacja?!.. — mój pończoch, twój pończoch, jego pończoch!..." Zato, gdy się jaki nieszczęśnik pomylił w koniugacji nieregularnego czasownika francuskiego, musiał za karę napisać koniugację tego czasownika we wszystkich trybach i cza-

sach. Takich „karnych" koniugacji uzbierało się nieraz kilkanaście, a trzeba było je przedłożyć nieodwołalnie następnego dnia, inaczej bowiem groziła trzepanka trzciną... dolnej części garderoby lub też samej skóry delikwenta przez groźnego Sobczyka. Chłosta stosowana była często w Zakładzie Hillera, a Sobczyk z zamiłowaniem ją wykonywał. Czasem odbywała się masowa egzekucja starszych, wąsatych wychowańców — za palenie tytoniu w potajemnych **„fumoirach"**, uznawanych za lokal „dyskretny", a jednak przez „niedyskretnego" guwernera wyśledzony. Do takiej uroczystej egzekucji, do jakiej używano moczonych rózg brzozowych i mokrych ścierek, asystował Sobczykowi stróż Antek, a czasem i lokaj Jan Kania, bo sam „Sobala" bał się tak zwanych przez siebie „drabów", tj. młodzieńców pod wąsem.

Hiller nie bywał obecny przy tego rodzaju egzekucji, absentował się bowiem często na partyjki podobno. W domu u siebie grywał na fortepianie lub akompaniował swemu przyjacielowi wiolonczeliście Lassmamanowi.

Dzień rozpoczynał się w zakładzie bardzo wcześnie. O godzinie 6-ej budziły nas wołania: „Auf" lub „levez-vous;" zaspani szliśmy niechętnie do umywalni, gdzie na długich ławach stała już przygotowana woda w miednicach. Po ubraniu się udawano się do jednej z obszerniejszych sal do nauki przeznaczonych i tam dyżurny pensjonarz odmawiał głośno modlitwy poranne, podczas czego wszyscy obecni odmawiali je klęcząc — po cichu. Po spożyciu skromnego pierwszego śniadania rozchodzono się po klasach, gdzie odbywały się lekcje. W czasie krótkiej pauzy o godz. 12-ej spożywano kiszkę słono - pieprzną z chlebem i w lecie używano ruchu na podwórzu, gdzie gimnastykowano się na trapezach i drabinkach etc.

Po zakończeniu lekcji odbywał się wspólny obiad w obszernej jadalni, a po nim przygotowywano się do lekcji na dzień następny pod nadzorem dyżurnego guwernera. Na spacer chodzono w soboty przeważnie na Karczówkę, Głęboczkę lub za Kadzielnię. Szło się parami i w milczeniu przez miasto, poza obrębem którego wolno było dopiero rozmawiać.

O godzinie 9-ej, po wieczornych modlitwach, udawano się na spoczynek do jednej z dwu sypialni, nadzorowanych przez Sobczyka lub Francuza (za moich czasów raptusa Alzatczyka Kutznera, a potem Szwajcara, Paul Porchat, bardzo poczciwego i przyzwoitego człowieka).

Gospodarstwo domowe i kierownictwo licznym szta-

bem kucharek, podkuchennych i pomywaczek należały do p. Hillerowej i p. Mentzmanowej, jej bliskiej krewnej i pomocnicy. P. Hillerowa była otyłą osobą niskiego wzrostu. Zastępując czasem jednego z guwernerów w nadzorze malców, popijała zwykle mocną herbatę i robiła pończochy na drutach, a spoglądając spod okularów na figle chłopców, pokrzykiwała na nich po francusku kontraltowym głosem. Pani Mentzmanowa była szczupłą, nerwową osobą. Przed udaniem się na spoczynek, gdy gremialnie wypuszczani byliśmy na dwór, odbywały się pod osłoną ciemności rabunkowe wyprawy na marchew i kalarepę do pobliskiego warzywnego ogrodu, uprawianego pod dyrekcją p. Mentzmanowej. Na skutek skarg mocno zirytowanej p. Mentzmanowej p. Hiller zarządzał dochodzenia, ale nie doprowadziły one nigdy do wykrycia sprawców rabunku, dzięki solidarności koleżeńskiej chłopców. Tuż koło Zakładu Hillera znajdował się znany podówczas w Kieleckim pensjonat żeński panien Glixelli, a chłopcy wymykali się często wieczorem na ulicę, aby narobić w całym pensjonacie alarmu przeciągłym dzwonieniem do drzwi wejściowych z ulicy. Pamiętam, że namówiono raz do tego figla czasowo umieszczonego przez rodziców w pensjonacie Hillera — Edmunda Eubiga (późniejszego znanego w Warszawie aktora-komika Gasińskiego). Wmawiano w niego umyślnie, że nie potrafi się zdobyć na odwagę zaalarmowania panieńskiego pensjonatu, on zaś „wziąwszy na ambit”, dzwonił tak zapamiętale i energicznie, że nie miał czasu ratować się ucieczką, gdy zaczajona z miotłą służebna wpadła na niego i poczęła go rzęsiście miotłą okładać. Epizod ten opowiedział naturalnie niedyskretnie kompan, wysłany wraz z „Mundkiem”, aby dać świadectwo bohaterskiej jego odwadze.

Zabudowania, w których mieścił się Zakład Hermana Hillera, sprzedane zostały przez niego na progimnazjum żeńskie, zdaje się dość korzystnie, a sam przełożony tego instytutu osiadł w wybudowanym dla siebie wygodnym domu i jako emeryt dokonał w dostatkach spokojnie żywota w Kielcach. Nie wiem, jaki był koniec Sobczyka, ale ten zakładowy tyran o gminnym wyglądzie nie zostawił w każdym razie po sobie dobrego wspomnienia wśród ogółu wychowańców Hillerowskiego pensjonatu. Nauka nie stała na wysokim poziomie i zwykle Hillerczycy, wychodzący po ukończeniu IV-ej klasy w tym zakładzie, przyjmowani byli zaledwie do III-ej klasy gimnazjalnej. Po opuszczeniu internatu Hillera nie śledziłem dalszego jego

rozwoju, lecz co prawda nie doszły mię i później nigdy żadne pochlebne wiadomości o ewolucji i zmianach na lepsze w tym zakładzie.

Rozważania i wspomnienia niniejsze, skreślone w podeszłym wieku o przeżyciach z lat młodych, podaję „in crudo", jako materiał do oceny społeczeństwu przyszłości oraz ludziom, zajmującym się studiami historycznymi nad szkolnictwem, pedagogią i działalnością wychowawczą w naszej ciemiężonej dawniej Ojczyźnie.

* * *

W związku z powyższym wspomnieniem redakcja Pamiętnika otrzymała list następujący:

Szanowny Kolego Redaktorze!

Przeczytawszy nadesłany mi do przejrzenia manuskrypt ś. p. kolegi Gabriela Wędrychowskiego, zawierający jego wspomnienia o pensjonacie Hillera, pragnę uzupełnić go pewnymi uwagami, bez których czytelnik wspomnień musiałby odnieść b. ujemne wrażenie o działalności Hillera jako właściciela pensjonatu i pedagoga. W imię słuszności uważam za konieczne działalność tę oświetlić z innej strony.

Przede wszystkim należy podkreślić, że Hiller wybudował dla swego pensjonatu specjalny gmach z przestronnymi i jasnymi salami, można powiedzieć — wzorowy na ówczesne warunki i wymagania. Przy pensjonacie było dwóch guwernerów - wychowawców, a personel nauczycielski w szkole składał się przeważnie z nauczycieli miejscowego gimnazjum rządowego. Wobec tego koszty utrzymania pensjonatu były znaczne, co przy niezbyt wysokiej opłacie pobieranej od pensjonarzy i przychodnich uczniów, od której Hiller czynił nieraz znaczne ustępstwa, i przy niewielkiej liczbie uczniów sprawiało, że utrzymanie w pensjonacie musiało być skromne, a w każdym razie było bez porównania lepsze, niż na wielu tzw. stancjach, gdzie uczniowie gnieździli się w arcyniehigienicznych i niemal głodowych warunkach. Co się tyczy strony wychowawczej, to należy mieć na uwadze, że w ówczesnych pojęciach kara cielesna była uważana za konieczny niemal środek wychowania, gdyż „różdżką Duch Święty dziateczki bić radzi".

O nauce szkolnej w pensjonacie autor nie wspomina. Tu trzeba zaznaczyć, że uczniowie szkoły Hillera rekruto-

wali się przeważnie albo z takich, którzy po dwóch latach pobytu w jednej klasie gimnazjum rządowego i nieuzyskaniu promocji do klasy wyższej musieli z niego wystąpić, albo z takich, którzy, źle przygotowani, nie mogli złożyć egzaminu wstępnego do gimnazjum. Dla tych wszystkich jedynym wyjściem na miejscu była szkoła Hillera. Praca z takim materiałem nie była łatwa, a jednak wielu z nich po pewnym pobycie w 4-klasowej szkole Hillera lub po jej ukończeniu dostawało się do gimnazjum, inni zaś mogli uzyskać w tej szkole przynajmniej 4-o klasowe wykształcenie. Wreszcie nie można pominąć tego, że utrzymywanie szkoły prywatnej pod nadzorem władz rosyjskich było połączone w dużymi trudnościami i przykrościami.

Uwzględniając powyższe okoliczności, należy, zdaniem moim, uznać, że Hiller, prowadząc swój pensjonat przez lat blisko 30 *), bądź co bądź położył poważne zasługi na niwie szkolnictwa w Kielcach.

Z koleżeńskim pozdrowieniem
E. Zienkowski

*) Pamiętnik Koła Kielczan za 1932 r. „Szkolnictwo w Kielcach” przez B. Markowskiego.

WSPOMNIENIA SZKOLNE

(CZASY KIELECKIE)

PO wydaleniu mnie przez Apuchtina i Smorodinowa z gimnazjum radomskiego w marcu 1885 roku *) zabrał mnie opiekun mój, stryj Antoni, do domu do Ostałówka pod Szydłowcem.

Przyjechałem zupełnie wyczerpany i zmarnowany, tym bardziej, że się zdawało, iż wszystko skończone i że dalej nie będę się mógł kształcić. Ale rodzina moja z matką na czele postanowili nie opuszczać rąk i ratować mnie z tej życiowej opresji, a ja tymczasem wziąłem się do pracy, by jako ekstern zdobyć na razie świadectwo z ukończenia 6-u klas. W tym celu poczciwy stryj mój Antoni jeździł do Warszawy, do Radomia i wreszcie do Kielc. Ostatecznie za bytności w Kielcach umówił się z sekretarzem miejscowego gimnazjum Sarańczą, że stanę na te kilka tygodni u niego na stancji i przystąpię do egzaminów z owych 6-u klas gimnazjalnych.

Zdać — zdałem i to nieźle, ale o przyjęciu mnie do gimnazjum przez dyrektora Woronkowa na razie mowy być nie mogło. Temu ostatniemu stryj mój opowiedział całą prawdę, przedstawił mu list polecający od gubernatora radomskiego Tołoczanowa, jedynego, zdaje się, porządnego Rosjanina ze wszystkich, jacy byli, gubernatorów, a był tenże Tołoczanow później długoletnim prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, oddał mu również listy polecające od innych wpływowych osób i wreszcie Woronkow przedstawił moją sprawę na gimnazjalnej radzie pedagogicznej, która postanowiła zapytać się ostatecznie dyrektora Smorodinowa w Radomiu, jakiego sprawowania byłem przed wypadkiem w marcu 1885 r. Smorodinowa zastępował inspektor Mejsner, który odtelegrafował: „Do prikliuczenja w martie miesiace R. był powiedienja bezukorizniennago". (Do wypadku w miesiącu marcu R. sprawował się bez zarzutu).

Kilka razy biedny stryj jednak jeździł w sprawach

*) Za wydawanie gazetki szkolnej w języku polskim.

moich, a ja pod jego nieobecność gospodarowałem w jego majątku. Pamiętam, było to w lipcu czy na początku sierpnia podczas żniw, stałem na koniu przy ludziach w polu i naraz zobaczyłem wyjeżdżający z lasu ekwipaż, który posłałem po stryja na kolej i znak dawany mi przez niego białą chustką. Pogalopowałem i zobaczyłem uśmiechniętą i rozradowaną twarz mego dobroczyńcy, który krzyknął: „Jesteś przyjęty do klasy 7-ej w Kielcach".

Co się ze mną działo, opisać nie mogę. Zeskoczyłem z konia i wpadłem do bryczki do mego stryja, całując jego ręce i ściskając serdecznie. Odżyłem. Okazało się, że Woronkow postanowił mnie przyjąć pod warunkiem: 1) że będę mieszkał na rosyjskiej kwaterze, 2) że będę pod „bditielnym nadzorom" (pod ścisłą kontrolą) i 3) że się będę sprawował wzorowo.

Zabrawszy tedy manatki, pożegnawszy się z rodziną i z naszymi dobrymi sąsiadami, a znajomymi, przybyłem w końcu sierpnia do Kielc, stanąłem na stancji u sekretarza gimnazjum Saranczy i już jako uczeń klasy 7-ej poznałem swoich nowych kolegów i, przyznam się, że zostałem przez wszystkich nader życzliwie przyjęty.

Kielce od samego początku zrobiły na mnie dodatnie wrażenie. Pamiętam, idąc raz koło gimnazjum do ogrodu miejskiego, usłyszałem graną na trąbce „Jeszcze Polska nie zginęła" przez jakiegoś kleryka w otwartym oknie seminarium. Nawet później hejnał krakowski nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak ta kielecka muzyka.

W gimnazjum rozmawialiśmy przeważnie po polsku, jakoś specjalnie nikt się nas nie czepiał, młodsi koledzy darli się po polsku szczególnie na podwórzu podczas gier i zabaw. Na stancji u Saranczy stali Moskale - koledzy i poza tym kilku nas Polaków. Była to stancja droższa i tam widocznie stryj mój mnie umyślnie umieścił. Po rozpoczęciu roku szkolnego, kiedyśmy już wszyscy byli w klasach zebrani, naraz wszedł dyrektor Woronkow i sekretarz Szperl, a za nimi weszli wszyscy nauczyciele do naszej klasy; wstaliśmy, a dyrektor wywołał mnie i, badawczo spojrzawszy mi w oczy, oświadczył: „Wszyscy tutaj zebrani obecnie w klasie wiemy, coś pan w Radomiu zmalował; czy możesz mi pan dać słowo honoru, że przez cały czas pobytu w moim gimnazjum będziesz się pan sprawował wzorowo, do żadnych brudnych spraw nie będziesz się pan mieszał i żadnych głupstw nie wypisywał?" Dajotie-li wy mnie czestnoje słowo? — zapytał — badawczo

i ostro patrząc na mnie. „Daju” — odpowiedziałem, a W. dalej perorował, że jeżeli bym się ośmielił coś podobnego jak w Radomiu uczynić, (wykinut’), to on oświadcza, że swą własną władzą usunie mnie z gimnazjum, ale już z biletem wilczym.

Klasa siódma była dosyć liczna, kolegów miałem, jak to już pisałem, bardzo dobrych i miłych i zaaklimatyzowałem się od razu. Koledzy byli dla mnie uprzejmi, współczujący i we wszystkim dawali mi poznać swoje uznanie i przychylność. Nauczycielami byli Polacy: Bem, Rybarski, Szperl, Czarnecki, Strawiński, Wabner, Kirchner, Kremer, Warren, Ewar i Starkiewicz dla klasy wstępnej, ale najważniejszą osobą był ksiądz prefekt, naonczas kanonik Teodor Czerwiński, któremu opowiedziałem wszystko od A do Z.

Ksiądz Kanonik Czerwiński był to światły kapłan, dobry Polak, ostry, ale sprawiedliwy prefekt. Uczył i wymagał, powagę miał i uznanie wielkie, właściwie on robił wrażenie dyrektora gimnazjum, a nieraz podczas lekcji, wyjrzawszy przez drzwi na korytarz i upewniwszy się, że nic podejrzanego nie ma, palnął nam kilka słów o obowiązkach naszych względem kraju, religii i języka, o prześladowaniu księży i kościoła, o unitach, przy czym o tych ostatnich powtarzał, że „pamiętajcie, gdzie się krew polała, tam sprawa ta żyje i żyć wiecznie będzie”.

Rybarski, zacny i dobry nauczyciel, wykładał języki starożytne, jak również i Wabner, który oprócz tego miał wysokie wyobrażenie o swoim głosie i śpiewał z nami w kościele. Czarnecki i Szperl wykładali matematykę. Bem wykładał nam już tylko język polski, gdyż był pozbawiony prawa wykładania historii literatury polskiej. Kirchner był drugim polonistą i na lekcjach swoich czytywał nam tylko dzieła Fredry, Mickiewicza, bo już tłumaczeń z Dubrowskiego na język rosyjski mieliśmy dosyć. Kremer i Warren wykładali język niemiecki, ale wpływu na młodzież nie mieli żadnego. Ewar był nauczycielem języka francuskiego, ale prędko nauczycielstwo porzucił i został administratorem dóbr jakiegoś Rosjanina.

Z nauczycieli Rosjan byli: Faustyn Kostecki, wykładał język rosyjski i logikę oraz był inspektorem gimnazjum, ale pod koniec mego pobytu wyszedł do emerytury. Gejsler był nauczycielem historii powszechnej i Rosji. Troickij wykładał język rosyjski; był to przeciętny typ nauczyciela — Rosjanina, przypominał popa i nazywaliśmy go

„domostrojem”, bo go nam często przytaczał i powtarzał: „Lubi żenu, kak duszu, a trasi jejo, kak gruszu” itp. Po ustąpieniu z inspektorstwa Kosteckiego, którego żegnały Kielce bardzo uroczyście, posadę inspektora gimnazjalnego objął niejaki Stefanowicz, renegat, zwany przez nas „szyszka” z powodu nowotworu na czole. Był to najpodlejszy typ rusyfikatora z psiarni apuchtinowskiej, tępił już język polski i ducha polskiego z całą energią.

Dyrektor Woronkow nazywał mnie zawsze „lieber baronem” i często mnie na korytarzach zaczepiał i kilka słów zawsze ze mną zamieniał. Podobno najlepiej mówiłem po rosyjsku i to go brało. Inspektor Kostecki często ze mną rozmawiał, tym bardziej, że u nas w klasie 7-ej wykładał łogikę i był gospodarzem naszej klasy. Gejsler często mnie z początku wyrywał, ale potem dał mi pokój, gdyż się przekonał, że gimnazjum radomskie więcej wymagało i że więcej tam przeszedłem.

Słowem, powierzchownie było mi jak w raju, ale faktycznie byłem oddany pod ścisły nadzór pomocników gospodarzy klasowych: Sorokina, Brzezińskiego i gubernialnego naczelnika żandarmerii — Chartularego, który mieszkał w tym samym domu, gdzie i ja, przy ulicy Pocztowej. Pamiętam, kiedyś w nocy rozchorował się mój kolega Czarnko, Rosjanin, na boleści żołądka. Pobudził nas wszystkich, gdyż zaczął bardzo płakać. Była to zima, zawieja śnieżna okropna. Wstałem, ubrałem się i kupiłem mu w aptece oleju rycynowego. Przyniósłszy, dałem mu do wypicia i położyłem się spać. Nazajutrz po przyjściu do gimnazjum zostałem wezwany przez dyrektora, który mnie zapytał ostro, po co wychodziłem w nocy z domu? Opowiedziałem mu, Czarnko potwierdził i inni koledzy ze stancji i zauważyłem w oczach dyrektora i inspektora zadowolenie, tym bardziej, że robiłem to dla Rosjanina.

Ponieważ często chodziłem na spacery i to najczęściej pod Karczówkę, zwróciłem uwagę, że ktoś za mną systematycznie poza drzewami się chowa i kiedyś skróciwszy raptownie spacer, natknąłem się na Sorokina, który mi się bardzo grzecznie ukłonił z bardzo miłym uśmiechem. Listy moje przechodziły przez ręce dyrektora i często musiałem mu je odczytywać.

Po niejakimś czasie przyjechał do Kielc do klasy 7-ej mój dawny radomski kolega, Rosjanin Postowskij, którego siostra była za pułkownikiem Chartularim. Rozumie się, od razu do mnie przyszedł i bardzośmy się ucieszyli,

bo to był porządny kolega. Z nami, Polakami, rozmawiał po polsku i wojował ze Smorodinowem. Kolega P. oświadczył mi, że Chartularowie zapraszają mnie na obiad. Trudno było odmówić. Przyjęli mnie bardzo gościnnie i po obiedzie pułkownik Chartulari oświadczył mi otwarcie, że ma polecone mnie pilnować. Oświadczyłem mu również, że dałem słowo dyrektorowi, że się tutaj w Kielcach będę tylko uczył, do niczego mieszać się nie będę, a kiedy mnie zapytał, co ja właściwie w Radomiu zmalowałem, opowiedziałem mu całą prawdę. Chartulari wysłuchał mnie uważnie i kiedy mu opowiedziałem o artykule w naszej gazetce o Wiercińskim, Apuchtinie i Aleksandrze Newskim, zawołał żonę i musiałem jej również ten cały artykuł powtórzyć. Śmieli się z całego serca i w końcu Chartulari powiedział mi tak:

„Ja pana dobrze rozumiem, pan jesteś Polakiem, kochasz swój kraj i życzysz mu wszelkiego dobra, ale niech pan pamięta, że są również sprawy dotyczące całego państwa i my jesteśmy od tego, aby przede wszystkim jemu nie stało się nic złego. Ja wielu rzeczy w warszawskich sferach nie pochwalam, a przede wszystkim traktowania dzieci jak dorosłych; to, coście zrobili, toż to dziecinada (malcziszestwo) i warciście byli posiedzieć w kozie. Z pana zrobili przestępcę politycznego i oddano mi pana pod nadzór, więc trudno, będę pana nadzorować i proszę co niedziela przychodzić do nas na obiad i uczyć się z Kolą (moim kolegą P.), któremu trochę trudno jakoś idzie”.

Chartularowa, siostra mego kolegi, była bardzo miłą i gościnną osobą i kazała mi przez brata swego powiedzieć, bym się ich nie obawiał, że mąż sam z dyrektorem rozmawiał i powiedział, iż nie widzi we mnie żadnego niebezpiecznego dla państwa rosyjskiego człowieka, ale że pedagodzy nasi swym nietaktem i zachowaniem się zrażają polską młodzież i uzbrajają (woorużajut) przeciwko Rosji.

Pamiętam, kiedyś w zimie wybrałem się do Żeromskiego, który mieszkał jeszcze w Kielcach, by potem udać się do Instytutu Weterynaryjnego w Warszawie, do czego wystarczało skończenie 6 klas. Pamiętam, że Żeromski siedział w bardzo napalonym pokoju, był mizerny, blady, przyjął mnie bardzo grzecznie i czule i wypytywał się o moje przejścia radomskie. Już jako student medycyny w Warszawie jechałem z nim razem aż do Radomia, a on jechał dalej, zdaje się, do Kielc i do domu na wieś; to było

już ostatni raz w życiu, więcej go nie widziałem. Nie był wtenczas podczas podróży naszej ostatniej do Radomia i Kielc zadowolony z życia i ze swojej weterynarii, czuł się chory, kasłał i bolała go ręka, więc myślał o wyjeździe na wieś dla powietrza, co też wkrótce uczynił.

Klasę 7 skończyłem pomyślnie i przeszedłem do kl. 8, ale już u p. S. nie zamieszkałem, lecz poszedłem jako korepetytor po ś. p. Ruśkiewiczu i Dutkiewiczu do syna pp. Kołtowskich. Pan K. był komisarzem włościańskim na powiat kielecki. Państwo K. byli to Rosjanie i wcale nieźli ludzie, ale ucznia miałem w kl. 5, starszego ode mnie i bardzo do nauki tępego. Był to dobry chłopak, ale nygus, latał za pannami i nic robić nie chciał. Sam dyrektor Woronkow zaprotegował mnie tam, mając nadzieję, że mi się uda coś z młodego Kołtowskiego zrobić. Z drugiej strony zgadzało się to z poleceniem, bym stale mieszkał u Rosjan.

W klasie VIII było już więcej roboty; trzeba było przysiadywać fałdów i z moim uczniem Gryszką miałem też kłopotu niemało, bom się szczerze wziął do niego, by go do klasy VI przepromować, ale mi się to nie udało. Stary Kołtowski umarł na wiosnę 1887 roku, a pozostała wdowa z synem wyjechała do Pińczowa, gdzie mój uczeń wstąpił do dragonów. W kl. VIII spotkaliśmy dużo drugorocznych kolegów, bo w r. 1886 był pogrom klasy VIII i 3/4 uczniów zostało na drugi rok. W ciągu roku nic szczególnego nie zaszło, zdaje się, że tylko przyjeżdżał z odczytami Leopold Janikowski po odbytej swej podróży po Afryce i pokazywał nam bardzo ciekawe zbiory oraz bardzo zachęcał młodzież do podróży po krajach zamorskich i badania tamtejszych ludów.

Po ukończeniu kl. VIII, pożegnaniu wszyskich nauczycieli, rozpoczynając od księdza kanonika Czerwińskiego, po obejściu wszystkich kątów miasta, po pomodleniu się w naszym gimnazjalnym kościołku, urządziliśmy już otwarcie wspólną kolację w hotelu Polskim, gdzie dobrze podpiwszy sobie, w końcu spełniliśmy toast na „pohybel Moskalom”. Gdy różne mowy i toasty zaczęły się sypać jak z rękawa i gdy atmosfera robiła się coraz gorętsza, pamiętam, naraz wszedł policmajster z kieliszkiem i wszystkim nam powinszował ukończenia gimnazjum. Oblało nas to zimną wodą i nad ranem przerwaliśmy ucztę, przy czym zaczęliśmy się gromadnie odprowadzać, a ja około godziny jakiejś dwunastej w dzień obudziłem się z kilku

kolegami w życie pod Karczówką. Wkrótce rozjechaliśmy się z Kielc i wstąpili na uniwersytety do Moskwy, Kijowa, Kazania, Petersburga, większość jednak pojechała do Warszawy, co również uczyniłem ja, wstępując na wydział lekarski, który ukoczyłem w r. 1893.

Takie są grzechy mojego żywota z czasów pobytu w Kielcach.

Dr TADEUSZ SZYMON
LUBICZ-RAKOWSKI.

N O W E   K I E L C E

WIELE jest przyczyn wskazujących na to, że Kielce mają poważne widoki rozwoju. Świadczy o tym przede wszystkim rozbudowa przemysłu wojennego i rozwój lotnisk. O nich to teraz najwięcej mówi się w Kielcach.

Obok istniejącej od siedmiu lat i dobrze już znanej w kraju szkoły szybowcowej w Polichnie i Pińczowie, otwarto w czerwcu b. r. lotnisko i szkołę pilotów motorowych w Masłowie, położonym o 9 km od Kielc. Przy lotnisku stanęły dwa hangary i ładny budynek szkoły lotniczej, przerobionej ze starego dworu. Cicha wieś rozbrzmiała jazgotem motorów, który niesie się daleko po Świętokrzyskich Górach. I oto Kielce stały się jednym z pierwszych miast o tak rozbudowanym lotnictwie.

Wzmaga się też ruch turystyczny w Świętokrzyskie, do czego przyczyniło się w znacznej mierze zbliżenie Kielc do Warszawy i Krakowa za pośrednictwem nowych linii kolejowych, przez co Kielce znalazły się na głównym szlaku kolejowym w kraju. Przez Kielce przeciągają od wiosny do jesieni liczne wycieczki (przede wszystkim szkolne), zdążające do krainy Żeromskiego — Ciekot i Puszczy Jodłowej, a w zimie zjeżdżają narciarze w poszukiwaniu nowych terenów zjazdowych.

Wiele też mogą sobie Kielce obiecywać po zapowiadanej od dawna linii kolejowej Kielce — Tarnów, która połączy Kielce z Buskiem i Solcem i skróci odległość z Warszawy do Krynicy. W ten sposób staną się Kielce poważnym węzłem kolejowym (mają już przecież połączenie z Częstochową). Wraz ze wzrostem zadań, jakie spadają na Kielce, postępuje rozbudowa miasta.

W r. 1930 przyłączono do Kielc szereg gmin okolicznych, powiększając powierzchnię miasta do 4050 ha. Lud-

ność miasta wzrosła do 64634 głów*) (w 1931 r. 58236), w czym wyznania mojżeszowego 20 tysięcy.

Budynków mieszkalnych jest w Kielcach 5000, ponadto w budowie z górą 200. Ten ruch budowlany, widoczny dziś w całym mieście, najsilniej zaznaczył się w ostatnich latach na peryferiach miasta, obejmując nawet tereny zupełnie dotąd puste.

Najszybciej zabudowującą się obecnie dzielnicą jest okolica Stadionu i Baranówka. Powstała tu Kolonia-Ogród, zabudowana małymi domkami w ogródkach. Jednakże sposób zabudowania tej dzielnicy pozostawia wiele do życzenia i zdecydowanie szpeci okolice Stadionu. Niezwykłym zaś pomysłem było nazwanie ulic tej dzielnicy historycznymi nazwami formacji i różnych rodzajów broni, skąd ulice: Husarska, Petyhorska, Wybraniecka, Kwarciana i wiele podobnych.

Szeroko rozbudowały się też Kielce w kierunku północnym na gruntach rozparcelowanego folwarku Szydłówek, których nabywanie zastrzeżone zostało wyłącznie dla Polaków. Ponadto rozbudowują się Kielce w kierunku półn.-wschodnim (przedm. Pocieszka), zachodnim (przedm. Niewachlów) i południ.-zachodnim (Przedm. Pakosz). Ogólnie trzeba zaznaczyć, że wszystkie nowe dzielnice miasta mają charakter polski.

Najważniejszym bodaj wydarzeniem w życiu Kielc było powstanie Stadionu - parku, który należy do największych i najpiękniejszych stadionów w Polsce.

Założony został na południowym krańcu miasta w sąsiedztwie lasu Kaweczyzna na terenach dzierżawionych przez gminę miasta Kielc (na prawach wieczystej dzierżawy). Prace wstępne rozpoczęto w r. 1927 z inicjatywy ówczesnego dowódcy dywizji gen. Łuczyńskiego. Inwestycja finansowana była z funduszów państwowych w wysokości kilku tysięcy złotych, ponadto gmina m. Kielc uzyskała pożyczkę z B. G. K. w sumie 100000 zł.

Sadion pomyślany został na wielką skalę. Obejmuje obszar ok. 93 ha młodego lasu sosnowego, w którym wykończono dotychczas następujące inwestycje sportowe: wielka pływalnia otwarta, z kompletnymi urządzeniami, tor hippiczny z trybunami, dwa korty tenisowe (obecnie

---

*) Ale jeszcze daleko do 100.000, którą to cyfrę podaje dla Kielc Przewodnik Międzynar. Stow. Automobilklubów (L'Europe en automobile, 1937) powtarzając ją pewnie za Laroussem.

czynny tylko jeden), skocznia narciarska (która następnie została zniesiona, ale ma być odbudowana), tor saneczkowy (obecnie już nieistniejący) oraz schronisko narciarskie pod skocznią. W lesie sąsiednim wytyczono trzy szlaki narciarskie. Ponadto zapoczątkowano przy pływalni mały zwierzyniec, zbudowano kawiarnię, koło której koncentruje się życie stadionu, no i wykończono 3 km szos. Poza tym szereg inwestycji zaprojektowano, a nie wykończono, jak: cyklodrom, boisko dla piłki nożnej oraz do gier i zabaw.

Część terenów stadionu została ostatnio ogrodzona siatką, gdzie znajdują się baraki kobiece, mieszczące latem uczestniczki ogólnopolskich kursów wychowania fizycznego. Wobec tego, że niektóre zmniejszone inwestycje sportowe nie zostały wykonane, a spośród istniejących urządzeń niewszystkie nadają się dziś do użytku — stadion nabrał charakteru parkowego, jako ulubione miejsce spacerów kielczan, którzy w dnie letnie (zwłaszcza niedziele) wyruszają tu tłumnie na cały dzień, czy to na basen lub do kawiarni (na brydża!), czy po prostu do lasu leżakować w sosnowym suchym powietrzu. Należy dodać, że stadion połączony jest z miastem stałą komunikacją autobusową.

Powstanie stadionu zmieniło zasadniczo kierunek ruchu spacerowego w Kielcach. Karczówka stoi teraz wspaniale odosobniona (co wyjdzie jej niewątpliwie na dobre), a Kadzielnia — owo najulubieńsze miejsce zabaw uczniowskich sprzed kilkudziesięciu lat — przestanie wkrótce być dostępna, po prostu dlatego, że zniknie z powierzchni ziemi. Dzięki bowiem szybkiej eksploatacji pozostał już z niej tylko cypel, wokół którego rośnie tarasowato nowe wzgórze — miału z wapienników. Czyż nie ma już dla niej ratunku?

Arterią ruchu spacerowego w mieście staje się coraz wyraźniej Aleja 3 Maja, wiodąca ku cmentarzowi. Nie tylko dlatego, że tędy wiedzie droga na stadion, ale że tutaj powstaje najbardziej reprezentacyjna dzielnica miasta. Tam, gdzie do niedawna leżały pola nieużytków (idąc od cmentarza po lewej stronie), dziś powstaje w oczach drugi wielki stadion sportowy, ogrodzony już prawie całkowicie siatką i tutaj to wznosi się potężnie głośny już w całej Polsce gmach - pomnik im. J. Piłsudskiego — Dom P. W. i W. F.

W r. 1932 zawiązało się Stowarzyszenie Domu P. W. i W. F., w następnym rozpoczęto budowę, zakończoną

w r. 1936. Gmach stanął na gruntach dawnej Psiarni, które obecnie nabyła gmina m. Kielc od spadkobierców ks. Szachowskiego. Powierzchnia całego obiektu wynosi 7 i pół ha. Gmach jest kolosalnych rozmiarów, zewnętrznie (od strony wschodniej) może niezbyt przekonywujący, wewnątrz olśniewający nadmiarem marmurów i alabastru. Zawiera szereg sal reprezentacyjnych, z których najpiękniejsze są: konferencyjna, balowa i wielka sala teatralna, w której od roku uruchomiono kino. Sala ta mieści się w czteropiętrowej części gmachu, gdzie znalazły pomieszczenie liczne związki i stowarzyszenia: kulturalne, społeczne, oświatowe, sportowe. Zdecydowanie reprezentacyjny charakter nadają gmachowi olbrzymie halle, obstawione rzędami marmurowych kolumn.

Część sportową gmachu stanowi wielka sala gimnastyczna z natryskami, wyposażona w najnowocześniejsze przyrządy do ćwiczeń.

Za częścią południową gmachu rozciągają się plantacje kwiatowe, a dalej tereny sportowe, na których urządzono dotąd trzy korty tenisowego z trybunami, skąd roztacza się szczególnie piękny widok na lasy, strzelnicę z pawilonem i wieżę spadochronową. W budowie zaś jest bieżnia lekkoatletyczna, boisko piłkarskie, boisko do gier, szatnie i trybuny żelbetonowe.

Jednakże budowa tego pięknego stadionu musi budzić poważne refleksje: jakto, więc dwa stadiony koło siebie? W takim stanie rzeczy zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stary (!) stadion straci w dużym stopniu swoją rację sportową.

Budowę Domu W. F. i P. W. finansował Fundusz Pracy. Koszty wyniosły parę czy też kilka milionów — nie łatwo się o to dowiedzieć. W każdym bądź razie wygląd miasta zyskał dzięki temu gmachowi niewątpliwie, nie mniej jest rzeczą pewną, że np. budowa nowego szpitala, który jest w Kielcach obrazem szczególnego ubóstwa, byłaby inwestycją o wiele pilniejszą.

Ale idźmy dalej. Oto ulica Bisk. Bandurskiego, będąca przedłużeniem Alei 3 Maja ku katedrze. Jest ona obecnie najbardziej reprezentacyjną ulicą w Kielcach. Lewa strona — to wraz z parkiem spacerowym jeden pas ogrodów. Po prawej stronie gmach Sądu Okrow., odnowiony i z uporządkowanym w tym roku skwerem, dalej ładny gmach Semin. Duchown., pełen zieleni, z przyzwoitym ogrodzeniem siatkowym, następnie za kościołem Św. Trójcy gmach

Gimnazjum im. Żeromskiego z tablicą ku czci wielkiego pisarza na froncie — zeszpecony, niestety, brzydką przybudówką, — a dalej uporządkowany nareszcie Plac Żeromskiego. Po zburzeniu cerkwi było w tym miejscu przez szereg lat rumowisko, które wreszcie zaczęto energicznie uprzątać, a po zatwierdzeniu ostatecznym planu regulacji placu całkowicie go w r. b. uporządkowano. Drzewostan istniejący zachowano, założono obszerne zieleńce i piękne klomby, a od strony ul. Bisk. Bandurskiego zbudowano w dwóch miejscach schody. W ten sposób Kielce zyskały w śródmieściu ładny skwer, którego brak dawał się odczuwać. W projekcie zaś jest przebicie ulicy, łączącej plac Żeromskiego z ul. Zamkową, co w ciekawy sposób zmieniłoby wygląd tej dzielnicy, usprawniając zarazem ruch kołowy.

Wyszedłszy z placu Żeromskiego na ul. Bisk. Bandurskiego, wchodzi się w wykop, zrobiony przed kilku laty, dzięki któremu zniwelowana została góra jezdni, z pozostawieniem bez zmiany chodników, na które wchodzi się po schodach. Wykop zakręca następnie w stronę Zamku, ale już przy wieży się urywa i na tym zostały przerwane prace przed kilku laty. W projekcie zaś była całkowita niwelacja Placu P. Marii i dziedzińca przed Zamkiem, który dzięki temu zostałby odsłonięty i niejako wyniesiony ku górze. Kiedy te prace będą kontynuowane i czy nie grożą fundamentom dzwonnicy — jest sprawą niewiadomą.

Zamek kielecki powoli, lecz systematycznie odzyskuje swój dawny wygląd. Po odrestaurowaniu przed laty dwóch wież wschodnich przyszła w tym roku kolej na zachodnie — właśnie jedna z nich jest teraz w budowie. Prace przy restauracji wnętrz mogły postąpić naprzód dzięki przeniesieniu Klubu Urzędn. Państwowych z Zamku do dawnej siedziby Wojewody przy ul. Tad. Kościuszki. Obejmują one między innymi salę, w której ma powstać Muzeum Józefa Piłsudskiego. Sprawa postępu prac restauracyjnych w Zamku wymagałaby jednak osobnego omówienia.

Doniosłe znaczenie dla wyglądu miasta miało uporządkowanie dawnego Rynku przed Magistratem. Plac ten zmienił się nie do poznania; splantowany, pokryty twardą nawierzchnią, pełen zieleńców i kwietników, jest obecnie najładniejszym placem w Kielcach. Targi przeniesione zostały na Plac Wolności. Uporządkowany również został plac przed Dworcem Kolejowym. Rozplanowano go zgod-





Fragmenty Domu P. W i W. F. im. Marszałka Józ. Piłsudskiego

nie z potrzebami ruchu kołowego i pieszego, zabrukowano kostką, założono zieleńce. Zresztą zmieniła radykalnie swój wygląd cała ulica Sienkiewicza i to właśnie głównie dzięki zmianie bruków. Stan ich bowiem w Kielcach był katastrofalny i jeszcze obecnie jest w tej dziedzinie bardzo dużo do zrobienia. Na ogólną bowiem ilość dróg w mieście, wynoszącą 96 km, wybrukowanych jest 46 km. Jest to oczywiście b. niewiele, a dodajmy, że do niedawna były to wszystkie tzw. „kocie łby". Stan ten po zakończeniu ostatecznym robót kanalizacyjnych zmienił się znacznie na korzyść, szereg bowiem ulic otrzymał bruk kostkowy, jak to ul. Pierackiego, Kilińskiego, Św. Aleksandra, Bandurskiego, 3 Maja, Focha, Sienkiewicza. Szereg zaś ulic został zniwelowanych, jak np. Słowackiego (dawna Hipoteczna), część ul. Szerokiej, która we wrześniu b. r. została przemianowana na Aleję Bolesława Markowskiego (jest to dzielnica nowych will), a przede wszystkim ul. Prosta, która po przeprowadzeniu bardzo uciążliwych prac niwelacyjnych stała się jedną z ciekawszych ulic w mieście (chodnik przekrajany kilkoma partiami schodów), z piękną perspektywą na lasy Karczówki.

Najstaranniej ze wszystkich ulic utrzymana jest ulica Sienkiewicza. Po wybrukowaniu jezdni kostką ułożono szerokotaflowe chodniki, założono zieleńce i kwietniki, posadzono młode drzewka, zniesiono obrzydliwe słupy lampowe (czynione są od dawna starania o zmianę ich na innych ulicach na słupy żelazne). Jednocześnie ulica Sienkiewicza od strony dworca szybko się zabudowuje trzypiętrowymi kamienicami, wśród których wyróżnia się gmach mieszczący biura elektrowni. Strona ta będzie już wkrótce całkowicie zabudowana. Największe gmachy (czteropiętrowe bloki) stanęły przy ul. Focha, która staje się najnowocześniejszą ulicą w mieście. Między nią a Żelazną powstała również cała nowa dzielnica. W tej stronie Kielce się najszybciej rozbudowują.

I jeszcze jedna jest w Kielcach nowoczesna dzielnica — to kompleks pięknych will przy ul. Kopernika, przebitej od ul. Tad. Kościuszki w stronę gmachu Gimnazjum im. św. St. Kostki, największego z gmachów szkolnych w Kielcach. W tej też dzielnicy stanął (niewykończony jeszcze całkowicie) gmach Gimn. Kupieckiego. Poza tym w Kielcach powstało ostatnio kilka nowych gmachów szkolnych: trzypiętrowy gmach Gimn. Żeńsk. im. M. Curie - Skło-

dowskiej przy zbiegu ulic Prostej i Śniadeckich oraz dwa budynki szkół powszechnych, oddane w b. r. do użytku.

Z większych inwestycji miejskich wymienić należy budowę oczyszczalni ścieków na Pakoszu, według systemu Hawortha, która jest pierwszą tego rodzaju i najnowocześniej urządzoną oczyszczalnią w Polsce. Budowa jej trwała dwa lata, koszty wyniosły 250000 zł. Przyczyni się ona niewątpliwie do podniesienia zdrowotności miasta i okolicy, co też głównie ma na celu zaprojektowana na wielką skalę regulacja rzeki Silnicy, które to roboty rozpoczęto już od strony Białogona. Finansować je ma Fundusz Pracy, a potrwają zapewne szereg lat. W obrębie miasta od ul. Piotrkowskiej do Legionów rzeka zostanie prawdopodobnie ujęta w koryto, a nie zakryta, jak pierwotnie projektowano.

Do pilnych inwestycji należy budowa przejazdu kolejowego na ul. Piotrkowskiej, słynnego z wielu śmiertelnych wypadków. Czy będzie to tunel, czy też wiadukt — nie zostało jeszcze zdecydowane.

Mówiąc ogólnie o wyglądzie miasta, należy podnieść przeprowadzoną w tym roku akcję odnawiania domów, która objęła wszystkie domy w śródmieściu oraz zasadzenie pod murami wszystkich gmachów rządowych roślin pnących, co w wysokim stopniu przyozdobi miasto.

Z plac regulacyjnych w mieście, które należało by podjąć, wymienić należy przede wszystkim uporządkowanie Placu Wolności, który jest największym placem w Kielcach, a jednocześnie najbardziej zaniedbanym, całkowicie pozbawionym zieleni. Oczywiście musiałoby przedtem nastąpić przeniesienie na inne miejsce targowiska.

Najdonioślejszą rzeczą dla wyglądu miasta byłoby wyprowadzenie ulic wylotowych. Jeśliby się ten wzgląd wzięto należycie pod uwagę, Kielce otrzymałyby charakter miasta podgórskiego, na jaki w zupełności zasługuje, dzięki swemu położeniu w kotlinie obramowanej granatowymi lasami. To położenie miasta widzi się najlepiej jadąc ku Kielcom szosą warszawską, a cały szereg takich perspektyw na lasy i góry otwiera się np. z ulic: Chęcińskiej, Focha, Prostej czy Szerokiej.

Zachodnia część miasta za Dworcem Kolejowym stanowi ośrodek przemysłowy Kielc, które uchodzą za miasto par excellence urzędnicze, posiada jednakże 12 większych zakładów przemysłowych. Do największych spośród nich należą przede wszystkim spółdzielcze zakłady

wytwórcze „Społem”, które są jednym z największych obiektów wytwórczości spółdzielczej w Polsce. Fabrykują one ocet spirytusowy, musztardę, świece, proszki, pasty do podłogi, gilzy, bibułki do papierosów.

Dalej należy wymienić Kadzielnię — zakłady wapienne i kamieniołomy i wiele in.

Jeśli chodzi o mniejsze przedsiębiorstwa przemysłowe, to należy nadmienić, że pozostają one w większości w rękach żydowskich. Natomiast w handlu daje się odczuć od r. ub. silny napór firm polskich, co widoczne jest zwłaszcza na ul. Sienkiewicza. Jest to objaw nader pocieszający.

Obok sławy miasta urzędniczego mają Kielce drugą jeszcze sławę: obszernego gniazda szkolnego. Posiadają wszak 10 średnich zakładów naukowych. Gimnazjów męskich 4: 2 państwowe i 2 prywatne (w tym jedno żydowskie); żeńskich — 1 państwowe i 3 prywatne (w tym jedno żyd.), oraz Gimn. Krawieckie P. M. S. Istnieje wreszcie koedukacyjne Gimn. Kupieckie. Szkół powszechnych jest w Kielcach również 10.

Z tak rozbudowanym szkolnictwem nie idzie jednak w parze rozwój życia umysłowego i zainteresowań ogólnokulturalnych. Świadectwem tego jest stan codziennej prasy kieleckiej, egzystującej chyba prawem bezwładu. Kielce nie mogą się zdobyć na żadne pismo codzienne, jakie przecież posiadają mniejsze miasta, nawet na terenie woj. kieleckiego. „Gazeta Kielecka” ukazuje się dwa razy na tydzień w skromniutkich rozmiarach. Szereg natomiast było pism, wychodzących pod firmą kielecką, które jedynie dodrukowywały w Kielcach ostatnie strony. Obecnie ukazuje się jedno z pism tego typu. Toteż coś siedem pism krajowych posiada w Kielcach swoje ekspozytury prowadząc kronikę miejscową. Najdonioślejszym wydarzeniem ostatniego roku było powstanie miesięcznika regionalnego „Radostowa” (a ostatnio „Tygodnika Kieleckiego”, który jest niejako uzupełnieniem „Radostowej”). Jest to pierwsze w Kielcach pismo o poważnych aspiracjach regionalnych. Ogólnie należy powiedzieć, że w Kielcach obudził się żywszy ruch regionalny, widoczny zwłaszcza w organizowaniu widowisk ludowych. W czerwcu b. r. obchodzone było uroczyście Święto Łysogór, mające charakter powszechnych imprez regionalnych, zakończonych w Kielcach widowiskami obrzędowymi.

Podobnie jak nie mają Kielce stałego dziennika, tak również nie mają stałego teatru, chociaż są dwie duże sale

teatralne. Założony w ostatnich latach Teatr Ziemi Kielecko-Radomskiej im. Wyspiańskiego okazał się imprezą niepoważną i zakończył swą egzystencję. Toteż życie teatralne w Kielcach związało się całkowicie z teatrem objazdowym Reduty, który przyjeżdża co parę tygodni. Na stałe natomiast zainstalowane zostało w sali teatralnej Domu W. F. i P. W. kino, o najlepszej podobno w Polsce aparaturze.

Życie kulturalno - artystyczne Kielc ogniskuje się w Świętokrzyskim Tow. Miłośników Sztuki, przekształconym z dawnego Tow. Mił. Sztuki, które po okresie pięknego rozwoju na pewien czas obumarło. Odżyło teraz w nowej postaci i posiada własny lokal w przebudowanej kawiarni w parku miejskim. Towarzystwo posiada kilka sekcyj, z których największą ruchliwość okazuje plastyczna (jak dawniej muzyczno - wokalna). Zorganizowała ona kilka wystaw malarzy krakowskich i warszawskich oraz wystawę prac artystów malarzy z terenu wojew. kieleckiego. Projektowano zaś urządzanie odczytów regionalnych oraz otwarcie w jednym z pawilonów w lokalu Tow. małej kawiarni artystycznej, połączonej z wystawą obrazów.

Z rozwojem Święt. Tow. Mił. Sztuki wiąże się w pewnym stopniu ruch około konserwowania zabytków i utrwalania pamiątek narodowo - historycznych na terenie miasta i okolicy, co w głównej jednak mierze zawdzięczać należy przeniesieniu siedziby okręgowego konserwatora sztuki z Krakowa do Kielc i otwarciu Oddziału Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim.

Należało by jeszcze wspomnieć o Sekcji Fotograficznej przy Oddziale Pol. Tow. Krajoznawczego, które wykazuje dość znaczną ruchliwość, czego wyrazem była zorganizowana w r. ub. w Kielcach ogólnopolska wystawa fotografiki. Dużą rolę kulturalną będzie mogło w przyszłości odegrać Muzeum Świętokrzyskie, dla którego przełomowym wydarzeniem było zorganizowanie w r. ub. przez Zarząd Główny Pol. Tow. Krajozn. wespół z Komitetem Ochrony Puszczy Jodłowej z okazji dziesiątej rocznicy zgonu St. Żeromskiego wspaniałej Wystawy Świętokrzyskiej. Otwarta w Warszawie, przeniesiona została następnie do Kielc, ściągając liczne wycieczki zamiejscowe. Po zamknięciu wystawy wszystkie eksponaty, będące własnością Tow. Krajozn., weszły w skład Muzeum Świętokrzyskiego. W ten sposób Muzeum Kieleckie, nie mające

dotąd wyraźnego charakteru dzięki przypadkowemu gromadzeniu zbiorów, nabrało charakteru regionalnego. Nowe zbiory obejmują szereg działów: leśnictwo, flora, geologia, geografia, etnografia, prehistoria, propaganda turystyki, historia, architektura.

Jednakże znaczna część zbiorów jest z konieczności zmagazynowana, a i obecnie wystawione są trudno dostępne ze względu na wielką ciasnotę lokalu. Stała się więc sprawą palącą budowa gmachu muzeum i zawiązał się już nawet Tymczasowy Komitet Budowy Muzeum Świętokrzyskiego, który przystępuje do opracowania projektów. Według obliczeń Zarządu Muzeum potrzebny jest lokal o dziesięciu salach, ponadto pracownia i magazyny, a przy tym należy się liczyć ze stałym powiększaniem się zbiorów. Ofiarność społeczeńswa na ten cel byłaby jedną z piękniejszych form uczczenia pamięci Stefana Żeromskiego.

EMIL ZAREMBA.

P A M I Ę C I   Z M A R Ł Y C H

Ś. P. BOLESŁAW MARKOWSKI

Odszedł minionej jesieni, okrywając żałobą miasto przez siebie ukochane. Bo dzieje Jego życia — to przecież pół wieku historii kieleckiej.

Urodzony 23 marca 1862 r. w Zawichoście, chował się w rodzinnym domu w Miechowie aż do wstąpienia w r. 1874 do gimnazjum w Kielcach, z którymi związał się odtąd na zawsze. Ukończywszy szkołę w r. 1881 rozpoczyna studzia na wydziale prawnym Uniwersytetu Warszawskiego, trwające do roku 1885. W tym roku rozpoczyna aplikację przy Sądzie Okręgowym w Kielcach, będąc jednocześnie nauczycielem geografii w szkole Wilkoszewskiego. Obejmuje następnie stanowisko pisarza hipotecznego.

Chwile wolne poświęca pracy społecznej, zwłaszcza oświatowej. W niej bowiem widzi istotnie aktualną broń przeciw systemowi rusyfikacyjnemu. Rezultatem tych jego zabiegów było powstanie w r. 1903 siedmioklasowej Szkoły Handlowej, w której Bolesław Markowski jest początkowo nauczycielem, wykładając prawodawstwo i historię polską. Wkrótce trzeba było pomyśleć o odpowiednim gmachu na pomieszczenie szybko rozwijającej się szkoły, toteż Bolesław Markowski przystępuje do zbierania funduszów na ten cel i w niedługim czasie staje piękny gmach, mieszczący obecnie gimnazjum im. J. Śniadeckiego.

W r. 1906 wchodzi do Rady Opiekuńczej Szkoły w charakterze wiceprezesa, czuwając bacznie nad jej rozwojem, jako placówki polskości, którą się stała po przekształceniu zakładu w roku 1905 na szkołę polską. Ale to właśnie miało mu zaszkodzić w oczach władz rosyjskich, które widząc bezskuteczność swych zamachów na jej istnienie, udzieliły w r. 1910 wiceprezesowi Rady Opiekuńczej Bol. Markowskiemu dymisji ze stanowiska pisarza hipotecznego, wyjaśniając w motywach, że nie może się godzić stanowisko

urzędnika państwowego z prowadzeniem szkoły wyraźnie polskiej z ducha.

Nie odstraszyło to jednak Bolesława Markowskiego od udziału w pracach Rady Opiekuńczej, w której zasiada do r. 1918, kiedy to imieniem Rady przekazał gmach Szkoły odrodzonemu Państwu. W miejsce zaś utraconej posady obejmuje stanowisko Dyrektora (a następnie Prezesa) Wzajemnego Kredytu w Kielcach.

Obok tych zajęć zawodowych i społecznych (po wybuchu wojny światowej jest prezesem Komitetu Obywatelskiego) pracuje nieustannie naukowo. Od dawna prowadził badania nad gospodarką samorządową, tak że w 1908 r. delegowany został do Petersburga, uczestnicząc w naradach nad sprawą zaprowadzenia samorządu w Królestwie Polskim.

W r. 1913 wychodzi kapitalne w jego dorobku naukowym dzieło o „Finansach miast Królestwa Polskiego".

W latach okupacyjnych jest prezesem Rady Miejskiej w Kielcach i członkiem zarządu miejskiego (w komisji podatkowej). W tym charakterze kładzie podwaliny pod samorząd miejski w Kielcach, mając okazję praktycznego wykorzystania swych studiów naukowych nad prawem skarbowym.

Wiedza jego w tej dziedzinie i nabyte doświadczenie wysoce są cenione, toteż w r. 1917 powołany zostaje do prac organizacyjnych przy tworzeniu Ministerstwa Skarbu, oddając na tym polu niezmierne usługi. W roku następnym przejmuje skarbowość po władzach okupacyjnych austriackich, a w r. 1919 obejmuje stanowisko Dyrektora Kieleckiego Oddziału Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej (późniejszego Banku Polskiego).

Pracuje jednocześnie nad projektem ustaw organizujących skarbowość, co znów praktycznie wyraża się w zorganizowaniu przezeń w r. 1920 Kieleckiej Izby Skarbowej, której zostaje pierwszym Dyrektorem.

Ta równoległość pracy naukowca i organizatora zawsze idzie u niego w parze. W r. 1921 powołany zostaje Bolesław Markowski na stanowisko Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Skarbu. Na tym stanowisku oddał nieocenione usługi młodej skarbowości polskiej: uporządkował system podatkowy, wydał szereg prac w zakresie finansów państwowych, m. in. „Projekt ustawy o sporządzaniu, uchwalaniu i wykonywaniu budżetu państwowego", organizował

kursy skarbowości dla przyszłych urzędników państwowych itd.

W r. 1926 ustępuje z Ministerstwa Skarbu, poświęcając się pracy naukowej i pedagogicznej w Wyższej Szkole Handlowej, gdzie wkrótce obdarzony zostaje godnością Rektora.

W tym czasie ogłasza szereg prac naukowych, a mianowicie: „Prace przygotowawcze do ustawodawstwa skarbowego" (12 zesz. 1926—29), „Organizowanie administracji skarbowej w Polsce" (1927), „Dochody i wydatki samorządu terytorialnego" (1929) i wreszcie drugie obok „Finansów miast" kapitalne dzieło: „Administracja skarbowa w Polsce" (1931).

Ale i w tym najcięższym dla siebie okresie pracy naukowej i pedagogicznej znajduje zawsze czas na pracę organizacyjno-społeczną. Bo to było dla Bolesława Markowskiego przykazaniem moralnym i miało źródło w potrzebie serca.

Znalazłszy się na szerokiej arenie życia publicznego, tym silniejszą czuł potrzebę wiązania się z ludźmi pochodzącymi ze wspólnego gniazda kieleckiego. Należał do organizatorów Zjazdu b. Wychowanków Kieleckiego Gimnazjum, odbytego w r. 1924, na którym postanowiono powołać do życia organizację koleżeńską. Na pierwszym posiedzeniu zarządu Koła Kielczan w r. 1926 zaproszono Bolesława Markowskiego na prezesa stowarzyszenia. Odtąd okres jego pobytu w Warszawie związał się niepodzielnie z rozwojem Koła.

Jak rozumiał Bolesław Markowski cel zrzeszania się na zasadzie wspólnego środowiska, dowiadujemy się ze sprawozdania, złożonego na drugim Zjeździe Koleżeńskim w r. 1927, który otworzył jako prezes Koła:

„Z przywiązania do rodzinnego gniazda, z ukochania ziemi, krajobrazu i ludzi, wśród których człowiek wyrasta, ze świadomości pochodzenia z jednego pnia urabia się zarówno patriotyzm lokalny, jak i ten, który swymi kręgi obejmuje cały naród i całą ziemię ojczystą.

Związki i zjazdy koleżeńskie, pielęgnując i utrwalając ideę tradycjonalizmu, już przez to samo stanowią czynnik posiadający pewną wartość społeczną, a nie są tylko przyczynkami do powiększania sumy radości życia".

Za jedno z istotnych zadań społecznych zrzeszenia koleżeńskiego — na co kładł szczególny nacisk — uważał opiekę materialną nad młodzieżą akademicką, zwłaszcza po-

świącającą się pracy naukowej. Toteż dał się wkrótce poznać akademikom Kielczanom, jako niezrównany opiekun i przyjaciel, do którego z całym zaufaniem zwracano się o pomoc w wyszukaniu środków materialnych na prowadzenie dalszych studiów, o radę w osobistych sprawach życiowych czy naukowych, czy też po prostu, żeby odwiedzić Czcigodnego Profesora i posłuchać jego uwag głębokich o życiu i serdecznych wspominań o czasach swej młodości, o Kielcach dawnych i przyszłych.

Interesował się żywo rozwojem Akad. Koła Ziemi Kieleckiej, doglądając jego pracy, zaszczycając swą obecnością walne zebrania i organizowane przez Koło imprezy. W uznaniu tych zasług A. K. Z. K. — nie mając możności inaczej okazać swej wdzięczności — uprosiło go o przyjęcie honorowego członkostwa Koła. Z całą też energią pracował Bolesław Markowski nad rozbudową organizacyjną Koła Kielczan, zabiegając o zbliżenie się wzajemne Kielczan, rozproszonych po całej Polsce, przez zrzeszenie ich w jednej organizacji, urządzanie zjazdów koleżeńskich, zebrań towarzyskich czy referatowych (w Warszawie i Kielcach), wydawanie „Pamiętnika", wzajemną pomoc materialną itd. Toteż pięknie i słusznie powiedziano w jednym z „Pamiętników Koła", że poczucie moralne, udzielające się od niego, było zasadniczą siłą całej organizacji.

Opuszczając Warszawą w marcu r. 1931 uproszony zostaje Bolesław Markowski o przyjęcie godności Prezesa honorowego Koła Kielczan, z którym pozostaje też nadal w najściślejszym kontakcie, prowadząc ekspozyturę kielecką Koła.

Na Zjeździe Koleżeńskim w r. 1931, odbytym pod jego protektoratem, złożony został hołd jego wielostronnej zasłudze zarówno przez starszą generację Kielczan, jak też młodzież akademicką.

Ostatnie lata życia poświęcił Bolesław Markowski pracy społecznej na terenie Kielc i swym zamiłowaniom naukowym.

Tak jak w początkowej działalności publicznej organizował Szkołę Handlową, przekształconą później na Gimnazjum, tak znów u schyłku życia tworzy nowe Kursy Handlowe, które po wprowadzeniu reformy szkolnej zamienione zostają na Gimnazjum Kupieckie (męskie i żeńskie). Zasiada w Radzie Opiekuńczej w charakterze prezesa i jak ongi zabiegał o budowę gmachu dla Szkoły Han-

dlowej, tak teraz o budowę gmachu dla Gimnazjum Kupieckiego, a następnie o kredyty na jego wykończenie.

Jednocześnie pracuje w szeregu stowarzyszeń i dobroczynnych instytucji. Jest prezesem Szpitala Dziecięcego, pracuje w Akcji Katolickiej, w Tow. Krajoznawczym, którego jest członkiem-założycielem. Nie zrywa też kontaktu z Warszawą, uczestnicząc w posiedzeniach Rady Banku Towarzystw Spółdzielczych, na które z Kielc dojeżdża. Interesuje się też nieustannie zagadnieniami samorządowymi; jest na kilka lat przed śmiercią Prezesem Komisji oszczędnościowej samorządów miast Wojew. Kieleckiego, pracuje też w dalszym ciągu nad dziejami gospodarki miejskiej i administracji Kielc za czasów Królestwa Kongresowego.

Studia Bolesława Markowskiego, dotyczące kieleckiego regionu, dotyczą spraw gospodarczych i szkolnictwa. Obejmują one następujące pozycje:

„Obraz stanu ekonomicznego powiatu kieleckiego w r. 1925—26", „Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach" („Pam. Koła Kiel." t. II 1928, t. III 1929 i t. IV 1935), „Szkolnictwo w Kielcach w okresie lat 1919—31" („Pamięt. t. V 1932). Pracę ostatnią poprzedziła wydana w r. 1918 jubileuszowa broszura: „Piętnastolecie Szkoły Realnej (handlowej) 1903—1918".

Do ostatnich chwil życia kontynuował Bolesław Markowski swe studia naukowe, choć gasnący z dnia na dzień wzrok już nie pozwalał na to. A przecież nie poddawał się — schylony nieustannie nad pożółkłymi aktami, które mu nadsyłano z Archiwów warszawskich i wojewódzkiego w Kielcach, w pyle gryzącym oczy, unoszącym się znad starych foliałów, — dokonywał mozolnej pracy odcyfrowywania akt. Napisawszy pierwszy zarys pracy — a pisanie przychodziło mu już z dużym trudem — oddawał go do czytelnego przepisania Czcigodnej Małżonce, niestrudzenie mu we wszystkim pomocnej, po czym znów kreślił, przerabiał, przekomponowywał i powtórnie oddawał żonie do mozolnego przepisywania. Była to wspólna męka twórcza, o której trudno mówić bez głębokiego wzruszenia...

I jeszcze nad jednym pracował Bolesław Markowski — pisał pamiętnik swego życia, który śmierć, przyszedłszy po nocy (30 września 1936 r.) zamknęła na roku wielkiej wojny. Pogrzeb w dniu 2 października był wielką manifestacją żałobną. Powszechny żal towarzyszył osieroconej

rodzinie w osobie żony Eleonory z Pląskowskich, córki Wandy Winiarskiej i syna Bolesława.

Żegnali doczesne szczątki Zmarłego przedstawiciele Ministerstwa Skarbu, kieleckiej skarbowości, szkolnictwa, organizacji, stowarzyszeń, a nade wszystko Kielce — te znane i te bezimienne, od inteligencji i bogatych do prostaczków i ubogich, którzy znali Jego miłosierne serce.

Zabrakło Bolesławowi Markowskiemu jednego miesiąca życia, aby mógł na Zjeździe wychowanków b. Szkoły Handlowej, zwołanym na dzień 1 listopada, spojrzeć wstecz na dzieło swoje. A im dane już było tylko złożyć żałobny hołd zasłudze.

*
* *

Tak zamknęła się na oczach kieleckiego społeczeństwa księga pięknego żywota. Pięknego przez swą pełną i harmonijną budowę.

Wypowiedział się bowiem Bolesław Markowski wszechstronnie — poprzez myśl twórczą, jako uczony i pedagog, — wysiłek woli wyrażony w służbie publicznej i rozległej działalności społecznej i organizacyjnej, — w miłości człowieka, płynącej z wysokich cnót obywatelskich i osobistych. To wszystko składało się na dostojność Jego człowieczeństwa, objawiającą się w życiu codziennym w sposób najpiękniejszy: w nieudawanej skromności, prostocie słowa i gestu, w szczerej, życzliwej przystępności. Była w tym wszystkim dobroć serca płynąca z najgłębszego poczucia moralnego, o czym w jednym z „Pamiętników Koła" pięknie powiedziano, że prawo koleżeństwa było dla niego rozszerzoną zasadą życia rodzinnego. Bo też życie rodzinne było dlań szczęściem najwyższym. Z niego czerpał podnietę do pracy na rzecz dobra zbiorowego. Praca ta, będąca jego żywiołem, płynęła z poczucia obowiązku, jakie spoczywało na barkach starszego pokolenia, — położenia podstaw pod organizację niepodległego Państwa. Rozumiał, że jest to „nader ciężki obowiązek, ale zarazem wielkie szczęście" — jak to wyraził w przemówieniu na Zjeździe w r. 1924. I wtedy to apelował do młodzieży gimnazjalnej, zaproszonej na akademię zjazdową, aby stała na straży niepodległości i zaprawiała się do służby dla Ojczyzny.

Zasępiła wkrótce jego czoło troska o los wchodzącego w życie pokolenia, przed którym w miarę pogłębiania się kryzysu ekonomicznego coraz częściej zaczęło stawać wid-

mo bezrobocia. Dawał tej trosce częsty wyraz w rozmowach, a sam w miarę swych możliwości wyjednywał młodym ludziom zajęcia, stypendia, pożyczki czy zapomogi.

Kiedy przebywając w Kielcach musiał wyjeżdżać do Warszawy — co przychodziło mu z trudem, bo coraz bardziej zapadał na zdrowiu — wiózł zawsze z sobą całą litanię cudzych spraw do załatwienia. Gdy widziało się wtedy Bolesława Markowskiego, b. Rektora i Wiceministra, utrudzonego chodzeniem od urzędu do urzędu, od instytucji do instytucji w różnych „kieleckich sprawach" — jak je chętnie nazywał — było w nim coś z dostojeństwa wielkiego Jałmużnika.

Są trudy, których nikt nie policzy, bo nie figurują w żadnym urzędowym rejestrze zasług...

Bolesław Markowski wyszedł na szerokie gościńce świata z Kielc i do nich powrócił. A właściwie nigdy się z nimi nie rozstawał. Leżały mu na sercu, jako rzecz najdroższa — a przecież nie zasłaniały horyzontu. Patrzył daleko w sprawy bytu narodowego i życia ludzkiego. Każda jego praca, nawet ta niby wyłącznie z Kielcami tylko związana, była wkładem do ogólnego dorobku.

Bo udziałem człowieka wiecznego jest uczestniczenie w procesach tworzenia cywilizacji narodu.

EMIL ZAREMBA

Ś. P. GABRIEL WĘDRYCHOWSKI

Śp. G. Wędrychowski po ukończeniu gimnazjum kieleckiego w r. 1881, a następnie uniwersyteu warszawskiego (wydział prawny) osiadł w Krakowie, gdzie zajmował się publicystyką i dziennikarstwem. Poza tym umieszcza w prasie krajowej szereg tłumaczeń z języków obcych. Znany był na gruncie krakowskim ze swej czynnej i żywej działalności społecznej.

Zmarł w Krakowie w r. 1936.

Ś. P. ADAM WARDYŃSKI

Urodził się w Warszawie w r. 1868. Gimnazjum kieleckie skończył w r. 1888, po czym — wydział medyczny Uniwersytetu Warszawskiego w r. 1895. W r. 1900 osiedla się

na stałe w Ostrowcu, gdzie przez lat 25 pracuje jako ordynator szpitala Zakładów Ostrowieckich. Od r. 1925 do r. 1929 zajmuje stanowisko lekarza naczelnego Kasy Chorych w Ostrowcu. W latach wojny 1915 i 1916 niesie pomoc rannym i prowadzi walkę z epidemiami wojny światowej; niezależnie od tego czynny jest w Komitecie Pomocy Dzieciom, za co otrzymuje dyplom honorowy od Naczelnego Komitetu Pomocy Dzieciom. W r. 1931 odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, w roku zaś 1935 — krzyżem Czerwonego Krzyża i tytułem prezesa honorowego za zasługi na polu działalności lekarskiej i społecznej, specjalnie na terenie ostrowieckim.

Od czasu zorganizowania Koła Kielczan był obecny na wszystkich zjazdach urządzanych przez Koło. Zmarł 3 maja 1937 r.

Ś. P. WACŁAW JASKŁOWSKI

Urodził się 28.IX. 1877 w Wiśniewie nad Bugiem z ojca Jana i matki Stanisławy z Mikułowiczów. Szkołę średnią kończył w Warszawie. W r. 1904 otrzymał dyplom z ukończenia wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego. Był kolejno sędzią śledczym w Żarnowcu i Jędrzejowie. Po opuszczeniu sądownictwa prowadził kancelarię adwokacką w Miechowie, gdzie go miechowianie pamiętają z działalności o charakterze społecznym. Odziedziczywszy wieś Mnichów w powiecie jędrzejowskim, przenosi się tam na stałe, prowadząc gospodarkę rolną.

Był człowiekiem o znacznym wykształceniu, większych zainteresowaniach umysłowych i głębszej kulturze duchowej.

Napisał szereg studiów z zakresu prawa i literatury regionalnej. Sumienne i źródłowe studium śp. W. Jaskłowskiego o „udziale województwa krakowskiego w powstaniu listopadowym” ukazało się w naszym „Pamiętniku” z r. 1930-31. Poza tym napisał monografie historyczne Oksy, Mokrska, Imielna, Korytnicy, Węgleszyna i rodzinnego Mnichowa; ze studiów prawnych: sprawa dziedziczenia gospodarstw wiejskich w województwie kieleckim oraz o potrzebie reformy spadkobrania.

Zmarł 6 czerwca 1937 r.

Ś. P. KS. STANISŁAW ZAPAŁOWSKI

Urodzony w Szeligach koło Kunowa w Sandomierskim w r. 1864. Pochodził z rodziny zasłużonej dla kraju. Dziad jego Jan, jako porucznik wojska polskiego, walczył w powstaniu listopadowym, a ojciec Władysław po powstaniu 1863 r., zesłany na Syberię, wrócił do kraju dopiero w r. 1869. Z siostrą Władysława ożeniony był Julian Bartoszewicz. Z gimnazjum kieleckiego przeszedł do miejscowego seminarium, które ukończył w r. 1884. Pełnił obowiązki proboszcza w Koziegłówku pod Częstochową, Kielcach i Miechowie. Na stanowiskach tych rozwijał szeroką działalność, organizując handel spółdzielczy, rzemiosło, szkoły rzemieślnicze, ochronki, poradnictwo lecznicze itd. Działalność ta zasługuje na podkreślenie, zważywszy trudności, stawiane przez rząd rosyjski.

Ś. P. STANISŁAW BZOWSKI.

W roku bieżącym z grona starszych Kielczan ubył również ś. p. Stanisław Bzowski. Urodzony w Kielcach w r. 1862, po ukończeniu tamże gimnazjum w r. 1884 a następnie wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim i po odbyciu praktyki sądowej został mianowany notariuszem w Wieluniu i w tym głuchym zakątku rozpoczyna zaraz działalność społeczną przez założenie Towarzystwa Muzycznego, jako jedynej możliwej pod ówczesną czujną kontrolą władz rosyjskich placówki, która wkrótce staje się ogniskiem życia towarzyskiego i kulturalnego mieszkańców Wielunia i okolicy. Zarazem rozumiejąc, że życie narodowe musi się także opierać na bycie materialnym, zakłada jedną z pierwszych w Polsce kas pożyczkowo - oszczędnościowych, która przyczynia się poważnie do rozwoju miejscowego przemysłu i handlu. W roku 1900 zostaje przeniesiony na stanowisko notariusza w Kaliszu i tu w dalszym ciągu, lecz już na szerszej arenie, rozwija swą działalność społeczną. I znów jako prezes Kaliskiego Tow. Muzycznego skupia koło siebie życie towarzyskie a żywym pomnikiem tej pracy jest gmach Towarzystwa przy ulicy Łączkowskiej, zbudowany jego staraniem i ofiarnością. Jako prezes kaliskiego oddziału Tow Krajoznawczego organizuje liczne odczyty ściągając na nie prelegentów

z Warszawy, Krakowa i Poznania i pokrywając większość wydatków z własnej kieszeni. Od roku 1903 jest członkiem a następnie od r. 1915 przez lat 18 prezesem Dyrekcji Tow. Kredytowego m. Kalisza. W roku 1906 jest jednym z inicjatorów założenia w Kaliszu prywatnej szkoły handlowej i budowy dla niej własnego gmachu, który w r. 1921 został oddany na własność Państwa Polskiego, a mieszczące się w nim gimnazjum nosi nazwę T. Kościuszki. W szkole tej przez lat kilkanaście wykładał encyklopedię prawa. Był również przez dłuższy lub krótszy przeciąg czasu motorem i duszą innych miejscowych organizacji, jako prezes właścicieli nieruchomości, jako prezes Stowarzyszenia Prawników, jako prezes Rady Miejskiej, jako prezes Sodalicji Mariańskiej. Z jego inicjatywy celem uczczenia poległych w wojnie światowej Kaliszan zostały wmurowane w dwóch tamtejszych kościołach parafialnych ozdobne tablice z nazwiskami poległych. Jednym słowem nie było placówki w życiu społecznym miasta, której by nie popierał swą znojną i ofiarną pracą, a i w życiu prywatnym wiele rodzin korzystało z jego światłej rady i pomocy materialnej. Złożony chorobą w r. 1933 ze względów rodzinnych przeniósł się do Krakowa, gdzie w dn. 4 sierpnia 1937 r. zakończył swój pracowity żywot. W imieniu okrytego żałobą m. Kalisza pamięć Jego żywym słowem nad otwartą mogiłą na cmentarzu Rakowieckim w Krakowie uczcili przedstawiciele Kalisza ks. St. Zaborowicki i naczelnik biura Tow. Kredytowego m. Kalisza Edmund Sobczyński, który w konkluzji swego przemówienia powiedział: był to mąż spiżowy, z sercem anielskim i duszą kryształową, do której nie przylgnął żaden osad z mętów i ułomności ludzkiej, był jednym z pierwszorzędnych obywateli, którzy złotymi głoskami zapisali swe imię na wieczystych kartach historii miasta.

E. Z.

Ś. P. KAROL DRYMMER

Karol Drymmer, syn Teodora i Józefy z Kozłowskich, małżonków Drymmer, urodził się w Kielcach 29 sierpnia 1851 r., gdzie też ukończył Gimnazjum w 1872 r. W tymże roku wstąpił na Uniwersytet Warszawski, na sekcję nauk matematycznych, lecz po paru latach przeniósł się na sekcję przyrodniczą, którą ukończył w 1880 r., a po przedstawieniu rozprawy p. t. „O oddychaniu roślin w tlenku

azotu" otrzymał stopień kandydata nauk przyrodniczych. Następnie rok 1880—81 spędził w Hanuszyszkach na Litwie, w guberni kowieńskiej, jako nauczyciel prywatny. W 1881 r. został mianowany nauczycielem geografii w Szkole Realnej w Warszawie.

W końcu 1882 r. wskutek wzrastającej działalności rusyfikatorskiej Apuchtina porzucił Szkołę Realną i przeszedł na posadę do Warszawskiego Zarządu Akcyzy. W czasie wojny światowej ewakuowany do Rosji znalazł się w Orenburgu nad Uralem. Po powrocie do kraju w 1919 r. otrzymał posadę starszego komisarza kontroli skarbowej w Warszawskiej Izbie Skarbowej, gdzie pracował aż do otrzymania emerytury.

Kiedy w 1884 r. z inicjatywy redakcji „Pamiętnika Fizjograficznego" przedsięwzięte zostały wycieczki botaniczne po kraju, brał w nich również udział, udając się, w ciągu kilkunastu lat, do różnych okolic kraju mało zbadanych. Zebrany materiał, odpowiednio opracowany, posłużył mu do ogłoszenia drukiem następujących prac z dziedziny florystyki ojczystej:

„Spis roślin zebranych w 1884 r. w powiecie kutnowskim, w okolicach Zychlina, Kutna, Krośniewic i Orłowa". („Pamiętnik Fizjograficzny", t. V.).

„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej w nadniemeńskie okolice powiatu władysławowskiego, mariampolskiego i wyłkowyskiego w 1885 i 1886 r." („Pamiętnik Fizjogr." t. VII.).

„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej do puszczy Białowieskiej w lecie 1887 r. wspólnie z F. Błońskim i A. Ejsmondem" („Pam. Fizjogr." t. VIII.).

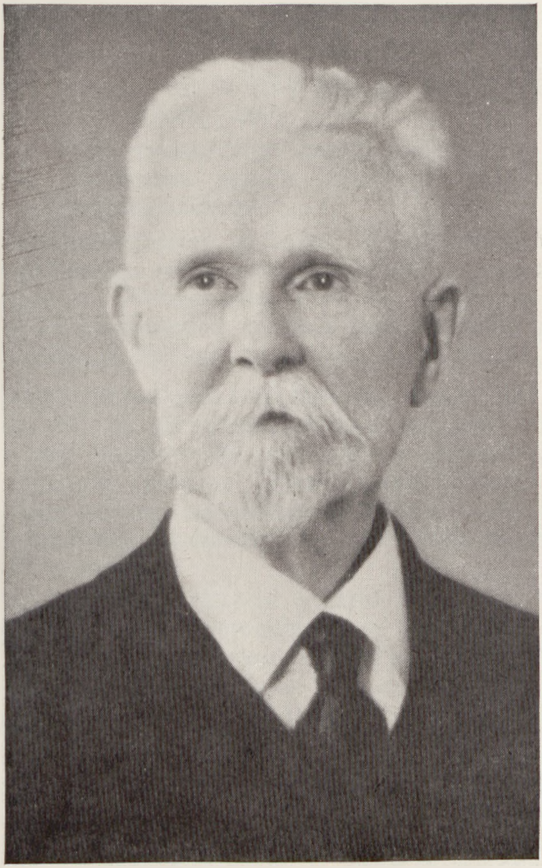
„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej do puszczy Białowieskiej, Lidzkiej i Świsłockiej w r. 1888 wspólnie z F. Błońskim". („Pam. Fizjogr." t. IX.).

„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej do powiatu tureckiego i sieradzkiego w 1889 i 1890 r." („Pamiętnik Fizjogr." t. XI.).

„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej w okolice Koła i Sempolna w r. 1891 i 1892". („Pam. Fizjograf." t. XIII.).

„Sprawozdanie z wycieczki botanicznej, odbytej do powiatu węgrowskiego w r. 1893 i 1894". („Pam. Fizjogr." t. XIV.).

Oprócz powyższych prac ogłosił jeszcze:



ś. p. KAROL DRYMMER

„Spis roślin zebranych na paru ekskursjach r. 1880 i 1881 w okolicy Hanuszyszek" („Pam. Fizjogr." t. V.).

„Rośliny najbliższych okolic Kielc". („Pam. Fizjogr." t. X.).

„Dodatek do spisu roślin powiatu kutnowskiego, mianowicie z okolic Zychlina". („Pam. Fizjogr." t. X.).

Kasa Mianowskiego wydała:

„Spis roślin zawartych w XIV tomach Pamiętnika Fizjograficznego". Warszawa, 1897.

Opracował dział botaniczny, mianowicie część systematyczną, do „Słownika języka polskiego" Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego.

Był współpracownikiem zielnika „Flora polonica exsiccata" wydawanego we Lwowie od 1893 r. przez profesorów Rehmana i Wołoszczaka w 33, a następnie w dwudziestu kilku egzemplarzach. Zielnik ten posiadają pierwszorzędne instytucje Paryża, Londynu, Wiednia itd.

W Warszawie przed pół wiekiem, za czasów gnębicieli moskiewskich, którzy nie pozwalali tworzyć stowarzyszeń społecznych czy naukowych, obok Kasy Mianowskiego, zdaje się, istniało jedynie Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze, pod którego opiekuńcze skrzydła schroniło się grono przyrodników warszawskich, jak i jego, popierająca ogrodnictwo, sekcja.

To Towarzystwo Ogrodnicze nadało Karolowi Drymmerowi godność członka korespondenta (30 października 1896 r.), a za czasów niepodległości Polski przyznało mu Polskie Towarzystwo Botaniczne godność członka honorowego tego Towarzystwa. (15.V.1932).

Karol Drymmer położył wybitne zasługi w nauce polskiej, a świadectwem tego jest między innymi fakt umieszczenia jego nazwiska w „Zarysie historii botaniki w Polsce", Bolesława Hryniewieckiego; tam również wśród 57 portretów botaników polskich od w. XVII do w. XX figuruje portret K. Drymmera stanowiącego stałą już pozycję w dziejach botaniki polskiej.

Łączył go głębszy stosunek uczuciowy z Kielcami i Kołem Kielczan. Posiadamy w swej tece list ś. p. K. Drymmera, pisany na rok przed śmiercią, w którym tłumaczy się, że postępująca naprzód choroba nie pozwala mu w czasach ostanich przybywać na zebrania towarzyskie i referatowe Koła.

Cenił sobie wysoko Pamiętnik, więc pisze, że z niecierpliwością oczekuje ukazania się tomu VII. Śmierć, która nastąpiła w dn. 5 sierpnia 1937 r. nie pozwoliła mu już ujrzeć tomu niniejszego, w którym drukujemy nadesłane nam przez ś. p. K. Drymmera w r. 1936 wspomnienia kieleckie.

Imieniem Koła Kielczan brał udział w pogrzebie ś. p. Drymmera i żegnał Zmarłego Dr K. Strożecki.

Z KIELECKIEJ PRASY REGIONALNEJ

„RADOSTOWA"

Drugi już rok ukazuje się w Kielcach Radostowa, „ilustrowany miesięcznik świętokrzyski". W roku bieżącym do chwili pisania tej notatki wydano siedem numerów tego pisma. Redaguje je miejscowy komitet, na którego czele stoi p. mgr. Jan Pazdur, profesor kieleckich szkół średnich.

Pismo, które zgodnie ze swym nagłówkiem „literatura, historia regionu, kultura", stara się propagować regionalizm kielecczyzny, wywiązuje się ze swych zadań na ogół umiejętnie, miło i sympatycznie. Obok materiału historycznego, dotyczącego przeszłości Kielc i ich okolic, bardzo szeroko uwzględnionego w „Radostowej", mamy również literaturę w formie udatnych wierszy regionalnych, ustalających uczuciowy stosunek współpracowników pisma do grodu kieleckiego. A już z najżywszym zadowoleniem czyta się zapiski i artykuły, poświęcone folklorowi świętokrzyskiemu, obejmujące podania ludowe, rejestrujące obrzędy ludowe, pieśni, często z oryginalnymi nutami, notujące gwary świętokrzyszczyzny; widać w „Radostowej" usiłowania wyjścia poza ten „humanistyczny" folklor na teren badania życia gospodarczego ludu kieleckiego; można tym usiłowaniom jedynie przyklasnąć, gdyż trudno zacieśniać regionalizm do zjawisk natury jedynie humanistycznej.

A jednak przykład „Radostowej" raz jeszcze dowodzi, że dla pisma regionalnego istotną, bo trwałą wartość posiadać mogą jedynie materiały z pierwszej ręki, pozbawione piętna ściśle literackiego, przetwórczego. Tak więc mija się zasadniczo z celami tego miesięcznika bardżo rzetelne zresztą studium p. Dutkiewiczówny o regionalizmie kieleckim w twórczości Żeromskiego, przynajmniej w tym kształcie, w jakim się ukazało w szeregu numerów, prosto chyba z seminarium uniwersyteckiego. Względną również może dla „Radostowej" posiadać wartość synteza

na temat najdawniejszych zabytków języka polskiego na terenie regionu świętokrzyskiego. A już największa ostrożność zalecona jest w rzucaniu jakichkolwiek niesprawdzonych hipotez naukowych, w dziedzinie zwłaszcza tak delikatnej, jaką jest językoznawstwo; stąd hipoteza, jako by autentyczna i dawna nazwa miasta biskupiego była Klece, nie zaś Kielce, jest oczywistym nieporozumieniem (R. II, Nr 2). Forma Kielce (drugi przypadek Klec) występuje w dokumentach dawnych bardzo często; spotkałem ją niejednokrotnie w dokumentach oryginalnych właśnie z w. XVII i taką również nazwę zna językoznawstwo polskie (Brückner).

Życzyć należy „Radostowej" pomyślnego rozwoju i rozszerzania jej regionalnych tematów. Tak o nie przecież łatwo! Dość wyjść za rogatki miejskie, choćby w kierunku Łysicy, aby się znaleźć w czarownym kraju dawnej architektury kościołów, kaplic, dworów i chat wiejskich z ich ciekawą ludnością. Tą drogą pójdzie chyba Radostowa, nie schodząc na drogę „życia ułatwionego".

J. N.-D.

KOŁO KIELCZAN

SPRAWOZDANIE

ZARZĄDU KOŁA KIELCZAN ZA ROK 1936, ZŁOŻONE NA WALNYM ZGROMADZENIU W DNIU 16.IV. 1937 r.

I. Ogólne.

W roku sprawozdawczym 1936 w liczebnym stanie Koła zaszły następujące zmiany:

Członków	Było	Przybyło	Ubyło	Pozostało
Miejscowych	80	—	6	74
Zamiejscowych	48	—	—	48
Razem	128	—	6	122

czyli ogólna liczba członków zmniejszyła się o 6-ciu. Zmarł jeden członek — dr Michał Jędrzejowski, który w okresie sprawozdawczym wchodził w skład Komisji Rewizyjnej Koła. Pozostali prosili o skreślenie z listy członków Koła z powodu złych warunków materialnych, nie mogąc opłacać składek członkowskich, bądź też stracili kontakt z Kołem i dlatego należało uznać ich za skreślonych.

Na posiedzeniu, odbytym bezpośrednio po Walnym Zgromadzeniu w dniu 23 marca 1936 r., Zarząd Koła ukonstytuował się następująco:

Zarząd:

Prezes — Edward Zienkowski
Wiceprezes — Zygmunt Wasilewski
Sekretarz — Bronisław Wyszyński
Skarbnik — Karol Taylor

Członkowie:

— Stanisław Frycz
— Kazimierz Stróżecki

Zastępcy:

— Konstanty Kozarski
— Juliusz Nowak
— Zygmunt Oleszczyk

Komisja Rewizyjna:

— Stanisław Mitraszewski
— Tomasz Mrozowski
— Witold Stefański

Zarząd Koła odbył w roku sprawozdawczym cztery posiedzenia, na których omawiano sprawy bieżące, a prócz tego Prezydium Zarządu odbyło 2 konferencje z delegatami wybranymi przez ostatnie Walne Zgromadzenie dla zorganizowania Zjazdu w Kielcach.

Poza tym odbyło się jedno zebranie referatowe z odczytem p. dra Kazimierza Stróżeckiego, poświęcone Pińczowu i Rakowu jako ośrodkom arianizmu. Od października roku ubiegłego zostały zorganizowane stałe miesięczne zebrania towarzyskie, na których zbierają się Koledzy na pogawędkę.

Zgodnie z dezyderatem ostatniego Walnego Zgromadzenia, aby zbadać opinię wśród Kolegów o możliwościach Zjazdu Koleżeńskiego w Kielcach, Zarząd Koła na początku kwietnia ub. roku rozpisał w tej sprawie do Kolegów z Koła, jak również i nieczłonków, których adresy były znane, ankietę z zapytaniem o uczestnictwo ich w Zjeździe.

Mimo jednak wysłania około 200 listów, odpowiedzi ze zgłoszeniami wpłynęło bardzo niewiele, bo tylko 45. Odpowiedzi odmownych było kilkanaście. W rezultacie Zjazd był zwołany na 28 czerwca i doszedł do skutku przy liczbie uczestników 67, w tym kilkanaście osób z Kielc.

Ramy Zjazdu były skromne i zamykały się w wysłuchaniu wspólnej Mszy świętej w kościele św. Trójcy, zwiedzeniu przez grupę uczestników organizowanej wówczas w Kielcach Wystawy Świętokrzyskiej oraz odwiedzeniu murów szkolnych.

W czasie wspólnego obiadu koleżeńskiego podnoszono w przemówieniach potrzebę zainteresowania Kołem młodszych roczników maturzystów szkół kieleckich, co rzeczywiście znalazło szczery oddźwięk wśród obecnych na Zjeździe młodszych Kolegów, w wyniku czego ma nastąpić przystąpienie do Koła liczniejszej grupy młodszych roczników.

Starania o uruchomienie Sekcji Akademickiej, dla której został opracowany przez Zarząd Koła specjalny regulamin, nie dały dotychczas pozytywnych wyników.

Poza tym, jeśli chodzi o opiekę nad studiującymi kielczanami, to wobec szczupłych środków, jakimi Koło rozporządza, pomoc swoją ograniczyło ono do udzielenia tylko jednej zapomogi.

W wykonaniu podjętego na Zjeździe projektu wmurowania w Kościele św. Trójcy w Kielcach tablicy pamiątkowej ku uczczeniu długoletniego prefekta w gimnazjum w Kielcach, ś. p. ks. Teodora Czerwińskiego, Zarząd Koła postanowił projekt ten zrealizować.

II. Sprawozdanie finansowe.

Dochody:		Wydatki:	
a) Składki miejscowe	Zł 575.90	a) Kancelaryjne i różne	Zł 876.60
b) „ zamiejscowe	„ 332.80	b) Stypendium . . .	„ 90.—
c) Przychód z wydawnictw	„ 182.30	c) Różne (koszty Zjazdu)	„ 536.—
d) Różne (Zjazd) . . .	„ 538.18	Razem . . .	„1 502.60
e) Depozyt dla Sekcji Akad.	„ 150.—	Saldo . . .	„ 276.58
Razem . .	Zł 1 779.18	Razem . .	Zł 1 779.18

Aktywa	Zł	*Pasywa*	Zł
P. K. O.	922.10	Zobowiązania	—
Dolarówka	53.—	Majątek Koła	975.10
Razem . .	975.10	Razem . .	975.10

Powyższe formalne sprawozdanie Zarządu za r. 1936 uzupełniamy kroniką z r. 1937.

Jako rezultat zbliżenia się na ostatnim Zjeździe w Kielcach starszych roczników z młodszymi, nastąpiły dość liczne zgłoszenia tych ostatnich o przystąpienie do Koła. Listę nowych członków, których liczba wciąż wzrasta, podajemy niżej. Taki wzrost członków wpłynie niewątpliwie na ożywienie działalności Koła.

Na Walnym Zgromadzeniu Koła w dn. 23 kwietnia 1937 r. został dokonany wybór nowego Zarządu z powołaniem do prac w Zarządzie i młodszych sił. Nowy Zarząd ukonstytuował się jak następuje: Prezes — Edward Zienkowski, wiceprezes — Stanisław Mazurek, sekretarz — Kazimierz Strożecki, skarbnik — Stefan Sobolewski, członkowie — Stanisław Frycz i Jan Majewski, zastępcy: Konstanty Kozarski, Juliusz Nowak i Zygmunt Wasilewski. Komisja Rewizyjna: Stanisław Mitraszewski, Tomasz Mrozowski i Karol Taylor, zastępcy: Alojzy Kamieński i Zygmunt Oleszczyk. Redaktorem Pamiętnika Koła Kielczan po rezygnacji Z. Wasilewskiego został Juliusz Nowak.

W maju P. Premier Rządu, Generał Sławoj-Składkowski, jako wychowanek gimnazjum Kieleckiego, zgłosił życzenie przystąpienia do Koła, a zarazem ofiarował zł. 1000 na cele Koła. Zgłoszenie to zostało przyjęte z aplauzem, zaś w dniu 1 czerwca delegacja Zarządu w składzie prezesa, wiceprezesa i sekretarza złożyła P. Generałowi serdeczne podziękowanie za hojną ofiarę.

W myśl wspomnianego w sprawozdaniu wniosku w drugi dzień Zielonych Świątek, 17 maja 1937 r., odbyło się poświęcenie ufundowanej i wmurowanej w przedsionku kościoła Św. Trójcy

w Kielcach tablicy ku uczczenia ś. p. ks. Teodora Czerwińskiego w obecności delegacji Zarządu Koła, miejscowych Kolegów Kielczan i publiczności. Po Mszy Św., odprawionej przez Prałata Bogumiła Czerkiewicza, ucznia ś. p. ks. Czerwińskiego, i po przemówieniu, przypominającym zasługi Zmarłego jako kapłana i obywatela, dokonano aktu poświęcenia tablicy; widnieje na niej pod emaliową fotografię śp. ks. Czerwińskiego napis następujący: „Śp. ks. Teodor Czerwiński, prałat, protonotariusz apostolski, prefekt w gimnazjum kieleckim w latach 1876—1899, gorliwy kapłan, dzielny obywatel, gorący i mężny patriota, zmarł 1 maja 1932 r. w wieku lat 91. Wdzięczni uczniowie tę pamiątkę kładą".

Na posiedzeniu Zarządu w dniu 12 września 1937 r. uchwalono podjąć starania celem wyjednania odznak niepodległości dla tych członków Koła, którzy pomimo położonych zasług w pracach niepodległościowych nie zostali jeszcze przedstawieni do tych odznak przez organizacje, w których pracowali. Dla opracowania odnośnych wniosków powołano specjalną komisję.

Również na tym posiedzeniu powołano komisję dla opracowania niektórych zmian w statucie Koła.

Lista nowych członków, przyjętych w 1937 r.:

Janusz Białecki, Stefan Bocheński, Seweryn Borkiewicz, Marian Chwalibóg, Stefan Domański, Tadeusz Dziedzicki, Stefan Dzięciołowski, Włodzimierz Dzięciołowski, Julian Gąsiorowski, Leonard Głuchowski, Zygmunt Jerzy Grunert, Feliks Jurkowski, Alojzy Kamieński, Tadeusz Kański, Jerzy Dunin-Karwicki, Mieczysław Kazoń, Jan Kinastowski, Antoni Kozikowski, Henryk Stanisław Kozłowski, Jan Lech, Władysław Lech, Władysław Linowski, Wenancjusz Łaciński, Zygmunt Łakomski, Bronisław Łapot, Stanisław Łuszczyński, Antoni Majcherczyk, Eugeniusz Majewicz, Jan Majewski, Tadeusz Massalski, Stanisław Mazurek, Edward Aleksander Meissner, Zofia Niesiołowska, Władysław Oleszczyk, Jan Kazimierz Orzechowski, Zygmunt Pacewicz, Marian Paradowski, Władysław Pasternak, Karol Aimé Pionnier, Adam Poniewierski, Konrad Poniewierski, Wacław Reinstein, Tadeusz Rogoziński, Stanisław Rowiński, Eugeniusz Kazimierz Ryll, Stanisław Sędek, Felicjan Sławoj-Składkowski, Bolesław Skrobisz, Stefan Sobolewski, Władysław Solek, Zygmunt Stefański, Feliks Szańkowski, Wiktor Szczygłowski, Roman Szczechura, Zygmunt Śladkowski, Stefan Śledzikowski, Ludomir Tarkowski, Roman Tatarski, Wojciech Wiatrowski, Janusz Wilczyński, Mieczysław Wilczyński, Karol Zaborowski, Bohdan Zalewski, Stefan Zarod.

Sprostowanie. W sprawozdaniu Zarządu Koła, wydrukowanym w t. VI Pamiętnika, w liście członków Zarządu Koła pominięto nazwisko Juliusza Nowaka, co się niniejszym prostuje.

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

Cena kompletu Pamiętnika Koła Kielczan (sześć pierwszych tomów z lat 1925—35 wraz z Księgą Pamiątkową Kielczan z r. 1925) została obniżona do zł. 20.—

Zamówienia na Pamiętnik należy kierować pod adresem prezesa Koła E. Zienkowskiego: Warszawa, Filtrowa 75.

Konto Koła Kielczan w P. K. O. Warszawa Nr. 12.310.

TREŚĆ ROCZNIKÓW:

Tom. I. Od wydawnictwa. Koło Kielczan: Statut. Sprawozdanie 1925 — 1927. Lista członków. Szkoła handlowa 1903 — 1918. — Nekrologi: T. Ruśkiewicz, St. Żeromski, M. Rowiński, E. Łuszczkiewicz, K. Koziorowski, St. Domosławski, E. Świecimski. — Wspomnienia: Fr. Pantoczka, Z. Wasilewskiego (o Żeromskim), L. Skorupki, E. Zienkowskiego. — Kronika.

Tom II. Koło Kielczan: Zjazd 1927. Sprawozdanie. Lista członków. — Z przeszłości: Wspomnienia Z. Wasilewskiego. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach przez B. Markowskiego. Historia górnictwa gór Świętokrzyskich przez J. Samsonowicza. O Feliksie Jaworskim. — Kronika.

Tom. III. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, p. B. Markowskiego. — O Bartosie Głowackim, p. S. Raczyńskiego. — Kościół św. Trójcy w Kielcach, p. ks. dr. J. Zdanomskiego. — Żerowski w roli prokuratora, p. Z. Wasilewskiego. — Patriota, p. G. Wędrychowskiego, — Syzyfiana, p. J. Nowaka. — Kronika. — Zmarli: J. Kamiński, St. Czarnowski. — Koło Kielczan.

Tom IV. Udział woj. Krakowskiego w powstaniu listopadowem, p. W. Jaskłowskiego. — Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce, p. J. Nowaka. — Ludzie z czasów mojej młodości, p. T. Rybkowskiego. — Św. Katarzyna, p. Z. Wasilewskiego. — Uczeni Kielczanie (K. Taylor, L. Szperl, St. Glixelli, E. Taylor, K. Tymieniecki). — Przyczynki historyczne F. Kwiecińskiego, S. Raczyńskiego, St. Żeromskiego (list). — Kronika. — Koło Kielczan.

Tom V. Związki ziemi Kieleckiej z Bałtykiem, p. K. Tymienieckiego. — O dawnym Rakowie, p. J. Nowaka. — Adolf Dygasiński, p. Z. Wasilewskiego i Z. Wolertową. — Szkolnictwo w Kielczach, p. B. Markowskiego. — Listy z autografów: Towiańskiego, Matejki, M. Czajkowskiego, K. Ujejskiego, S. Żeromskiego. — Wspomnienia, p. K. Drymmera. — Pamięci zmarłych: F. Chwalibóg, ks. T. Czerwiński, T. Jaroński, M. Wilkoszewski, F. Kwieciński, St. Wielowieyski, J. Zagleniczny, M. Lange, A. Humnicki. — Kronika.

Tom VI. Dziesięciolecie. Pamiętnik Andrzeja Świętochowskiego. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach. Okres 1831—1845, p. B. Markowskiego. — Biskup Kajetan Sołtyk w poezji politycznej Sejmu Czteroletniego, p. J. Nowaka. — Pałac biskupi w Kielcach, p. E. Massalskiego. — Wspomnienie o dr. Henryku Podowskim, p. dr. Tadeusza Rakowskiego. — Parczewscy, p. S. M. — Święty Krzyż, p. Aleksandra Fabiana. — Wyprawa do Jaksic, p. Z. Wasilewskiego. — Pamięci zmarłych: Jan Zydler, Józef Dębicki, Bronisław Łącki, Kazimierz Janczewski. — Kronika.

Tom VII. Ob. spis rzeczy w tym roczniku.

W sprawach Koła Kielczan zwracać się należy do prezesa Koła Edwarda Zienkowskiego, Warszawa, ul. Filtrowa 75. Konto Koła Kielczan w P. K. O. Warszawa: Nr. 12.310.

Sprostowanie. Autorem „Wspomnienia o drze H. Podowskim”, które się ukazało w t. VI „Pamiętnika”, nie jest Dr Wacław, lecz Dr Tadeusz Rakowski.

SPIS RZECZY